

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 12 (339) • ROK XXIX • GRUDZIEŃ 2023



RODZI SIĘ MOC
MOC TRUCHLEJE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Z OKAZJI ŚWIAT BOŻEGO NARODZENIA
ORAZ NOWEGO 2024 ROKU,
WSZYSTKIM NASZYM CZYTELNIKOM,
AUTOROM I PRZYJACIOŁOM,
CZŁONKOM I SYMPATYKOM GÓRNOŚLĄSKIEGO
TOWARZYSTWA LITERACKIEGO,
SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA
RADOSNYCH ŚWIĄT, NADZIEI,
POMYŚLNOŚCI I ZDROWIA.

*Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa
Literackiego
i Redakcja miesięcznika „Śląsk”*

for. Tomasz Biernik



Budynek głównego dworca PKP w Czechowicach-Dziedzicach przez długie lata przypominał stację-widmo. Obecnie dworzec diametralnie zmienia wygląd i przechodzi gruntowny remont. Uwagę podróżnych już teraz przykuwają niesamowite murale, które pojawiły się w przejściach pod peronami. Na zdjęciu, już archiwalnym, budynek stacji przed remontem, stan z roku 2019.

Szczegóły str. 32

for. Teatr Muzyczny w Gdyni



Pod koniec października na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni miała miejsce premiera spektaklu „Mistrz i Małgorzata”. Arcydzieło Michaiła Bułhakowa w tej aranżacji ma formę megawidowiska. Muzykę skomponował Janusz Stokłosa, libretto napisali Jurij Riaszeńcew i Galina Polidi, a Andrzej Poniedziałki stworzył teksty piosenek.

Szczegóły str. 50

20 grudnia o godz. 16.00
w siedzibie Biblioteki Śląskiej, ul. Ligonja 7 w Katowicach
odbędzie się
Walne Zgromadzenie
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.
Zapraszamy wszystkich członków.

Nr 12 (339). Rok XXIX. GRUDZIEŃ 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaKRYSZTOF WĘGRZYNEK
KulturaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYRÓŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONKA-GĘSIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKAFelietoniści:
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 104
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Piotr Skowronek* KIEROWANIE MIASTEM TO WIELKA ŻYCIOWA PRZYGODA. ROZMOWA Z PREZYDENTEM ŻOR WALDEMAREM SOCHĄ
8 *Grażyna Ogrodowska* MOŻLIWOŚĆ BYCIA NIELENIWĄ. ROZMOWA Z AGNIESZKĄ RADZIKOWSKĄ O AKTORSKICH METODACH BUDOWANIA ROLI
11 *Krzystian Węgrzynek* DLACZEGO NIE POWSTAŁA LITERACKA LEGENDA WOJCIECHA KORFANTEGO?
16 *Tadeusz Aleksandrowicz* ŚLĄSK I DAWNE POLSKIE KRESY WSCHODNIE. O MARIU PAWŁOWICZOWEJ (1923–2016) W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN
18 *Stefan Gierlotka* MUNDUR GALOWY GÓRNIKÓW KOPALNI KSIĘCIA PSZCZYŃSKIEGO
20 *Krzystyna Heska – Kwaśniewicz* O CZARNEJ JULCE GUSTAWA MORCINKA I KOLĘDZIE, PRZY KTÓREJ WYRASTAJĄ SKRZYDŁA U RAMION
22 *Piotr Skowronek* KOCHAM MARCINKA ZA CZARNĄ JULKĘ. ROZMOWA Z ROZALIĄ WAWRONOWICZ
28 *Maria Sztuka* PRAGNIENIE, BY IŚĆ DALEJ
32 *Zbigniew Lubowski* PODZIEMNE MURALE KOLEJOWE
44 *Radosław Kobierski* WALENCJA, GLASGOW CZY LIVERPOOL
45 *Katarzyna Majsterek* ARTYSTYCZNA PRZESTRZEŃ DLA UCHODźCÓW
46 *Weronika Górka* PLAC, DZIELNICA, MIASTO, REGION
48 *Marian Kisiel* JAN JAKÓBCZYK 24 SIERPNIĄ 1955 – 3 LISTOPADA 2023
52 *Wojciech Lipowski* JAK W ZWIERCADLE
54 *Tadeusz Loster* STACHANOWCY ŚLĄSCY
62 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PONTYFIKALNY POWRÓT PRZYBYSZEWSKIEGO
68 *Katarzyna Sucharkiewicz* POZA REALNOŚCIĄ
74 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* MODERNIZM ZMIENIA ZAWADY
76 *Jacek Okoń* WOKOŁ GÓRNICZYCH KONKURSÓW LITERACKICH (I)
80 *Janusz Plewniak* MARCO POLO I TRZEJ KRÓLOWIE

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 69 GALERIA: MALARSTWO ADAMA PATRZYKA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Ks. Bartłomiej Kuźnik* WSZECHMOGĄCY
7 *Andrzej Szuba* WIERSZE
14 *Ks. Bartłomiej Kuźnik* WIERSZE
26 *Mirosław Bochenek* WIERSZE
35 *Leonid Andriejew* ŚMIERĆ GULIWERA *Przełożył Marian Kisiel*
42 *Zuzanna Truchlewska* WIERSZE
47 *Ks. Jerzy Szymik* PIOSENKA O KOŃCU MOICH KATOWIC
60 *Adam Kołodziejczyk* PSALM ZMARTWYCHWSTANIA

FELIETONY

- 31 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyzna *Jan Miodek* Z MIEDAR DO JEMIELNICY I ROZMIERKI
38 MAŁE NARRACJE *Tomasz Bocheński* HYBRYDY (4)
39 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* PODPALACZE
40 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* CO ROBI PIŁKARZ?
41 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA *Tomasz Słupik* WALKA ŚLĄZAKÓW O UZNANIE
50 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* BALETOWY CERVANTES I MUSICALOWY BUŁHAKOW
58 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* DRUKI PRAWDZIWIWIE ULOTNE
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ALTOWIOLISTKA ZE SNU
79 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* JAKA BYŁA, JAKA JEST, I JAKA...?

KSIĄŻKI

- 64 *Agnieszka Nęcka-Czapska* W OBRONIE (S)KRZYWDZONYCH
66 *Marek Piechota* KOLEJNY TOM ARCYESEJÓW JERZEGO PASZKA

Na okładce: Adam Patrzyk: Bez tytułu, olej, płótno, 100 x 130 cm, 2022.

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmiany



Czwarta nad ranem

1 Wigilia. – Przysmykam oczy. Wioska, jakich wiele. Wszyscy jesteśmy już po wigilijnej kolacji („wieczera” to dzisiaj słowo archaiczne), nie jakoś ortodoksyjnie wierzący, niemniej obecność na pastercie jest dla nas koniecznością. Z domu do kościoła trzeba było pójść trzy kilometry, ale to żadna przeszkoda. Na rozwidleniach dróg, przy takim czy innym drzewie, zbierali się młodzi, by później ze wszechogarniającym śmiechem ruszyć przed siebie. Więc śmiechy, okrzyki, strzelanie z zimnych ogni. Zimne ognie można było kupić tylko w okresie Bożego Narodzenia, zawieszano je na jedlinie lub na jałowcach czy świerkach, były nieodłącznym znakiem bożonarodzeniowego święta. W drodze do kościoła, zapalane i wyrzucane w górę, lądowały na osrebrzonych kiściach sosen, skrząc się na chwałę Wigilii. – I były też inne okoliczności. Konie ciągnęły sarnie, rodzinami – niczym na kulig – sunęto się do kościoła, a z sań rozlegały się śmiech, wesole krzyki. – Pewnie i w jednym, i drugim wypadku z głów unosił się także opar okowitki. A jakżeby inaczej? Staropolska buta, staropolska nuta – przywitajmy maleńkiego po naszymu, po polsku! – Dzisiaj to wszystko jest mitem rodzinnym, opowieścią *plusquamperfectum*. Nie rezygnujemy z tych mitów. Może kiedyś staną się przeciwwagą dla jakiejś plotki z Internetu.

2 Teologia. – Przetacza się dyskusja o miejsce teologii w Uniwersytecie Śląskim (ma być, czy ma jej nie być). To tak, jakby zapytać, czy na uniwersytecie powinno być miejsce dla filozofii. – Wielki protestancki teolog Paul Tillich pisał w swojej *Teologii systematycznej*, że „każdy twórczy filozof jest ukrytym teologiem (czasem nawet jawnym teologiem)”, co powoduje, że ich troska o *logos* jest

wspólna, i obaj dźwigają „analogiczne brzemie”. „Ani konflikt między teologią i filozofią nie jest nieuchronny, ani też synteza między nimi nie jest możliwa”. Dyskusja między teologiem i filozofem jest personalna, nie jest to dyskusja teologii i filozofii, bo tego rodzaju uzurpacje są zaprzeczeniem krytycyzmu, czy inaczej: bezkrytycznym przebywaniem w sferze „niepodważalnych twierdzeń”. „Filozof może przekonać filozofa-teologa albo też nie. Teolog zaś może nawrócić teologa-filozofa albo też nie. W żadnym razie teolog jako taki nie sprzeciwia się filozofowi jako takiemu i vice versa” (Paul Tillich, *Teologia systematyczna*, t. 1, przeł. Józef Marzęcki, Antyk, Kęty 2004, s. 30–32). – Niechże więc teolog i filozof będą razem w tym samym uniwersytecie, nawet jeśli są osobno. – A pytanie, czy w uniwersytecie jest miejsce dla teologii, to – w moim przekonaniu – jest pytanie głupie.

3 Halloween. – Po polsku: maskarada. Kiedy mieszka się na wsi lub w bloku omijają nas te korowody dzieci, pragnących przejąć z innej kultury jakiś określony wzorec. – Kilkanaście lat temu przeprowadziłem się na obrzeża Katowic. Łąka, krzyki bażantów, spacerujące sarny i kiczające zające. Zachwyty nad pięknem natury. Ale wnet wszystko zaczęło się zmieniać i tam, gdzie kicały zające, wyrosły nowe domy, a tam, gdzie krzyczały bażanty, zrobiono coś przeciwko nim. Człowiek jest okrutny, nie kocha natury, chociaż do niej łągnie. – Kiedy więc zaludniono wszystkie dawne tereny zielone, pojawiły się dzieci ze swoim pragnieniem bycia takimi samymi, jak w Ameryce. – Halloween. – Kocham ten czas przejścia między zwyczajnym październikiem i niespodziewanym listopadem. Wesolość dzieci z uważną troską rodziców, którzy pilnują, by tej wesolości nie stało się źle, jest dla mnie wielkim hymnem radości, sprawdzającej się w rodzicielstwie, sąsiedztwie i wspólnocie.

4 Dziegieć I. – Wydawanie pierwocin literackich czy filozoficznych ma sens o tyle, o ile jakiś autor zakotwiczony jest w kulturze swojego języka, wcześniej oddziałal na wrażliwość współczesnych, kłócił się z nimi, albo ustawił się wobec nich sztorcem. Nie ma powodu wydawać pierwocin, które pozostają niezrozumiałe dla czytelnika próbującego rozpoznać wielkość i znaczenia dzieła autora nieznanego. Wydawnictwo zachęca czytelnika do kupienia książki młodzieńca, który „objawia się jako żywy umysł poszukujący swej intelektualnej drogi pośród sensów kultury”. Tak samo jak nie ma sensu zdanie reklamujące, tak nie ma sensu zachęta

do lektury. Otwieram książkę na chybił trafił, strona 63. Dwa zdania. Pierwsze: „Syn marnotrawny nie poszedłby w świat, gdyby był spotkał swojego nauczyciela”. Drugie: „Brat syna marnotrawnego poszedłby w świat, gdyby spotkał nauczyciela”. – Popłuczyny młodzieńca (Constantin Noica, *Dziennik filozoficzny*, przeł. Ireneusz Kania, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023).

5 Dziegieć II. – Jacques Le Goff, *Sakiewka i życie*, przeł. Hanna Zarembka, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2023. – Otwieram stronę 117 i czytam taki akapit: „Historyk, który powinien unikać eklektyzmu, ma zarazem małe szanse zaproponowania zadowalającej eksplikacji, sięgając do jednej, dominującej racji. Smutna przeszłość marksizmu jest martwa właśnie z powodu tej błędnej wiary w redukcję”. – Z trudem dotarłem do tej strony, więc dalej cytować nie będę, bo im głębiej, tym gorzej. Każdy się potknie na tłumaczeniu, nie zamierzam z tego powodu robić wyrzutu. Ale czytając zdanie ze strony 74: „Wiemy dziś, że nie należy lekceważyć finansowych aspektów represjonowania nadużyć podatkowych”, chciałbym „represjonować”, „nadużywać”, choć wiem, że „nie należy”.

6 Dziegieć III. – Jakiś czas temu kupiłem pięć ładnie wydanych książek Pawła Hertza, które nazwałem tu „dziełami zebranymi”, ponieważ mają tę samą okładkę (twarda, niebieska). Niestety – piszę to z żalem – odznaczają się niebywałą niefrasobliwością edytorską. Paweł Hertz był znany ze swojej akrybii, dbał o edycję wierszy dawnych polskich i o tłumaczenia. Był tytanem pracy i pozostawił po sobie znakomite dzieła, które służyć będą przyszłemu pokoleniom. A tutaj takie – NIC. Ani porządnego wstępu, ani jakkolwiek zredagowanej noty edytorskiej, ani jakiegokolwiek bibliograficznego zapisu. – Doczekał się edytor następców, oj doczekał! Lepiej może było nie wydawać niż tak kompromitować dzieło Mistrza. A firmując te „dzieła zebrane” zasłużone dla polskiej kultury nazwiska. Ongi! (Paweł Hertz, *Dzieła zebrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019–2022).

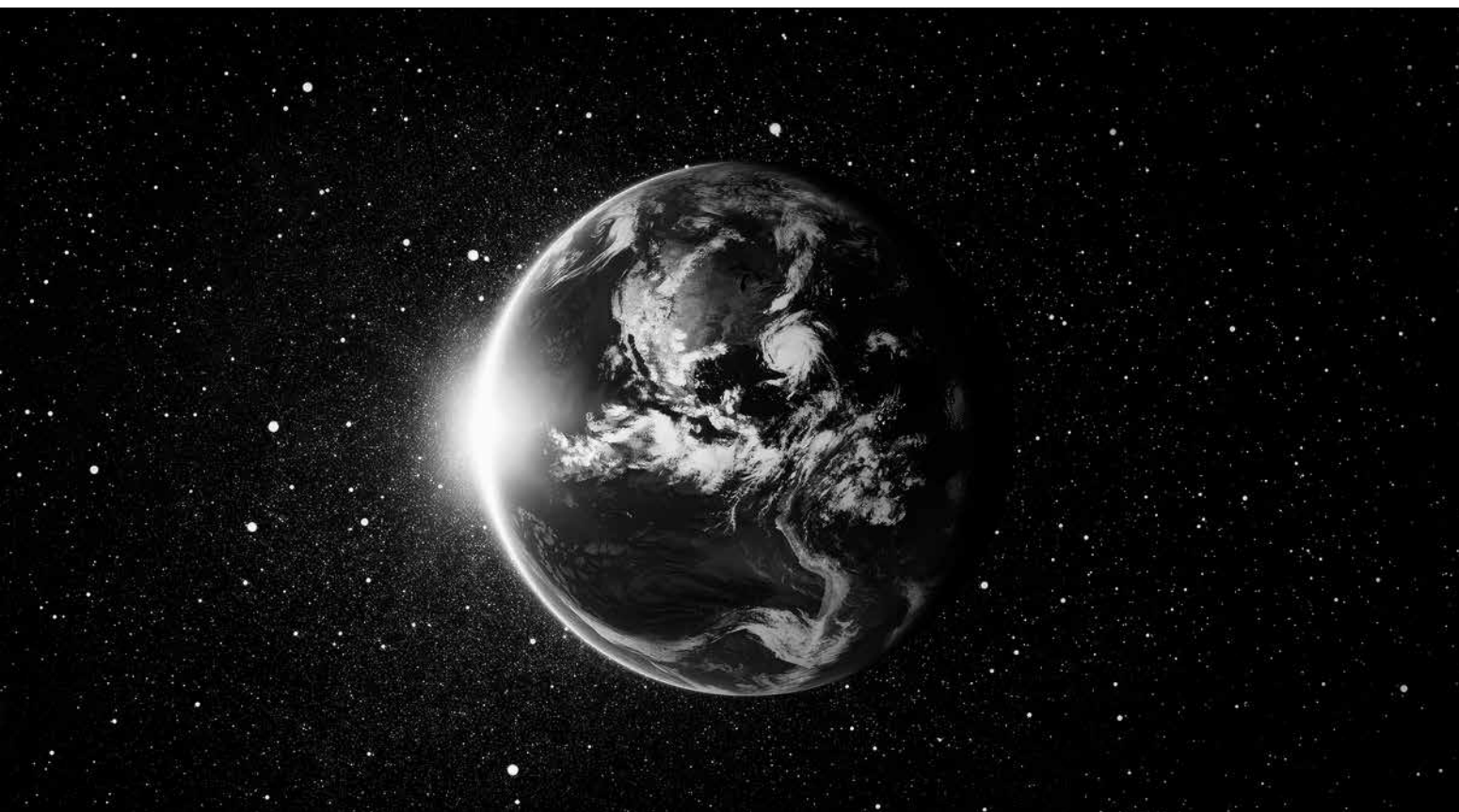
7 Myśl miesiąca. – „Las odchodzi, miasto śpi, / poeci porządkują swoje sny / i czuwa nad nimi semantyka nieba nienaganna” (Arnold Ślucki, *Jesień i uniwersalia*, w: idem, *Faktura światła. Wybór wierszy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965, s. 192).

Marian Kisiel

Wszechmogący

A jednak
nie stworzył tej Ziemi
na tyle małej
by o Jego dobroci
dowiadywano się
wszędzie od razu

Katowice, 2 kwietnia 2023 r.



Kierowanie miastem to wielka życiowa przygoda

Z prezydentem Żor **WALDEMAREM SOCHĄ**
rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**



Jest Pan obecnie najdłużej urzędującym prezydentem miasta na Śląsku, bowiem sprawuje swój urząd od 25 lat. Co leżało u podstaw decyzji bycia samorządowcem?

Jestem związany z samorządem nawet dłużej, bo pierwszy raz startowałem w wyborach na radnego w 1990 roku, czyli wtedy, kiedy odbyły się pierwsze wybory do odrodzonego samorządu. Miałem 28 lat i chciałem się zaangażować w odrodzenie samorządu, w działalność na rzecz miasta Żory. To był temat, który od wczesnych lat bardzo mnie interesował. Już jako nastolatek pasjonowałem się urbanistyką i rozwojem miast, więc zaangażowanie w działalność samorządową nie było przypadkowe.

Jak wyglądały Żory ćwierć wieku temu?

To był bardzo trudny moment dla Żor. Pod koniec lat 90. zostały zlikwidowane wszystkie zakłady przemysłowe w naszym mieście: kopalnia, zakłady chemiczne, zakłady wytwórcze urządzeń sygnalizacyjnych dla kolei i wielka fabryka domów. Sytuacja była więc bardzo trudna. W Żorach mieliśmy najwyższe bezrobocie w całym województwie śląskim. Załamały się też nasze dochody podatkowe. Miasto było wtedy taką „wielką sypialnią”, dodatkowo bardzo zaniedbaną, ponieważ osiedla, które powstawały w latach 70. i 80. nie miały odpowiedniej infrastruktury, zapewniały tylko podstawowe rzeczy. Wprawdzie wybudowano szkoły – których również było za mało – ale brakowało innych usług. Trzeba dodać, że Żory do początku lat 70. były niewielkim miasteczkiem mającym 6,5 tys. mieszkańców, a potem w ciągu 10 lat liczba mieszkańców zwiększyła się aż dziesięciokrotnie. Nastąpił spektakularny rozwój miasta. W związku z tym musieliśmy później nadrobić wszystko to, co zostało w tym okresie burzliwego rozwoju zaniedbane. 25 lat temu Żory były miastem, które wymagało nowego pomysłu na siebie.

Jakie priorytety wyznaczył Pan sobie w pierwszej kadencji?

Oczywiście priorytetem było to, żeby stworzyć nowe miejsca pracy, bo najbar-

dziej doskwierającym nam problemem było bezrobocie. Co się z tym wiąże, ludzie byli ubodzy, więc miasto też miało mało środków, żeby zrealizować potrzeby mieszkańców. Żorzanie oczekiwali natomiast, że miasto będzie się rozwijało, że będzie się wiele dla nich robiło. Wtedy postanowiliśmy, że przede wszystkim musimy postawić na rozwój bazy, która będzie dawała dochody miastu i zatrudnienie mieszkańcom, czyli przyciągnąć biznes. To była żmudna praca. Musieliśmy przebudować infrastrukturę w mieście i stworzyć miejsca pod nowe zakłady pracy, no i przede wszystkim przekonać inwestorów, że Żory są dobrym miejscem do tworzenia biznesu. Proces był mozolny i długotrwały, ale zakończył się niemałym sukcesem. Mamy teraz zupełnie inny obraz Żor. Jesteśmy miastem, które ma mnóstwo miejsc pracy i to do nas przyjeżdżają pracować mieszkańcy innych miejscowości. Dochody miasta również bardzo wzrosły. Przestaliśmy być biednym miastem, a w wielu dziedzinach jesteśmy dziś postrzegani jako regionalny lider.

Co zaskoczyło Pana w sprawowaniu funkcji prezydenta?

Myszę, że każdy, kto tej funkcji nie sprawuje, wyobraża sobie, że prezydent ma bardzo duży wpływ na to, co się w mieście dzieje. Począwszy od tego jakie inwestycje są realizowane, jakie powstają zakłady pracy, a nawet jak wygląda miasto urbanistycznie. Tak to sobie ludzie wyobrażają. Moje największe rozczarowanie było związane z tym, że wszystko to nie jest takie proste. Jak wspomniałem, moje zainteresowania na początku szły w kierunku urbanistyki. Nawet jako młody człowiek chciałem zostać urbaniście, jednak życie inaczej się ułożyło i zostałem ekonomistą – myślę, że to bardzo mi się przydało w pracy prezydenta. Miałem więc wyobrażenie, jak powinno wyglądać dobre miasto, jak ma się rozwijać, a jednak nie dało się tego zrobić, przede wszystkim dlatego, że były do dyspozycji ograniczone środki. Ponadto decyzje w tym systemie zarządzania, w którym obecnie funkcjonujemy, są rozproszone. Nie mamy wpływu na to, jak wyglądają

domy, które budują inwestorzy czy osiedla, które powstają. Możemy pewne rzeczy zapisywać w planie zagospodarowania, ale tam nie da się wszystkiego ująć, więc nasz wpływ na to, jak wygląda miasto jest ograniczony. Oczywiście kształtujemy je bezpośrednio poprzez inwestycje miejskie. Staram się od lat, żeby inwestycje te były spektakularne, żeby wyznaczały trendy, a ludzie zauważali, że jeżeli coś jest miejskie, to jest to zrobione z odpowiednim rozmachem i ma dobrą architekturę. Chcemy po prostu być wzorem dla innych, którzy planują w Żorach inwestować.

A mieszkańcy są dumni.

Oczywiście. Muszę przyznać, że 25 lat temu poza historycznym starym miastem, w Żorach nie było ciekawych obiektów. Kiedy przyjezdni pytali, co mogą tutaj zobaczyć, co jest warte zwiedzenia, to niewiele mieliśmy im do zaoferowania. To się jednak zmieniło. Powstało kilka wyjątkowych miejsc i dziś nasza oferta jest bardzo interesująca. Warto tu wymienić miasteczko westernowe, przepiękne muzea, niedawno otwarty pałac w Baranowicach, czy Park Cegielnia z chyba najładniejszą na Śląsku tężnią. Do takich miejsc zaliczyłbym także nowoczesną bibliotekę, piękne centrum przesiadkowe czy odrestaurowany dworzec kolejowy. To są takie obiekty, z których my żorzanie możemy być dumni. Mieszkańcy dostrzegają to i mówią, że Żory wypiękniały.

Jak się żyje z przekonaniem o odpowiedzialności za niemałe miasto? Czy można przestać o tym cały czas myśleć? Jak zmienia się życie prywatne, rodzinne, towarzyskie?

To nietatwa sprawa. Muszę przyznać, że nie da się podzielić życia na to zawodowe i prywatne. Ja bardzo często w domu, a nawet będąc na wakacjach, myślę o miejskich sprawach. Snuję jakieś plany, szu-

kam rozwiązań. Ale też jako świadomy rodzic staram się godzić życie zawodowe z prywatnym i znajdować czas dla rodziny, bo wiem o tym, że ojcem czy dziadkiem, który ma wpływ na to, jak rozwijają się dzieci, jest się tylko przez jakiś czas. Myślę, że jeżeli robi się coś, co jest pasją człowieka, co go interesuje, to się tym nie męczy. Ja właśnie pracę prezydenta miasta tak postrzegam, jako ciekawą rzecz, wielką życiową przygodę. Ciągłe mam zapał do tego, żeby pracować dla miasta, mam stale nowe pomysły i szczerze powiedziawszy są one coraz bardziej odważne i oryginalne. Myślę, że to też chyba efekt tego, że poradziliśmy sobie z podstawowymi problemami miasta w okresie przebudowy. Obecnie Żory są miastem, które może już myśleć o nowych wyzwaniach, wyprzedzać czasy i wyznaczać nowe kierunki. To, że miało się sprawczy udział w przemianach oraz ma się wpływ na to, co będzie się działo w przyszłości, daje wielką satysfakcję i motywację do pracy.

Co uważa Pan za swój największy sukces?

Największym sukcesem jest to, że udało się tak bardzo zmienić Żory, które były kiedyś miastem zaniedbanym, nieinteresującym i przez wszystkich w okolicy postrzeganym właśnie jako taka „przećiętna sypialnia”. Dzisiaj Żory są odbierane jako miejsce najlepiej się rozwijające, wyznaczające nowe trendy i kierunki. Często słyszę, że mieszkańcy okolicznych miast zazdroszczą nam tego, co się u nas dzieje, jak Żory się zmieniają, ewoluują. Właśnie przemianę miasta uważam za swój główny sukces.

Są też oczywiście inne powody do dumy, które czasami były wynikiem żmudnej pracy i mozolnego szukania rozwiązań, a czasem pewnego rodzaju „oślnienia”. Takim pomysłem, który przyszedł mi do głowy, było wprowadzenie bezpłatnej komunikacji miejskiej dla mieszkańców i wszystkich użytkowników. Nie zdawałem sobie sprawy, że to rozwiązanie robi taką furorę, bo chyba najbardziej nas w Polsce rozślawiło. Zaczęto mówić o Żorach jako mieście, które pierwsze wprowadziło bezpłatną komunikację. Dla Żor rozwiązanie to było tak naprawdę oszczędnością. Myśmy za „kilometr” po wprowadzeniu bezbiletowej komunikacji płacili mniej, niż płacą wszyscy, którzy mają komunikację biletowaną. Mało kto chce w to wierzyć, ale taka jest prawda. To było rozwiązanie, które nic nas nie kosztowało, a dało niesamowite efekty. W pierwszym roku funkcjonowania bezpłatnej komunikacji liczba pasażerów w naszych autobusach zwiększyła się o 340%. Czyli ludzie tak naprawdę zaczęli korzystać z autobusów, które wcześniej jeździły pustawe. Innym rozwiązaniem, z którego bardzo się cieszę i jestem dumny, jest to, że znaleźliśmy sposób na budowanie dużej

liczby mieszkań komunalnych, mieszkań czynszowych. To był drugi wielki problem w mieście – kiedyś brak pracy, a później brak mieszkań. Obecnie ten problem znów się bardzo nasila. Najwięcej osób, które przychodzą do mnie na przyjęcie stron, przychodzi właśnie w sprawach mieszkaniowych. Jest to także efekt pewnego sukcesu gospodarczego Żor. W mieście powstało dużo zakładów pracy. Ludzie mają więc pracę, ale muszą też gdzieś mieszkać, a mieszkania w Żorach niestety są drogie. Buduje się ich sporo, chyba najwięcej w całej okolicy, ale i tak ciągle ich brakuje, a czynsze są wysokie. Pilnym zadaniem miasta jest więc dostarczenie ludziom w miarę przystępnych cenowo mieszkań. My w ramach programu „Z przyszłością w Żorach” znaleźliśmy sposób, jak to zrobić. Sposób ten początkowo opierał się na kredycie komercyjnym. Potrafimy realizować budowę budynków wielomieszkaniowych, czy całych osiedli, które są finansowane w taki sposób, że ludzie w czynie spłacają również zaciągnięte kredyty. Oczywiście to na początkowym etapie wymaga wsparcia miasta i miasto to wsparcie daje. Wspomagamy naszą miejską spółkę w pierwszych latach działania, ale później będzie to mechanizm, który będzie sam na siebie zarabiał. Dodatkowo jeszcze ci, którzy te nowo budowane mieszkania zasiedlają, będą mieli możliwość wykupienia ich z atrakcyjnym rabatem. Za każdy rok zamieszkania będą uzyskiwali 2% bonifikaty przy wykupie mieszkania. Mają zatem perspektywę, że w przyszłości staną się właścicielami swoich mieszkań. Są już nawet pierwsze wnioski o wykup. To rozwiązanie uważam za nasz wielki sukces w skali krajowej, bo jesteśmy miastem, które w proporcji do swojej wielkości buduje najwięcej w Polsce mieszkań komunalnych.

Ile mieszkań udało się już wybudować? Jakie są plany?

Oddanych do użytku jest prawie 400 mieszkań, w budowie jest około 300, a projekty są robione jeszcze na około 850 mieszkań. Oznacza to, że wybudujemy ponad 1500 mieszkań! Pierwszym założeniem było, że w ramach programu „Z przyszłością w Żorach” powstanie tysiąc mieszkań, jak się jednak okazało: i zainteresowanie, i możliwość budowy są większe, więc teraz mówimy o półtora tysiącu mieszkań, co jest, jak na takiej wielkości miasto (mamy 62 tys. mieszkańców) z pewnością znaczącą liczbą. Oczywiście w Żorach powstaje też bardzo dużo mieszkań realizowanych przez inwestorów prywatnych. Mamy tutaj deweloperów, którzy budują bloki, ale także setki, a może i tysiące inwestorów, którzy budują domy jednorodzinne. Żory są przez to jedynym miastem na Śląsku spośród tych większych, na prawach powiatu, gdzie liczba mieszkańców rośnie.

Kiedy ma się już pracę i mieszkanie to czas na kulturę i rekreację. Słyszałem o prężnie działającej bibliotece i interesujących muzeach.

Od dobrego miejsca zamieszkania oczekuje się czegoś więcej, niż tylko zaspokojenia podstawowych potrzeb. To także oferta dobrych przedszkoli, szkół, miejsc rekreacji czy kultury. W Żorach staramy się podchodzić do tego kompleksowo, żeby wszystko to, co na co dzień, regularnie jest ludziom potrzebne, mieli w mieście lub bliskiej odległości. Mamy dobrze działające instytucje kultury, które ciągle się rozwijają. Wspomniał pan o Miejskiej Bibliotece Publicznej w Żorach, która należy do najlepszych w Polsce. Mamy bardzo dobre Muzeum Miejskie, które jest niezwykle oryginalne, bo oprócz działu regionalnego posiada też rozwinięty dział kultur pozaeuropejskich. Miejski Ośrodek Kultury prowadzi wiele placówek ze zróżnicowaną ofertą zajęć, a niedawno wzbogacił się o Pałac Baranowice. To piękne miejsce – odrestaurowany pałac w otoczeniu rozległego parku, który na co dzień będzie tętnił życiem kulturalnym. Planujemy tam także większe wydarzenia, takie na skalę regionalną. Żory mają również to szczęście, że blisko jest wiele bardzo ciekawych terenów rekreacyjnych. Chodzi przede wszystkim o lasy i jeziora wokół miasta, dzięki czemu nie trzeba jechać daleko, by zrelaksować się na łonie natury.

Jak czują się żorzanka, żorzanie 60+? Czy miasto oferuje seniorom warunki do rozwoju zainteresowań i pozostania w dobrej kondycji zdrowotnej?

Miasto finansuje działanie Uniwersytetu Trzeciego Wieku, który organizuje wiele ciekawych zajęć dla seniorów. Ciekawą ofertę spędzania czasu proponują seniorom także liczne koła Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów, z którym współpracujemy. Oczywiście działają też nasze kluby, jest biblioteka, Miejski Ośrodek Kultury, działa miejskie kino „Na Starówce”. One też mają w ofercie liczne zajęcia dla seniorów.

Coraz więcej mieszkańców, nie tylko w Żorach, ale w całej Polsce, jest w wieku poprodukcyjnym. To osoby, które mają więcej czasu, a także jakieś możliwości finansowe – choć często ograniczone – i oczekują przygotowanej z myślą o nich oferty rekreacji i rozrywki, z której mogą skorzystać na miejscu. My wychodzimy naprzeciwko tym oczekiwaniom. Staramy się też, żeby seniorzy indywidualnie mieli z czego skorzystać. W naszym największym parku w centrum miasta, który powstał na terenach poprzemysłowych (kiedyś była tam cegielnia) są miejsca rekreacji dla wszystkich, również dla starszych mieszkańców. W ostatnich latach dużą popularnością, zwłaszcza wśród seniorów, cieszą się boiska do gry w bule, więc dobudowujemy ich coraz więcej.

W tym roku oddaliśmy do użytku przepiękną tężnię. To obiekt, który bardzo cieszy seniorów. Warto przyjechać do Parku Cegielnia i zobaczyć, że jest to miejsce bardzo przyjazne dla wszystkich mieszkańców i na co dzień oferuje wiele ciekawych atrakcji.

Czy Żory mają jakieś własne święta? Czytałem, że nazwa miasta związana jest z ogniem.

Od ponad 320 lat w mieście odbywa się Święto Ogniove, na wspomnienie pożaru, który zniszczył miasto w 1702 roku. Od tego czasu mieszkańcy przechodzą ulicami starego miasta w procesji błagalnej z pochodniami, żeby miasto było chronione przez Boga od pożarów. Ta unikatowa tradycja Święta Ogniowego (z małą przerwą w okresie II wojny światowej) jest cały czas kontynuowana. Teraz to nasze największe lokalne święto, bardzo oryginalne, które przyciąga mieszkańców i turystów. Towarzyszą mu atrakcje artystyczne oraz nocny bieg uliczny.

Jak będą wyglądały Żory w 2030 roku, a jak w 2050?

O ile jeszcze można z większą dozą pewności mówić o tym, jak miasto może wyglądać w 2030 roku, o tyle rok 2050 jest chyba zagadką dla wszystkich. Obserwujemy tak duże przyspieszenie rozwoju technologii, że być może będą takie rozwiązania, które trudno dziś sobie wyobrazić. Jeżeli chodzi o rok 2030 to zakładam, że uda się zrealizować plany, które mamy już teraz. Są takie, żeby Żory były miejscem produkującym w nowych technologiach. Jesteśmy obecnie na etapie projektowania bardzo oryginalnego rozwiązania, a mianowicie Centrum Badawczo-Rozwojowego ekologicznej, wysokowydajnej produkcji żywności. To miejsce, gdzie w bardzo wydajny sposób będziemy produkować żywność, rośliny, zwierzęta wodne. Chcemy pokazać, że można dużo lepiej wykorzystywać zasoby wody i energii, by w mieście produkować żywność, która może zaspokajać lokalne potrzeby. Unia Europejska jest bardzo zainteresowana tym projektem i mamy daleko posunięte deklaracje, że centrum zostanie ze środków unijnych sfinansowane. Myślę, że to może się stać zaczątkiem nowego przemysłu w naszej okolicy. My będziemy rozwijać technologię, a przedsiębiorcy będą mogli z tego skorzystać i zakładając przemysłowe farmy aquaponiczne produkować żywność oraz ją sprzedawać.

Wszystko to będzie w pełni ekologiczne?

Oczywiście, takie właśnie jest założenie. Woda będzie głównie w obiegu zamkniętym. Chcemy też, żeby było to przedsięwzięcie energetycznie niezależne – taka wyspa energii, bowiem ta potrzebna do funkcjonowania centrum, będzie wytwarzana na miejscu. Chcemy pokazać, że coś takiego jest możliwe. Wyobrażam

sobie, że w 2030 roku będą też zrealizowane przedsięwzięcia związane z komunikacją, czyli do Żor dotrze nowoczesna kolej. Takie pomysły są na razie na etapie projektowym, ale myślę, że dojdzie do jej budowy i Żory jeszcze wzmocnią swój potencjał, jako miejsce atrakcyjne do zamieszkania i prowadzenia biznesu. Już teraz jest dobra komunikacja samochodowa, czyli autostrada i droga krajowa nr 81, co przyczynia się do tego, że nie ma problemu z inwestorami, a ludzie chcą tutaj mieszkać. Żory to dobre miejsce do życia, gdzie można znaleźć pracę na miejscu albo sprawnie dojechać do Katowic czy innych miast aglomeracji śląskiej, a jednocześnie jest niedaleko terenów rekreacyjnych Beskidów. Jak już powiedziałem, staramy się też, by podstawowa oferta, jeżeli chodzi o możliwość spędzania czasu, skorzystania z rekreacji czy kultury była na miejscu i ten kierunek z pewnością będzie rozwijany. Jestem przekonany, że w 2030 roku Żory będą bardzo dobrym miejscem do życia, a to będzie przyciągało nowych mieszkańców.

Czy samorządowiec kiedykolwiek może powiedzieć, że jest spełniony?

Myślę, że to jest niemożliwe, bo nie ma określonego stanu, który chcemy osiągnąć. Życie ciągle się zmienia i oczekiwania mieszkańców również. Wyobrażenia o tym, co jest w życiu ważne, co daje ludziom szczęście, także są zmiennie. Ja jestem przekonany, że ten proces nigdy się nie zakończy i zawsze trzeba będzie dostosowywać się do aktualnych potrzeb mieszkańców. Największą satysfakcję mam wtedy, kiedy duża grupa czy większość mieszkańców uważa, że mieszkają w dobrym miejscu, które lubią i są z niego dumni. Jeżeli taki stan uda się osiągnąć, jest to najlepsza nagroda dla osób zaangażowanych w pracę samorządu lokalnego.

Czy zarządzanie miastem przez te 25 lat także się zmieniło?

Oczywiście, że się zmieniło. Następuje proces, który wydawałoby się nie do końca jest pożądanym. Na przykład ciągle rozrasta się administracja. Potrzebujemy coraz więcej pracowników, coraz lepiej przygotowanych, wykształconych, z nowymi kompetencjami, bo przejmujemy coraz więcej funkcji, albo pewne z nich są rozwijane. Kiedyś w ogóle nie były one przedmiotem zainteresowania samorządu, a teraz jest to bardzo ważny element życia. Jako przykład podam zarządzanie energią. Mamy w urzędzie miasta Wydział Zarządzania Energią, który zajmuje się szukaniem rozwiązań proekologicznych, wydajnych energetycznie. Na początku mojej pracy w ogóle takie komórki nie istniały w miastach czy gminach, a teraz przypuszczam, że powstały wszędzie. U nas taka komórka powstała bardzo wcześnie, bo dostrześliśmy, że jest to wyzwanie, przed którym stają nie tylko samorządy, ale i cały świat.

Pojawiają się ciągle nowe wyzwania, których wcześniej nie było. One powodują, że samorząd musi się zmieniać. Jeżeli chodzi o oczekiwania mieszkańców w sferze kultury i rekreacji to również potrzeby kadrowe są coraz większe. Potrzebujemy więcej urzędników, bo na miasto nakładane są nowe zadania ustawowe. Musimy być sprawni i wydajni, a to wymaga też wzrostu miejskich instytucji. Nie wszystkim się to podoba, ale mieszkańcy oczekują również bardzo dobrej, sprawnej obsługi, a nie da się tego zrobić bez odpowiednio przygotowanych pracowników i ich wystarczającej liczby.

Innym wielkim problemem, który pojawił się w ostatnich latach jest bardzo poważnie zachwiany system finansowania samorządu. Myślę, że to usłyszy pan od każdego samorządowca. Przez lata działaliśmy w warunkach przewidywalnych, wiedziliśmy, jakie będziemy mieli dochody, jeśli rozwinie przedsięwzięcie. Ostatnie reformy systemu podatkowego stały się dla gmin prawdziwą katastrofą. Mówię tu o trzech etapach zmian w podatku od dochodów osobistych. Po cząwszy od zmiany stawek za pierwszego PiS, poprzez zwolnienie z tej daniny ludzi młodych do 26. roku życia, aż po skokowe zwiększenie kwoty wolnej i obniżenie progów w ramach Polskiego Ładu. Wskutek tych zmian doszło nawet do tego, że musiano znowelizować prawo, aby samorządy mogły uchwalić budżety, bo reguła, że wydatki bieżące nie mogą być wyższe niż dochody bieżące nie była już możliwa do zachowania. Potrzebna jest więc rzetelna dyskusja o dochodach samorządów i wprowadzenie nowej ustawy. Przywrócenie samorządom należnych i odpowiednich dochodów jest absolutnie niezbędne.

Czego w takim razie życzyć Panu i miastu z okazji 25-lecia sprawowania funkcji?

Życzenia dla miasta i dla mnie będą bardzo podobne: żebyśmy mieli możliwości prawne, organizacyjne i finansowe realizowania naszych zamierzeń. Mamy bardzo ambitne plany, chcielibyśmy wiele dla naszych mieszkańców zrobić. Chcielibyśmy, żeby miasto piękniało, a mieszkańcy byli z niego dumni. Żeby były solidne podstawy dla rozwoju lokalnych społeczności, bo to jest jedna z najważniejszych rzeczy. Ludzie mieszkają w konkretnym miejscu. Korzystają na co dzień z tego, co im oferuje ich miasto. Jakość życia zależy właśnie od tego, jak samorządy będą w stanie realizować oczekiwania swoich mieszkańców. Oczywiście są też potrzeby ogólnokrajowe, na przykład bezpieczeństwa, które musi zapewniać państwo. Jednak wiele oczekiwań można spełnić na miejscu i kiedy da się możliwości, to samorządy z pewnością sobie z tym poradzą.

Tego życzę i bardzo dziękuję za rozmowę.

POSTSCRIPTUM CMXCVII

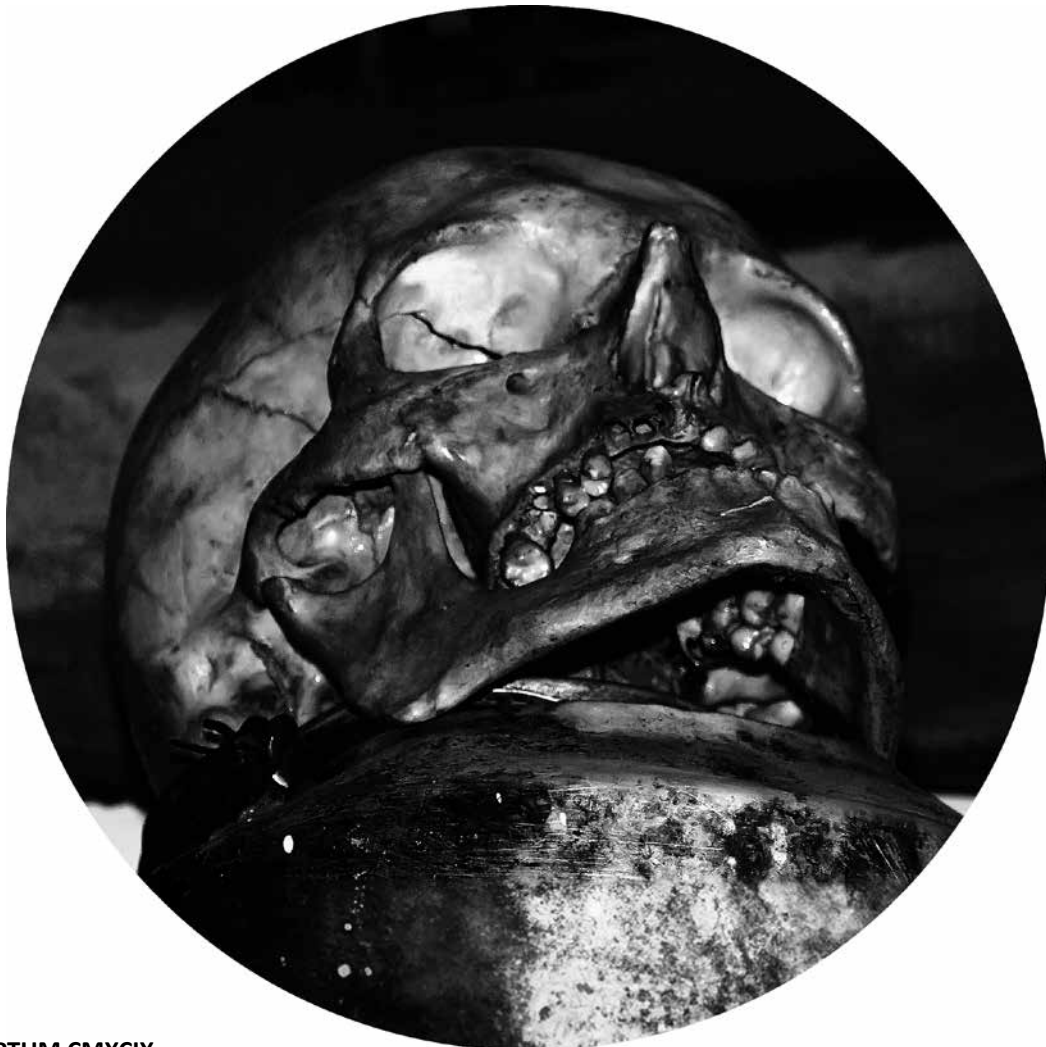
napisałeś świat
drobnym drukiem
kto by to czytał

POSTSCRIPTUM CMXCVI

czym jak nie tobą
jak nie pustką
zaludnić słowa

POSTSCRIPTUM CMXCVIII

żeby to tylko ciche dni
ale to tysiąclecia całe eony milczenia
powiedziałbyś słowo



POSTSCRIPTUM CMXCIX

ze słów
bez klamek
jak wyjść

POSTSCRIPTUM M

po raz
tysięczny
stado słów

POSTSCRIPTUM MI

nie dość że jest
to jeszcze go nie ma
znać że wszechmocny

POSTSCRIPTUM MII

zatarłeś ślad po sobie
żeby była
pożywna pustka

Grażyna Ogrodowska: W telewizyjnej wersji sztuki Aleksandra Fredro *Świeczka zgasła* w reżyserii Jerzego Stuhra, dodajmy Teatru Telewizji realizowanego na żywo, musiała zafascynować sobą scenicznego partnera, podczas gdy... nie było widać jej twarzy, nie miała też do dyspozycji niemal żadnego ruchu. W roli Pana wystąpił Maciej Stuhr. „No cóż, że ze Szturzem” – powtarzała sobie ćwiczenie dykcyjne przed ujęciami. Jerzy Stuhr był pod wrażeniem jej umiejętności grania klasyki. Na studiach aktorskich próbowano przełamać jej elegancki, jakby niedzisiejszy styl i wizerunek dziewczyny z dobrego domu. Polecono jej oblać kawą Annę Polony, a Jerzy Trela nakazywał, celem ćwiczeń, mocno przeklinać, palić i się upić. Po latach, kiedy gra epizod więźniarki w filmie Beaty Dżianowicz *Odnajdę cię*, albo Bognę w jej *Strzępach*, kiedy szokuje widzów w *Drachu*, albo wzrusza jako Matka w *Pokorze* (reżyseria Robert Talarczyk), widać, jak dobrze odnajduje się w rolach kobiet mocnych i wyrazistych, fizycznie zmienionych.

Do performansu *Ofelie. Ikonografia szaleństwa* Zorka Wolny wybrała aktorki, które grały Ofelie w różnych teatralnych inscenizacjach szekspirowskiego *Hamleta*. Agnieszka Radzikowska jest tam jedną z najbardziej przykuwających uwagę w przetworzonej przez siebie, frenetycznej, finałowej scenie szaleństwa. Jej Iwona w spektaklu Attili Keresztesa, za którą otrzymała nagrodę aktorską, była jedną z najlepszych interpretacji tej Gombrowiczowskiej bohaterki.

Podczas promocji wielokrotnie nagradzanego filmu *Strzępy* w reżyserii Beaty Dżianowicz, w którym Agnieszka Radzikowska gra Bognę, jedną z głównych ról, usłyszałam, jak mówi widzom lekko i jakby od niechcienia: „...bo ja zwykle piszę takie liściki od mojej postaci dla aktora, który mi partneruje. Michał Rolnicki na przykład ma ich już pełno. Mój filmowy mąż, Michał Żurawski też takie dostawał. Od Bogny”.

Postanowiłam sprawdzić, co się za tym kryje. Żarty aktorskie czy może wariacje twórcze na temat aktorskiej Metody? Kiedy wyłania się sceniczna (filmowa) postać, co dzieje się wewnątrz Aktorki?

Agnieszka Radzikowska: – „Czy ta dziewczyna kibola wreszcie urodziła? – pytali chirurdzy z wyższych pięter szpitala, bo kiedy rodziła się nasza córka Lea, Darek przez całe 13 godzin motywował mnie, śpiewając: Hej, Górnik, gol! Fajne mamy relacje (śmiech). Ale kiedy po raz pierwszy miałam na scenie zagrać żonę własnego męża, trochę się zestresowałam. A przecież tak kocham grać z moim Darkiem na scenie! Dlaczego? Bo mamy tak różne metody pracy nad rolą? Dariusz wywodzi się z wrocławskiego Teatru Pieśń Kozła, gdzie wszystko zaczyna się od ciała, to ono jest impulsem. Ja pracuję kompletnie



Możliwość bycia nieleniwą

Z AGNIESZKĄ RADZIKOWSKĄ
o aktorskich metodach budowania roli
rozmawia GRAŻYNA OGRODOWSKA

inaczej. Zaczynam od pisania monologów wewnętrznych moich postaci. To się chyba jakoś dobrze spotyka”.

G.O.: Te dwie osobowości aktorskie i dwie metody pracy świetnie się uzupełniły w intrygującym spektaklu Teatru Śląskiego *Himalaje* w reżyserii Roberta Talarczyka. Dariusz Chojnacki – w roli Jerzego Kukuczki i Agnieszka jako Celina jego żona.

Każdy aktor ma swój sposób kreacji – wie, co potrafi go uruchomić. Agnieszka Radzikowska uważa, że dla jej osobowości oraz wrażliwości tworzenie wewnętrznych monologów postaci i rysunków, to najciekawszy i najbardziej

kreacyjny sposób tworzenia bohaterów scenicznych.

*Przecież ja nie wiem, że on zginie.
Przecież ja tego nie wiem codziennie.*

A.R.: Podczas pierwszych prób *Himalajów* na Dużej Scenie wróciłam do rysunków, których uczył nas na studiach twórczy Krystian Lupa. (To też forma monologu wewnętrznego. Rysuję abstrakcyjne obrazy tego, co się dzieje w ciele mojej postaci, miejsc, które ją boją w wyniku przeżyć, stresu). Czułam, że ruch mojej bohaterki był okupiony uciskiem w miejscu, które rysowałam, dlatego ruch zaczyna-

łam w improwizacji od wdechu. Poczulałam, że Celina bierze świadomy oddech, a dopiero potem się porusza... Podczas prób Celina często mi się śniła. Nie ja – Celina, ale Celina realna – żona Jerzego. W snach widziałam, że chodzi wolno, jest ostrożna. Kiedy Jerzy jest w domu, jej ciało jest wolniejsze, kiedy wyjeżdża – szybsze. Kiedy męża nie ma, Celina chodzi szybciej, gwałtowniej, zaczyna biegać chaotycznie. Myśląc o ciele Celiny, szukałam rytmu. Pisałam dużo na temat jej stóp, ponieważ założyłam, że zarówno w Istebnej, jak i w Katowicach, chodziła boso. Poprosiłam naszą scenografkę, Katarzynę Borkowską, żebyśmy mogła w spektaklu chodzić bez butów, a szpilki założyłam dopiero w ostatniej scenie pogrzebu – pożegnania Jerzego. Wcześniej potrzebowałam tej bosej stopy, która chodzi po lodzie każdego dnia z Jerzym. Pisząc monologi Celiny wydawało mi się, że coś już wiem. Kiedy jednak rozpoczęliśmy pierwsze improwizacje, stres zabierał całą pamięć monologów.

*Ja idę. Tylko on. Nie ja, on.
Nie ma moich ambicji.
Nie ma leż.
Idę wolna do niego.
Idę po niego.*

Monolog wewnętrzny dobrze zestrojony z ciałem daje mi jako aktorce szansę na stworzenie wiarygodnej postaci. To jest sam początek powstawania emocji, w które staram się wejść. Ale bardzo trudno jest nazwać i uchwycić moment,

kiedy monolog wewnętrzny wchodzi do ciała. Ten proces zachodzi bardzo często podczas powtórzeń scen, kiedy po raz kolejny muszę do czegoś wrócić. Czuję wtedy wchodzenie ciała w pewien rytm. Ale nawet najlepiej rozwibrowany monolog wewnętrzny postaci nie zadziała, jeżeli nie będzie kompatybilny z partnerem scenicznym. To on nadaje rytm mojemu monologowi. To on i jego wewnętrzny stan nastrajają moją postać i potrafią zmienić tory, które sobie założyłam. Dlatego zapisuję monologi, które powstają podczas naszego scenicznego kontaktu. A na późniejszych etapach bardzo często przekazuję partnerowi listy od mojej postaci. Nie oczekuję, że odpisze! Jednak po wręczeniu listu, podczas prób czy spektakli obserwuję, w jaki sposób treść listu rezonuje z jego rolą.

G.O.: Agnieszka Radzikowska zagrała w Teatrze Śląskim ponad 40 ról. Ciekawą relację między postaciami wykreowała np. z Grzegorzem Przybyłem (*Poskromienie złośnicy* w reżyserii Tadeusza Bradeckiego) ale to z Michałem Rolnickim stworzyli niezapomniane pary, które jednocześnie kochają się i krzywdzą: Iwona – Filip. Hamlet – Ofelia. Helena – Bertram, Nikodem – Dziewczyna.

Iwona, księżniczka Burgunda Gombrowicza, *Hamlet* oraz *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* Szekspira, *Drach Twardocha*. Różne teksty, epoki, stylistyki, reżyserzy. Ten sam rodzaj pracy nad rolą i kontaktu z partnerem.

*Wszystko mnie boli.
Nawet jak śpię, to boli tam daleko.*

A.R.: „Kiedy Michał Rolnicki jako Hamlet w spektaklu w reżyserii Attili Keresztesa zaczął na próbach dostawać pierwsze listy od Ofelii, na początku bardzo się zdziwił. Potem pisałam i wręczałam je przed każdym spektaklem. Za każdym razem listy były inne i dotyczyły innego aspektu naszej relacji. Czasem napisałam coś takiego, że potem czułam, jak inaczej mnie na scenie dotykał, jak zdanie, które mu podałam, go zmienia. Widziałam, że ma inne oczy. Michał polubił te listy. Kiedyś powiedział, że jak listu przed spektaklem nie będzie, to nie zagra! Listy od Bogny dałam też Michałowi Żurawskiemu na planie filmu *Strzępy*. Były to ostre, mocne rzeczy, które, jak mówił, bardzo go bolały. To znaczy jego postać. Po którymś z rzędu monologu wewnętrznym zaczynam czuć, że to nie są moje zdania, że to słowa, które pisze moja postać. Często są to bardzo intymne rzeczy i nigdy nikomu ich nie pokazuję.

Jak reagują na to reżyserzy?

Bardzo różnie. Beata Dżianowicz sama stosuje metodę pisania dokładnych biografii swoich bohaterów, więc się uzupełniałyśmy. Ona świetnie rozumie aktora. Marcin Zwierzchowski, z którym spotkałam się podczas tworzenia spektaklu *Zanurzenie*, już na początku powiedział: „Ja też tak pracuję!” Dużo swobody twórczej, zachowując swoją wizję spektaklu, zostawiają aktorom Attila Keresztes, Robert



fol. Przemysław Januska



Iwona, księżniczka Burgunda

Talarczyk, Małgorzata Bogajewska. No i mój Mistrz, Tadeusz Bradecki. Dostałam od niego ogromne wsparcie, czerpałam z mądrości i inteligencji. Bardzo mi go brakuje. Ale spotykałam się też u reżyserów z pobłażliwością, albo brakiem akceptacji. To jest tzw. typ sprawczy: aktor w prawo, w lewo, tylko ja decyduję, aktor słucha. Nie lubię takiej pracy. Jeżeli muszę tylko powtarzać i trafiać w zadane tony, nie potrafię być twórczą”

*Jestem. Czekam.
Nic nie czuję.
Czekam na bycie Iwoną.*

„Praca z monologiem wewnętrznym od wielu lat daje mi – aktorce – możliwość bycia nieleniwą. Kiedy muszę wyjść na scenę w sytuacji złego samopoczucia fizycznego czy psychicznego, właśnie monolog wewnętrzny jest moim sposobem na mobilizację i aktywność tworzenia, na dyscyplinę warsztatową. Monolog to mój trening. Ćwiczenia wewnętrzne dla ciała, które powodują rozwibrowanie emocjonalne i fizyczne. Często uruchamiam się też na dźwięk, muzykę. Zawsze szukam muzyki mojej postaci, utworu, który towarzyszy mi w całym procesie. Bogna słuchała na przykład heavy metalu, bo potrzebowałam mocnego „nakrętu”, a Ofelia – Keitha Jarretta *The Koln Concert*. Oczywiście, że nie zawsze pracuję tą metodą. Na przykład Adelka z *Piątej strony świata* Kutza jej nie potrzebowała, wiele jest ról, gdzie wystarczy sama technika, warsztat”

G.O.: Pytam Agnieszkę, czy ta Metoda nie jest zbyt wymagająca. Czy wchodzenie tak głęboko w postać, nie wiąże się ze zbyt dużym kosztem? Czy postać musi żyć w ak-

torze? Kiedy Dustin Hofman umartwiał się w *Maratończyku*, nie spał, nie jadł, biegał kilometrami, jego filmowy partner, Sir Lawrence Olivier zapytał: „Chłopcze, nie możesz tego po prostu zgrać?”

*Piję kawę.
Niedobra, obleśna, nie moja.
Tylko kubek został ten sam.
Idę położyć się w nie swoim życiu.*

A.R.: „Daniel Day Lewis, ulubiony aktor mojego męża, w *Ostatnim Mohikaninie* własnoręcznie zbudował canoe, nauczył się polować na zwierzęta (nawet je skórać), nie roztawał się z toporkiem, a grając niesłusznie skazanego za zamach bombowy w filmie *W imię ojca*, spędził kilka dni zamknięty w celi, tylko po to, żeby kwestia, którą miał wygłosić, brzmiała realnie. Daniel Day Lewis ma trzy Oscary, ale już nie gra... Tak, to są duże koszty, to może być dewastujące duszę i niebezpieczne, kiedy nie będzie się już mia-

ło z czego czerpać. Ale to jest też moje. Od czasu studiów w Szkole Aktorskiej. Inaczej nie potrafię. I chyba nie chcę.

Dzięki pracy ze studentami w Szkole Aktorskiej Teatru Śląskiego (trzyletnia pomaturalna szkoła aktorska kształcąca przyszłych artystów) mogę badać tę metodę i analizować ją, patrząc z boku. Od 2010 roku kolejnym rocznikom moich studentów mówię: Musicie znaleźć swoją odpowiedź na Radzikowską. Ja wam tylko pokazuję, że tak też można, pokazuję, jak ja to umiem. Bo to jest najciekawsze. Znaleźć coś swojego i pójść dalej”.

W artykule wykorzystałam pracę doktorską Agnieszki Radzikowskiej *Proces budowania monologu wewnętrznego jako metoda pracy nad rolą Celiney Kukuczki w spektaklu „Himalaje” w reżyserii Roberta Talarczyka w Teatrze Śląskim w Katowicach* (PWSFTiT w Łodzi) oraz fragmenty monologów wewnętrznych, które aktorka tworzy podczas pracy nad rolami.

Agnieszka Radzikowska. Urodzona w Chorzowie. Absolwentka krakowskiej PWST (2008), jej rolą dyplomową była Młoda w *Kłótnie* Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Anny Polony. Na czwartym roku studiów zagrała Simonę w spektaklu Krystiana Lupy *Warsztat – Marat – Sade*. Od 2002 roku związana jest z Teatrem Śląskim w Katowicach, gdzie debiutowała w spektaklu Bogdana Toszy *Chryje z Polską*. Od wielu lat współpracuje z Teatrem Bez Sceny Andrzeja Dopierały; spektakl *Diabelski młyn* zagrano już ponad 100 razy! W 2010 roku otrzymała II nagrodę aktorską za rolę Iwony w spektaklu *Iwona, księżniczka Burgunda* w reżyserii Attili Keresztesa na Międzynarodowym Festiwalu Gombrowiczowskim w Radomiu. W latach 2010–2012 odebrała Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego za osiągnięcia w dziedzinie aktorstwa oraz Nagrodę im. Leona Schillera przyznaną przez ZASP. W sezonie 2018/2019 otrzymała nagrodę Rady Mecenasów Teatru Śląskiego za najlepsze role, a w 2022 Srebrny Krzyż Zasługi dla Województwa Śląskiego. Podczas Kozzi Film Festiwal za rolę Bogny w *Strzępach* w reż. Beaty Dżianowicz została nominowana do nagrody za najlepszą filmową rolę drugoplanową w 2023 roku.

Dlaczego nie powstała literacka legenda Wojciecha Korfantego?

KRYSTIAN WĘGRZYNEK

Wykluczała to legenda Józefa Piłsudskiego, politycznego i osobistego wroga śląskiego przywódcy. Oczywiście przyczyniały się do tego niesprzyjające okoliczności polityczne (zwalczeni go usłużni sanatorzy, gorliwi komuniści i śląscy odrębnościowcy) i artystyczne (brak zainteresowania Korfantym i Górnym Śląskiem poza regionem). A ponadto: jakież szanse, chociażby wizerunkowe, ma pieszy-nieuzbrojony – by odwołać się do sąsiadujących ze sobą pomników – z konnym szablę dzierżącym?

Mesjasz i Mojżesz

Mesjasz może być tylko jeden! Wyprzedzony przez romantyków, dośniony przez Wyspiańskiego, odmalowany przez Malczewskich i Kossaków. Opiewany przez poetów Odrodzonej Polski, Piłsudski króluje w Warszawie i w Wilnie, w Krakowie i we Lwowie, a w odpowiednim czasie zaczyna panować w Katowicach. Kiedy do stolicy najmniejszego wówczas województwa przyjeżdża z Krakowa jego nowy administrator, Michał Grażyński, przywozi ze sobą swojego przyjaciela, Mariana Sobańskiego. Ten najpierw pomaga sanacyjnemu wojewodzie stworzyć „Polskę Zachodnią”, dziennik konkurencyjny wobec „Poloński”, a potem zostaje dyrektorem katowickiego teatru. Właśnie wtedy powstają na jego deskach słynne inscenizacje w duchu teatru monumentalnego, których autorem jest Leopold Pobóg-Kiełanowski. Przed premierą *Wyzwolenia* (17 września 1936) reżyser pisał: „Teatr nie może tu porzekać na zabawie – musi wykuwać duchową potęgę Polski, idąc za wskazaniem Wielkiego Marszałka”. Zanim ze sceny rozległo się wołanie Konrada, którego wówczas nawet Tadeusz Boy-Żeleński, utożsamiał z Piłsudskim, ogłoszono, że teatr będzie nosił imię Stanisława Wyspiańskiego. Nie doszło jednak do planowanego przez magistrat wmurowania płyty pamiątkowej „w miejscu, z którego wygłosił Marszałek Józef Piłsudski, w czasie pobytu w Katowicach w 1922 roku, pamiątne przemówienie do ludności Śląska i odebrał

defiladę” (jak czytamy w sprawozdaniu z posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego).

W tym samym czasie (listopad 1935) ukazuje się – podporządkowany sanacyjnym władzom – specjalny, obszerny numer „Powstańca Śląskiego”, wydawanego przez Związek Powstańców Śląskich, w którym Marszałek (wymieniony 34 razy) ukazany został jako inspirator powstań śląskich, Korfanty natomiast wzmiankowany jest raz (krytycznie, w kontekście działalności Naczelnej Rady Ludowej w Wielkopolsce). Nie ma go wówczas na Śląsku nie tylko symbolicznie, ale i fizycznie. Wiosną tego roku, z obawy przed powtórny aresztowaniem, zmuszony był do wyjazdu z kraju (ostatnie lata życia spędził w Czechosłowacji). Kiedy zdecydował się na powrót w kwietniu 1939, zakładał, że w obliczu zbliżającej się wojny, na bok zostaną odsunięte polityczne spory. Mylił się, został aresztowany i osadzony na Pawiaku, a wkrótce po zwolnieniu zmarł. Ale jeszcze przed jego powrotem władze województwa śląskiego zaplanowały uczczenie Naczelnika Państwa poprzez postawienie pomnika zamówionego u chorwackiego rzeźbiarza Antuna Augustinića.

Kiedy w 1989 roku do Katowic miało sprowadzić pomnik Piłsudskiego (wybuch wojny zniweczył pierwotne plany), wzbudziło to silne emocje wśród zwolenników Korfantego. Ewa Chojecka, w rozmowie ze Zbigniewem Rokitą, przypomniała, że ponownie ujawniło się wówczas „pęknięcie historii”. „Przyszli do mnie korfanciarze i powiedzieli: «Protestujemy! Ten pomnik jest dla nas obrazem sanacyjnej władzy! I jeśli tu stanie, przyjdziemy i go zniszczymy!». [...] Po kilku latach obok postawiono pomnik Korfantego. Do dziś stoją tak naprzeciwko siebie. Piłsudski przedstawiony jest jak tradycyjny rzymski wojownik na koniu, a Korfanty stoi z opuszczonymi ramionami, przegrany, bezsilny. Czytani razem stanowią memento, że historia nie jest czarno-biała”.

Jakkolwiek by interpretować te monumenty, oba symbole spotykają się we wspólnej przestrzeni: Piłsudski – ucieleśnienie romantycznego mesjanizmu oraz Korfanty, Mojżesz z Katowic, jak go złośliwie określił Adam Napieralski.

Opozycjonista z nieznanego kraju

Legendę Marszałka tworzą rzesze artystów, by wymienić poetów Skamandra, Broniewskiego, Sieroszewskiego, Kadena. Jeden tylko wymarsz Pierwszej Kadrowej malują Julian Fałat i Jerzy Kosak. Mitowi nie zostają przeciwstawione równie sugestywne obrazy opozycji, może z wyjątkiem Błękitnej Armii Hallera, a „endecka propaganda – zauważa Bohdan Urbankowski analizujący srebrną i czarną legendę Piłsudskiego – nie była zdecydowana, czy przypisać zasługi zwycięstwa nad Wisłą Hallerowi, Rozwadowskiemu, czy Weygandowi”.

Wśród wielu wizerunków Piłsudskiego – carobójcy, dyktatora państwa podziemnego, organizatora legionów, ojca niepodległości, twórcy cudu nad Wisłą czy wreszcie Heraklesa czyszczącego stajnie w czasie przewrotu majowego – trudno znaleźć wzmiankę o Korfantym. W wierszu Benedykta Hertza *Herakles i Augiaszowa stajnia*, na który powołuje się Urbankowski, rolę są rozdane: czyścicielem jest Piłsudski, brudzącymi – politycy opozycji. To miejsce w szeregu, czy raczej w sanacyjnej stajni, wskazuje poniekąd Korfantemu – Urbankowski, przywołując „śląską wersję I Brygady”: „My śląscy powstańcy, / mimo was zaprzańce, / przez krew zdobędziem Śląsk / mimo wasz gniew przez krew, przez krew!”. Komentuje jej treść następująco: „Zaprzańce, to – jak mi tłumaczyli powstańcy na spotkaniu w bytomskim PAX-ie – Korfanty i jego ludzie, ci, którzy nie chcieli powstania. Sama forma nawiązująca do walk Piłsudskiego świadczy wymownie, po której stronie były sympatie walczących”. Anonimowy wiersz wszakże to nie dowód „zaprzaństwa”, a efekt walki politycznej pomiędzy dyktatorem III powstania śląskiego a Grupą Wschód, której szefem sztabu był Michał Grażyński.



Katowice Zawodzie – mural z Wojciechem Korfantym

Zwolennicy walki do ostatniej kropli krwi wypowiadają przywódcy posłuszeństwo, takimi słowy (dalszy ciąg tej samej, anonimowej pieśni): „Dziś jedna tylko jest granica, / A kreśli ją powstańczy huf. / Nie będziem już słuchać «Łomnica» / Ni jego prośb, ni pięknych słów”.

To bezpośrednia polemika z odezwą powstańczą Korfantego (w czasie kampanii plebiscytowej rezydował w bytomskim hotelu Łomnitz), który zwracał się do literacko wywiedzionych z *Roty* Marii Konopnickiej „orężnych hufców”. Urbankowski w zasadzie powtarza narrację stworzoną przez Grażyńskiego, honorowego prezesa Związku Powstańców Śląskich: to Piłsudski jest ojcem duchowym ostatniego romantycznego zrywu Polaków, jest „Ostatnim Dziedzicem Powstańczego Miecza”. Podobna interpretacja, pojawiła się i współcześnie, na łamach dziennika „Rzeczpospolita”. W artykule *Korfanty – grabarz III powstania śląskiego*, opublikowanym w setną rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Polski, Hubert Kozieł pisał: „Gdyby powstańczy dyktator mniej mieszał się do dowodzenia i mniej ufał aliantom, moglibyśmy zdobyć większą część Górnego Śląska”.

Taki wizerunek Korfantego ma swoją długą tradycję. Za ledwie cztery dni (sic!) po uroczystym przejściu części Górnego Śląska przez Polskę tak kandydata na premiera przedstawi „Głos” Wojciecha Stpiczyńskiego: „Jest rzeczą charakterystyczną, jak niepopularną osobą w Polsce jest poseł Korfanty. Osoba «przywódcy i organizatora» walki o odzyskanie Śląska nie budzi już zachwytu, uwielbienia ani nawet serdeczności. [...] Sprawy ogólne Korfanty traktuje raczej jako agitator, jako krzykliwy wiecownik. Do poziomu męża stanu wznieść się nie jest w stanie... Rządy posła Korfantego byłyby rządami brutalnej siły, pozbawionej myśli przewodniej i szerszych planów”.

Ten głos to za ledwie preludium do pełnowymiarowego *furioso*, które wybrzmi po przewrocie majowym. Właśnie wtedy zaczyna się konstruowanie kolejnego negatywnego wizerunku Korfantego – malwersanta. Tę akcję specjalną koordynuje ówczesny pracownik Ministerstwa Skarbu (późniejszy prezydent Warszawy) Stefan Starzyński. Z jednej strony zbiera „dowody”, mające być podstawą do oskarżenia go o przestępstwa fiskalne, z drugiej koordynuje akcję prasową, skierowaną przeciw śląskiemu politykowi. Jej celem było „osłabienie autorytetu Korfantego na Śląsku i wzmocnienie sanacyjnego wojewody o legionowym rodowodzie – Michała Grażyńskiego” – pisze Grzegorz Piątek w książce *Sanator*. W sumie Starzyński opracował 47 raportów, z których jedynie osiem prokurator uznał za materiał mogący jakoś zaszkodzić śląskiemu politykowi.

Z atmosfery tych zarzutów wyrasta wizerunek Korfantego jako czarnego charakteru we współczesnej powieści kryminalnej Konrada T. Lewandowskiego *Śląskie dziękczynienie* (2010). Nadkomisarz Jerzy Drwęcki, znajomy gen. Bolesława Wieniawy, ma dotrzeć na Śląsk i sprawić, by Korfanty przestał wreszcie „ujadać na sanację”. Niezależnie przekonanemu komisarzowi, początkowo uważającego Korfantego za „bohatera narodowego, który przywrócił do macierzy kawał Górnego Śląska”, generał przedstawia „pełny” wizerunek śląskiego polityka, a ściślej rzecz biorąc, jego wizerunek skonfrontowany z sylwetką Komendanta: „Marszałek to człowiek idei, żyjący dla spawy, a Korfanty jest cynik bez żadnych hamulców moralnych. [...] Żadnych fabryk, posiadłości ziemskich, akcji, spółek, pałaców ani kamienic nasz Komendant się na Polsce nie dorobił. [...] Z naszych tajnych subwencji na powstania śląskie brał do własnej kieszeni, ile wlaźło, a że tajne były, to i rozliczać się z nich nie musiał.

Dość powiedzieć, że po każdym powstaniu przybywał mu jeśli nie dom w samych Katowicach, to kawał ziemi gdzieś obok albo konto w banku szwajcarskim”.

Wieniawa – w ujęciu Lewandowskiego – stawia więc zarzuty, jakich nawet nie formułował Sąd Marszałkowski – defraudację finansowych środków przeznaczonych na wsparcie powstań czy posiadanie kilku nieruchomości na Śląsku. W świecie przedstawionym przez Lewandowskiego Korfanty zdecydowanie nie zasługuje na miano politycznej osobistości. Jest absolutnym przeciwieństwem ideowca Piłsudskiego – cynicznie posługuje się swoim asyntenem i aranżuje jego zabójstwo. I tylko grając tę rolę mógłby być idealnym realizatorem wielkiej akcji antyniemieckiej, bo „potrzebny będzie jeszcze polityk, cyniczny sukinsyn, jak mi to kiedyś w cztery oczy pan Marszałek był łaskaw powiedzieć, który jednak właśnie dzięki tej niepięknej cesze charakteru znów zdoła Niemców oszwabić”.

Wróćmy do konfrontacji dokonywanych bezpośrednio w okresie międzywojennym. Po zwolnieniu Korfantego z Brześcia pisarze związani z sanacją utrwalają jego negatywny wizerunek. Zofia Kossak w eseju *Przywódcy*, zamieszczonym w tomie *Nieznany kraj* (1932), ukazuje przede wszystkim niesubordynację Korfantego, który „czuje odruchową niechęć do właściwego ich Wodza, Inicjatora, starego spiskowca o krzaczastych brwiach i surowej, twardej duszy”. Pisarkę zajmuje jednak w większym stopniu porównanie nowego władcy Śląska ze starym. Po przewrocie majowym, kiedy Grażyński zostaje wojewodą, Korfanty jest przekonany, że „zgnębi go rychło”. Jednak Grażyński okazuje się „znakomitym administratorem, urodzonym organizatorem i władcą”, co sprawia, że „z druzgocącą energią wprowadza Polskę w Śląsk, a Śląsk w Polskę”. Jej rezultatem jest z jednej strony „niestrudzona walka” wojewody z germańskim wrogiem, a z drugiej wchodzenie Korfantego w polityczne aliansy z niemiecką mniejszością w Sejmie Śląskim. Dla Kossak to kolejny powód, by strącić Korfantego w sprawdzoną otchłań: „Przychodzi chwila, gdy stary bojownik polskości na Śląsku zaczyna solidaryzować się z Niemcami. Przesmutne, przepolskie. Majaczą się cienie Lubomirskiego, Zembrzydowskiego i tylu innych”.

Ale dotkliwsze wydaje się pomniejszanie roli Korfantego, szczególnie jako przywódcy powstań śląskich (*Wygrabany chodnik* Gustawa Morcinka), czy wręcz ignorowanie jego obecności w życiu publicznym. Nawet kiedy zerkniemy do najbardziej politycznej prozy tamtego czasu, do powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego, to, owszem, znajdziemy tam portrety po-

litycznych przeciwników Marszałka: Wincentego Witosa (*Mateusz Bigda*), Ignacego Daszyńskiego (Tadeusz Mienniewski w *Czarnych skrzydłach*), gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego (Krywult w *Generale Barczu*), ale trudno dostrzec postać przypominającą Korfantego. Pewne aluzje można odnaleźć w śląsko-angielskiej biografii Pietrzaka, postaci wykreowanej w ostatniej z wymienionych książek („Urodzony jestem z Polaków. Górnoślązak?... *Upper Silesia*”). Pietrzak, będący agentem brytyjskiego wywiadu, udaje przedstawiciela zakonu redemptorystów, który chce przejąć teatr marionetek generałowej Barczowej („Najlepiej było kupić i przesać do muzeum... *Polish folklore*”). Zaleca się zarówno do niej, jak i do Hanny Drwęskiej (przypominającej Aleksandrę Szczerbińską). To ona używa wobec epuzera-agenta określenia, które chętnie podchwyciłby Konrad T. Lewandowski – „bogaty chamuś”.

Lokalny bohater

Dwa razy Wojciech Korfanty wyraziście objawia się w śląskim panteonie literackich herosów. Po raz pierwszy jako... bohater liryki funeralnej. Po jego śmierci powstaje cała seria okolicznościowych wierszy. Najbardziej znane to *Pogrzeb Korfantego* Wilhelma Szewczyka oraz *Wodzu* Kazimierza Gołby. W pierwszym Korfanty staje się uosobieniem swojej małej ojczyzny („Trzeba to ciało ponieść, trumnę Śląska pełną”), w drugim – wygnańcem z ojczyzny wielkiej („nie Ona była ci macochą / tyłkoś za wielki był dla małych”). Drugi powrót Korfantego to lata 80. XX wieku. W czasie karnawału „Solidarności” na łamach *Poglądów* powstaje seria felietonów mu poświęcona, z których najdonośniej wybrzmiewa głos Kazimierza Kutza: „Wojciech Korfanty był codziennie w naszym domu, istniał w nim jako oczywistość i wyrastał w jego aurze, choć gdy zacząłem ścibolić pierwsze litery alfabetu, on siedział jako więzień polityczny Dziadka w brzeskiej twierdzy. [...] Istniał już wtedy jako przygnębienie. Wychowałem się bowiem w rodzinie korfanciorzy to znaczy tej olbrzymiej części rodzin tutejszych, które go nie zdradziły i nie dały się przekabacić przez ekipę Grażyńskiego [...] Ruch powstańczy, ludzi i całą tę sprawę zasznuflowano jako regionalny nacjonalizm [...]”.

W latach 1983–1987 Telewizja Polska emituje serial *Blisko, coraz bliżej* według scenariusza Albina Siekierskiego (w rolę Korfantego wcielił się Jerzy Trela). Siekierski to bodaj jedyny legendotwórca śląskiego przywódcy w literaturze polskiej. Korfanty jest bohaterem kilku jego powieści: *Ku górze nad rzeką*, *Ziemia nie boi się kul* oraz *Nastaje zmierzch*; ostat-

nia w całości poświęcona jest Korfantemu oraz jego relacji z sanacją.

Dzieje wzajemnej nienawiści oraz okoliczności próby uformowania rządu poznajemy poprzez fragmenty dialogu sędziego śledczego (który jest zwolennikiem Piłsudskiego) i przesłuchiwanego więźnia Korfantego. Sędzia wspomina wydarzenia z listopada 1918 roku, kiedy polityk, jako przedstawiciel Wielkopolski i Górnego Śląska, próbował stanąć na czele rządu: „Mianowano pana zbawcą ojczyzny. Słuchano na zebraniach, na ramionach wnoszono do sali, na mównicę. Niewiele brakowało, a udałoby się panu stanąć na czele rządu w Polsce. Kilka tygodni po zakończeniu strasznej wojny znowu polałaby się krew. Tym razem w bratobójczej walce. Dzięki świętej pamięci marszałkowi Piłsudskiemu nie doszło do tej tragedii”.

Korfanty z kolei przypomina sobie fragmenty rozmowy z Piłsudskim: „To przecież pan powołał Daszyńskiego na premiera. I co się dzieje? Na ulicach jeszcze nie leje się krew, ale tylko patrzeć, jak padną pierwsze strzały. Naród domaga się rządów sprawiedliwych i silnych. Tylko narodowa demokracja wspólnie z ruchem chłopskim jest w stanie zapewnić takie rządy. [...] Dla pana przemysł może się zakończyć na gorzelnii i dworskiej kuźni, ale nowoczesne państwo nie wyżyje bez przemysłu. Szansa Polski jest na zachodzie, tam gdzie Piastów ród, w Wielkopolsce, na Górnym Śląsku”. A potem – odpowiadając już bezpośrednio śledczemu – konkluduje: „Nie cierpiał nas, działaczy i polityków z kresów zachodnich. Nie potrafił się wzniesić ponad osobiste uprzedzenia w imię dobra ogólnego”. Dla powieściopisarza konfrontacja Piłsudski – Korfanty jest zderzeniem dwóch wizji rozwoju Polski, zorientowanej na Wschód i skierowanej na Zachód. Akurat ta wizja dobrze wpisywała się w PRL-owską ideologię, a szczególnie w mit Ziemi Odzyskanych (podejmuje ją m.in. Gustaw Morcinek w powieści *Mat Kurt Kraus*).

Dzisiejsza opowieść o Korfantym

Rolę obrońcy Wojciecha Korfantego przejął Kazimierz Kutz. Polityk był dla niego uosobieniem idei polskiego Górnego Śląska: w czasach gen. Jerzego Ziętka, wiecznionego w czołówce *Soli ziemi czarnej* wraz z grupą weteranów przed katowickim pomnikiem powstańczym; w 1980 roku jako symbol godności i wolności; także w III RP. W powieści *Piąta strona świata* narrator kilkakrotnie wspomina o Korfantym: „Dziadek nienawidził go, bo nasiąknięty był Zachodem, co wystarczyło, by wdeptać do w trowa. [...] Chciałoby się rzec – róbcie swoje i niy wychylejcie gowy, bo wom jom obetną! Ślązak od wieków nikaj niy jest u siebie i ma dwie drogi do wyboru: arbo siedzieć cicho, arbo szykować się na Ausflug”.

Kutz wielokrotnie przypominał sylwetkę Korfantego w swoich felietonach drukowanych w „Dzienniku Zachodnim” i „Gazecie Wyborczej”. Pisał nie tylko o krzywdach mu wyrządzonych, ale postulował również urządzanie wielkich festynów pod pomnikiem na Placu Sejmu Śląskiego. Pewnym spełnieniem postulatów Kutza stały się przedsięwzięcia realizowane przez Teatr Śląski. W roku 2017 powstał spektakl *Korfanty. Hotel Brześć i inne piosenki* w reżyserii Przemysława Wojcieszka, zaproszonego do Katowic przez Roberta Talarczyka, dyrektora teatru. Spektakl przygotowany w Teatrze Śląskim przedstawił (a raczej artystycznie zasugerował) tytułowe wydarzenia w formie koncertu rockowego, w którym biorą udział wykonawcy wcielający się m.in. w rolę Wojciecha Korfantego, Józefa Piłsudskiego czy Wacława Kostki-Biernackiego. Leitmotywem jest piosenka zatytułowana: *Kto zabił Korfantego?* Ale twórcy zdecydowanie zrywają z zasadą *decorum* i przywołują (a raczej wywołują) zdarzenia w konwencji happeningowo-komiksowej. Korfanty, w którego wcielił się Piotr Bułka, gra rolę i śląskiego przywódcy i prześmiewczego konferansjera, z kolei Kostek-Biernacki bardziej przypomina batmanowskiego Jokera niż oprawcę z Brześcia.

Zamiast podsumowania

Wojciech Korfanty jest także bohaterem literatury niemieckiej. Bohaterem zdecydowanie negatywnym. Z jednym chlubnym wyjątkiem, którym jest *Pierwsza polka* Horsta Bienka. Jeden z jej bohaterów, Georg Montag, od kilkunastu lat pisze tekst swojego życia – obszerną rozprawę o śląskim polityku. Nie jest ona tylko przedsięwzięciem naukowym, ale i doświadczeniem osobistym dla zasympilowanego niemieckiego Żyda urodzonego w Mysłowicach, który – wraz z pisaniem biografii Wojciecha Korfantego – sam wnika we własną tożsamość. Z tych rozważań wyłania się portret self-made-mana totalnego, który buduje nie tylko swój wizerunek, ale i tożsamość: „K. był Polakiem, ponieważ chciał nim być [...]”. Był to ktoś poszukujący swojej tożsamości, wyrosły między Polską a Niemcami, kto dokonał między nimi wyboru”. Kolejne obserwacje prowadzą Montaga do wniosku, który jego samego zaskakuje: „zaczął pracę nad K., gdyż poprzez jego biografię chciał napisać życiorys pozbawionego skrupułów, demagogicznego, ambitnego, nacjonalistycznego polityka, ale im więcej zajmował się materiałem i im dłużej pisał, tym bardziej poza historycznymi faktami odkrywał człowieka i swoją sympatię do niego”. Może kiedyś powstanie po polskiej stronie tak frapujący literacki pomnik?



Anna Bilińska-Bohdanowiczowa (1857–1893), *Nad brzegiem morza, Pourville (1886)*, Muzeum Narodowe w Warszawie

Pourville

dwie chmurki ciepła
pod upiętymi czepkami

w to morskie
chłodne popołudnie

kolejne bez taty

ale wszystko
tu możliwe

i tęsknota
wsypująca się w buty

i ulga że już
nigdy nie wróci

i nowa opiekunka
po godzinach

stale myśląca imię

Blask

zapalane przez
skupionych
kościelnych

cichutkie siostry
i zadyszanych
ministrantów

płomyki
świec
ołtarzowych

o kształcie
dziurek
od klucza

przez które
wieczność
świeci

Zesłanie 2023

i znów usiądziesz
po cichu na jednej
z desek naszej arki

trzepocząc o pokład
zmęczonymi
skrzydłami

z gałązką
światła
w dziobie

z naszej
niewidzialnej
ojczyzny

(Rdz 8, 1–12)

Katowice, Wigilia Pięćdziesiątnicy, 27 maja 2023 r.

Nowe

zapatrzone w wertykalny ogród
hotelu Mercure Katowice Centrum

inhalując się słodką e-chmurą
tłumaczyły sobie co zrobić

gdy liquid w atomizerze
zmiesza się z powietrzem

wspominały lipcowy wypad
z last minute na Korfu

mówiły że zawiecha fejsa
wygenerowała straty

i że kumpela została
happiness managerką

ale też że siostrzeniec
że zaprawianie śliwek

że mama i babcia
że tato i wujek że chrzciny

wyrywane z korzeniami
przez pędzące nowe

hostessa baloniarka
i wedding plannerka

Katowice, 4 listopada 2021 r.



OBRAZ Jean-François Millet, *Un vanneur – Czyszczenie ziarna* (1847–1848),
National Gallery London; Musée du Louvre, Musée d'Orsay, Paryż

Perspektywa

o lądowaniach w kłębach pyłu
bez większych spustoszeń
i całkiem kulturalnych
słyszysz się tu dopiero od półwiecza

do tej pory wpadały tylko bryły
żłobiąc z impetem kraterę
krusząc lodowe połacie
wstrząsając płową kulą

poza tym działo się niewiele
co najwyżej piaskowa burza
niewiejąca nikomu w oczy
niełamiąca żadnych drzew

niebotyczne erupcje Olympus Mons
smugi na pierścieniach jej zastygłej lawy
metanowe wichury dmące w zbrocza
sypkie lawiny schodzące w przepaście

przyszedł jednak czas na sprawy nowe
na ślady kół w ceglany puchu
na odgłosy pracowitych silniczków
na oddechy hydrauliki i turkot wiertel

Spirit Opportunity Pathfinder Curiosity
wpatrzona szkiełkiem w drgającą dal
w zachód mniejszego niż kiedyś Słońca
gdy schodziło za horyzont na Pustyni Negew

aż wreszcie teraz pierwszy raz w historii
nagrany podmuch jesiennego wiatru
na najniższych oktawach akustyki
w furkoczących panelach InSight

i dziesiątki milionów kilometrów
do wapiti i bernikli białolicy
do blasku ogniska nad jeziorem
do drabin opartych o jabłonie

do uścisku dłoni człowieka
który tu kiedyś doleci
już całkiem niedługo
i prawie na pewno na zawsze

Katowice, listopad 2018 r.

Millet

Wisławie Szymborskiej

Dopóki ten mężczyzna
nad Tamizą i Sekwaną

w napiętym dzień po dniu
umęczonym kontrapoście

obolałym ciałem te ziarna od plew
wciąż opałką oddziela,

nie zasługuje nasz spichlerz
na swój rychły kres

ani ja
na zbyt łatwy chleb.



Śląsk i dawne polskie Kresy Wschodnie

O Marii Pawłowiczowej (1923–2016) w setną rocznicę urodzin

TADEUSZ ALEKSANDROWICZ

Działalność badawcza Marii Pawłowiczowej jest już od kilku lat przedmiotem refleksji naukowych, często łączonych z wątkami biograficznymi tej nadzwyczajnej uczoney, jak również w publikacjach o charakterze wspomnieniowym ogłoszonych m.in. w *Śląskich Miscellaneach*, *Studiach bibliologicznych*, „Gazecie Uniwersyteckiej UŚ” czy ostatnio w *Leksykonie Panteonu Górnośląskiego* i w opolskich „Studiach Śląskich”. W tym wypadku ukazywanie aktywności naukowej w kontekście drogi życiowej jest w pełni uzasadnione, ponieważ tematyka badań podejmowanych przez Panią Profesor wyraźnie wiąże się z jej *curriculum vitae*.

Wszystko zaczęło się na dawnych polskich Kresach Wschodnich. Maria Pawłowiczowa urodziła się w Sokolikach Górskich nad Stryjem 8 grudnia 1923 roku, a więc w dniu ważnej uroczystości maryjnej, co znalazło swoje odbicie nie tylko w otrzymanym imieniu, ale także w późniejszych pracach poświęconych Madonnom kresowym. Droga na Śląsk była długa, ale w sposób zadziwiający przybliżająca ją do Katowic. Okoliczności tej peregrynacji były konsekwencją wydarzeń dziejących się w pierwszej połowie wieku

XX. Odrodzona Rzeczpospolita stwarzała nowe możliwości awansu wykształconym Polakom i edukacji ich dzieci. Stąd też kolejnymi przystankami w stronę Śląska był najpierw Stanisławów (1924), a potem Lwów (1934) i Chełm Lubelski (1936). Dramatyczne wydarzenia II wojny światowej zmusiły do szukania schronienia w Mielcu (1941). Po wojnie kontynuowana była dalsza droga w kierunku zachodnim, najpierw z krótkim postojem w Krakowie (1945), a potem z paroletnim zamieszaniem w Bielsku (1945–1949), na wschodnim skraju Śląska Cieszyńskiego. Przez następnych 67 lat były już tylko Katowice (1949–2016).

Historię tej długiej i trudnej drogi po raz pierwszy usłyszałem od Pani Profesor jesienią 1978 roku w pociągu relacji Bielsko-Biała – Katowice. Było to wieczorem w dniu Wszystkich Świętych, gdy przypadkowo spotkaliśmy się, wracając z grobów naszych bliskich. Zналиśmy się wtedy zaledwie od miesiąca, bo na początku października podówczas doktor Pawłowiczowa została zatrudniona na stanowisku adiunkta naukowo-dydaktycznego w Zakładzie Biblioteko-

znawstwa i Informacji Naukowej w Instytucie Literatury i Kultury Polskiej na ówczesnym Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Niebawem zostałem jej asystentem, prowadząc ćwiczenia z historii książki i bibliotek. Po doktoracie powierzono mi wykłady z tego przedmiotu dotyczące starożytności i średniowiecza. Nasza współpraca powoli zaczęła obejmować także badawczy nurt aktywności uniwersyteckiej. Wiele razy powracaliśmy do wydarzeń i problemów, o których rozmawialiśmy we wspomnianym pociągu.

W czasie tamtej pierwszej rozmowy szczególnie ważna okazała się dla mnie chwila, gdy pociąg przejeżdżał przez most nad Wisłą w Goczałkowicach Zdroju, przekraczając granicę Śląska Cieszyńskiego. Miejsce to było punktem odniesienia do godzinnej dyskusji m.in. o tym, czym jest cały Śląsk, a także Górny Śląsk i jego część cieszyńska. Problem ten do dzisiaj bywa różnie interpretowany, choć dla nas było oczywiste, że historyczną stolicą całego Śląska jest Wrocław, a Opole Górnego Śląska, który obejmuje również Śląsk Cieszyński. To stanowi-

sko pozwala uniknąć pułapki, w jaką wpadają osoby, które zdają się nie wychodzić poza status prawnopañstwowy tych ziem z czasów austriackich i pruskich, pomijając fakt, że od średniowiecza podstawą tego historycznego podziału są górny i niższy (dolny) bieg Odry.

Takie pojmowanie Śląska znalazło odbicie w późniejszych pracach Marii Pawłowiczowej, choć ugruntowane było już w okresie jej pierwszego miejsca zatrudnienia w Uniwersytecie Śląskim (1972–1978), tj. w Zakładzie Literatury Staropolskiej, Oświeceniowej i Romantycznej, w ramach którego działała Pracownia „Śląskiego Korbuta”, kierowana przez profesora Jana Kazimierza Zarembę (1906–1983), który był jej mistrzem, począwszy od magisterium o obrazie średniowiecznego Śląska u Kraszewskiego (1965) i doktoratu o roli Kraszewskiego w ruchu narodowym na Śląsku Cieszyńskim (1974). Natomiast owocem badań zespołowych Pracowni była *Bibliografia piśmiennictwa polskiego na Śląsku XVII i XVIII w. Śląski Korbut* (1980).

Kolejne badania Marii Pawłowiczowej koncentrowały się na problematyce książki polskiej i biblioteki na Śląsku Cieszyńskim w latach 1740–1920. Rezultatem tych studiów była rozprawa, która stała się podstawą uzyskania stopnia doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa w roku 1988. Miałem zaszczyt uczestniczyć w kolokwium habilitacyjnym Pani Profesor jako protokolant. Byłem więc świadkiem jej odpowiedzi, a także bardzo erudycyjnego wykładu habilitacyjnego. Oprócz kompetencji merytorycznych, które oceniali recenzenci, moją szczególną uwagę zwróciła dzielność Habilitantki. Gdy jej odpowiedzi zaczęły przybierać formę rozbudowanych wywodów, profesor Wiesław Bienkowski (1926–1999) z Uniwersytetu Jagiellońskiego, będący jednym z recenzentów, bardzo uprzejmie i elegancko zaproponował, aby kontynuowała, zechciawszy usiąść. Podziękowała i stanowczo powiedziała, że przed Radą Wydziału będzie stała. Tak też uczyniła, wygłaszając potem swój wykład. Chciała być wierna akademickiemu obyczajowi, mimo że była już wtedy osobą zmęczoną trudami i dolegliwościami życia.

Tematyka owej habilitacji wzbudziła moje zaciekawienie także dlatego, że urodziłem się na Śląsku Cieszyńskim, a dokładnie na jego północno-wschodnim skraju, w widłach rzeki Białej i Wisły, w Dziedzicach będących częścią dzisiejszych Czechowic-Dziedzic. Na lewym brzegu Wisły był dawny Śląsk pruski z Goczałkowicami, a na prawym brzegu Białej dawna Galicja, czyli Małopolska z Kaniowem. Wcześniej to po-

granicze niezbyt mnie interesowało, ponieważ moja rodzina nie była tam zakorzeniona, a badawczo bliżej mi było do starożytnego Rzymu. Piszę o tym, bo już u początków współpracy z Panią Profesor byłam przez nią zachęcana do zajęcia się kulturą i książką łacińską na Śląsku Cieszyńskim. Kilka lat migałem się, ale w końcu uległem, co pozwoliło mi znaleźć się w zespole badawczym zajmującym się książką i biblioteką na Śląsku, kierowanym przez Panią Profesor.

Warto zauważyć, że usilnie dziś promowana idea tworzenia interdyscyplinarnych zespołów badawczych była z sukcesem realizowana przez Profesor Pawłowiczową już przy końcu lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. W warunkach mocno wtedy zhierarchizowanych struktur uniwersyteckich stało się to możliwe zwłaszcza po habilitacji i po objęciu kierownictwa nowo powstałego Zakładu Historii Książki i Bibliotek (1990), który stał się częścią nieco później utworzonego Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej (1991). Inicjując nowe projekty, skutecznie zachęcała do współpracy literaturoznawców, językoznawców, historyków, teologów i przedstawicieli rozwijającej się bibliologii. Trwałym śladem tamtych inicjatyw jest sześć tomów poświęconych książce polskiej i bibliotece na Śląsku od XIX do XX wieku, które ukazały się pod redakcją Marii Pawłowiczowej w Wydawnictwie „Śląsk” w latach 1992–1999.

Inspiracji Pani Profesor zawdzięczam opublikowanie kilkunastu artykułów i rozdziałów o motywach antycznych w kulturze Śląska Cieszyńskiego, które ukazały się w monografiach wieloautorских i czasopismach, co zapoczątkowało stopniowe poszerzanie moich badań nad kulturą antyczną o recepcję antyku w kulturze polskiej i europejskiej. Z doświadczeń i rad Pani Profesor korzystałem także po jej przejściu na emeryturę (1994) i po moim przeniesieniu się wtedy do nowo założonej w Uniwersytecie Śląskim Katedry Filologii Klasycznej.

W tych nowych okolicznościach Pani Profesor nadal prowadziła badania nad literaturą i kulturą polską na Śląsku. Coraz więcej uwagi poświęcała tematyce dawnych polskich Kresów Wschodnich – utraconej ziemi swego dzieciństwa i wczesnej młodości. Utrwalała pamięć m.in. o profesorach i duchownych łwowskich – ofiarach II wojny światowej. Uczestniczyła aktywnie w konferencjach naukowych. Współpracowała ze znanymi uczonymi, których inspirowała, a nierzadko przynaglała do pracy. Jej dom przy ulicy Kościuszki w Katowicach był otwartym salonem spotkań naukowych, w których udział brali i zna-

mienici goście, i początkujący młodzi badacze. Żywo interesowała się losami dawnych współpracowników i studentów. Szczególnymi sympozjonami były coroczne urodzinowo-imieninowe spotkania 8 grudnia.

W tym kontekście chciałbym zwrócić uwagę także na dydaktyczny nurt akademickiej działalności Pani Profesor, co jest szczególnie istotne teraz, gdy w szkolnictwie wyższym promowana jest koncepcja oddzielania aktywności badawczej od dydaktycznej. Tymczasem odwieczną misją uniwersytetu jest integralny związek między tym, co uczony bada i tym, co wyklada studentom i doktorantom. Profesor Pawłowiczowa widziała w dydaktyce możliwość prezentowania wyników swoich prac naukowych, tym samym ukazując słuchaczom perspektywy dalszych badań i zagadnienia natury metodologicznej. Taką rolę pełniły w ówczesnym systemie jednolitych pięcioletnich studiów magisterskich pisemne prace roczne, których złożenie było warunkiem dopuszczenia studentów do egzaminu z historii książki i bibliotek. Równocześnie były one praktycznym wprowadzeniem do badań naukowych i przygotowywały do podejmowania ambitniejszych tematów prac magisterskich. Rozprawki te często nie ustępowały dzisiejszym pracom licencjackim wieńczącym studia wyższe pierwszego stopnia. Profesor Pawłowiczowa była więc nie tylko niestrudzoną badaczką, ale także oddaną nauczycielką akademicką i niezłomnym wzorem dla wielu osób, będąc równocześnie wierną strażniczką pamięci swojego mistrza – profesora Zaremby.

Wspominając Panią Profesor, nie mogę pominąć jej oddania swojej rodzinie. Była żoną profesora Kazimierza Pawłowicza (1920–2000) – wybitnego specjalisty w zakresie zapobiegania wstrząsom sejsmicznym i wybuchom metanu w kopalniach. Była matką pięciorga dzieci, z których wszystkie uzyskały wyższe wykształcenie, a najmłodsza – Weronika zwieńczyła swoje studia doktoratem i jest autorką kilku publikacji poświęconych rodzicom, w których daje świadectwo, że rodzina była dla Pani Marii najważniejsza, co wyjaśnia m.in. powody stosunkowo późnego zajęcia się własnymi pasjami badawczymi.

Curriculum vitae Marii Pawłowiczowej zatoczyło swoisty krąg. Od badań naukowych z zakresu problematyki śląskiej do kresowej. Koło historii i jej losu potoczyło się w kierunku przeciwnym, znad Strzyja i Bystrzycy nad Rawę. Pozostały publikacje oraz wdzięczna pamięć utrwalona również w katowickim Panteonie Górnośląskim, a także przekonanie, że *non omnis mortua est*.

Mundur galowy górników kopalń księcia pszczyńskiego

STEFAN GIERLOTKA

Mundur jest dumą każdego górnika. Symbolizuje przynależność do górniczego stanu i uznanie dla trudnej i niebezpiecznej pracy górnika.

Po objęciu władzy w Pszczynie przez ród książąt Anhalt-Köthen od 1765 roku narasta zainteresowanie górnictwem i hutnictwem. Górnictwo nie było obce nowemu księciu Fryderykowi Erdmannowi, gdyż w jego małej ojczyźnie Saksonii-Anhalt przemysł wydobywczy był dobrze rozwinięty. Sprowadza z Saksonii szereg fachowców od górnictwa. W roku 1768 Fryderyk Erdman Anhalt-Köthen (1731–1797) zakłada w Murckach kopalnię Emmanuelssegen – *Błogosławieństwo Emanuela*, nazwaną na cześć pierwotnego syna Fryderyka Ferdynanda, urodzonego w tym samym roku. Był to teren leśny z licznymi wychodniami pokładu węgla, ale złymi drogami dojazdowymi.

Od 1770 roku na całym terenie księstwa pszczyńskiego rozpoczynają się wiercenia poszukiwawcze zalegających złóż. W pierwszych latach XIX wieku w księstwie pszczyńskim powstały nowe kopalnie w okolicach Łazisk, Mikołowa, Wesołej, Murcek, Kostuchny, Kosztów. Dla koordynacji wydobycia w poszczególnych kopalniach, książę pszczyński Fryderyk Ferdynand w 1813 roku powołał nowy szczebel zarządu górniczego – *Obersteiger* (nadsztygar). W tym samym czasie książę wprowadza dla zaśluzonych pracowników kopalń pszczyńskich galowe mundury górnicze.

Kronika Heinricha Wilhelma Schaeffera „*Chronik der freien Standes Herrschaft und seit 1827 des Fürstenthums Pleß*” z 1847 roku (s. 77) podaje, że zarządzeniem księcia pszczyńskiego Fryderyka Ferdynanda von Anhalt-Köthen z 20 sierpnia 1806 roku wprowadza się mundury górnicze. Schaeffer w swej kronice podaje, że książę sfinansował szycie mundurów galowych dla zaśluzonych górników. Ten sam autor podaje, że na kopalni Friedrichsgrube i w innych pruskich kopalniach państwowych, twórca przemysłu śląskiego Fryderyk von Reden wprowadził mundury górnicze już w 1795 roku.

Nie można obecnie ustalić, jaki był dawny krój munduru górniczego, ale

można przypuszczać, że wzorowany był na mundurach noszonych przez górników w pruskim zagłębiu Saksonia-Anhalt. Tamtejsi górnicy nosili galowe mundury składające się z czarnej kurtki i białych spodni. Na głowie mieli zielone czako z emblematem skrzyżowanych młotków górniczych.



Mundur galowy górników w zagłębiu Saksonia-Anhalt



Górnicy w galowych mundurach na pogrzebie księcia pszczyńskiego Jana Henryka von Hochberga XV w 1938 r.

Z kwerendy zachowanych dawnych zdjęć wynika, że od początku XX wieku były noszone dwa rodzaje munduru galowego: górnicy i sztygarski. Oba mundury zachowały się w Izbie Tradycji przy kopalni Knurów.

Galowy mundur górniczy sztygarski
Kurtka sztygarska, noszona przez dozór kopalniany, wykonana jest z sukna czarnego, zapinana na 9 haftek. Krój kurtki – typu frak – z opadającą do tyłu połą długości 12 cm.

Na piersiach skośnie ku dołowi są dwa wyłogi – klapy z czarnego sukna. Na każdej wyłodze, po zewnętrznej

stronie przyszyto 8 guzików wykonanych z żółtego metalu. Guzik o średnicy 24 mm dekoruje emblemat skrzyżowanych młotków górniczych, nad którymi umieszczono znaki korony herbu księcia pszczyńskiego. Dekoracją wyłogi są poziome aplikacje naszyte czarnym ozdobnym sznurem od każdego z 8 guzików, a zakończone pętlą trójjoczkową. Kołnierz stojący (6 cm), uszyty z czarnego aksamitu z zapięciem na dwie haftki. Na aksamitnym kołnierzu umieszczano dystynkcje posiadane stopnia górniczego, wyszyte złotą nicią.

Z tyłu, na wysokości bioder, przyszyto dwa guziki z żółtego metalu oddalone o 24 cm, pomiędzy którymi dodano czarny, ozdobny sznur. Po między tymi dwoma guzikami, dekoracyjne pliski opadające pionowo do dolnej krawędzi kurtki.

Na bocznych stronach kurtki, pod rękawem, umieszczono kieszenie przykryte patką długości 16 cm. Powierzchnia patki kieszeni obszyta została i dekorowana czarnym sznurem. Na tej patce umieszczono trzy sznurowe elementy dekoracyjne, takie same jak z przodu tylko pionowo. Po patkę kieszeni umieszczono w rzędzie trzy żółte metalowe guziki o wielkości takiej samej jak pozostałe na mundurze.

Rękawy, bez naszywek szmuklerskich, mają po zewnętrznej stronie dwa poziome rzędy czarnych frędzli, nad i pod łokciem. Frędzle długości 5 cm. Nad górnymi frędzlami wyszyto dekoracyjne pionowe pliski długości 6 cm. W dolnej części rękawa od zewnątrz 1 guzik z żółtego metalu. Rękawy, jak i całość munduru, zakończone są o dołu obszyciem z czarnym sznurem dekoracyjnym. Od wewnątrz kurtki umieszczono kieszenie po obu stronach. Spodnie koloru czarnego.



Górna część galowego munduru sztygarskiego



Kurtka munduru galowego sztygarskiego



Guzik z munduru górniczego z koroną księcia pszczyńskiego

Galowy mundur górniczy tradycyjny
Kurtka górnicza wykonana jest z sukna czarnego, zapinana na 9 haftek. Krój kurtki – typu frak – z opadającą do tyłu połą długości 17 cm. Na pierśsiach skośnie ku dołowi dwa wyłogi – klapy z czarnego sukna. Na każdej wyłodze po zewnętrznej stronie przyszyto 8 guzików wykonanych z złotego metalu. Guzik o średnicy 23 mm dekoruje emblemat skrzyżowanych młotków górniczych. Kołnierz stojący, wysoki na 4,5 cm, uszyty z czarnego aksamitu i zapinany na dwie haftki. Na aksamitnym kołnierzu umieszczano dystynkcje posiadanego stopnia górniczego. Dystynkcje wyszyte były żółtą nicią.

Z tyłu na wysokości bioder przyszyto dwa guziki z złotego metalu oddalone o 9 cm. Na obu bocznych stronach kurtki, pod rękawem umieszczono kieszenie, przykryte patką długości 15 cm. Pod patką kieszeni umieszczono w rzędzie trzy złote metalowe guziki o wielkości jak pozostałe na mundurze. Od wewnątrz kurtki umieszczono kieszenie po obu stronach.

Rękawy, bez naszywek szmuklerskich, miały powyżej łokcia jeden po-

ziomy rząd czarnych frędzli długości 8 cm. Nad frędzlami wyszyto dekoracyjne pionowe pliski. Spodnie koloru czarnego.



Galowy mundur noszony przez górników kopalń księcia pszczyńskiego

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w górnictwie były w użyciu mundury, które wywodziły się z tradycji poszczególnych zaborów. I tak w Zagłębiu Dąbrowskim górnicy nosili mundury rosyjskie, na terenie Małopolski mundury austriackie, a na Śląsku – pruskie. Wynikało to z tradycji ukształtowanych w poszczególnych regionach.

W 1931 roku wydano Rozporządzenie Rady Ministrów ujednolicające na całym obszarze Rzeczypospolitej mundury i oznaki górnicze. Kolor munduru był czarny z guzikami ze złotego metalu z orłem państwowym.



Czako sztygarskie z białym pióropuszem

Po drugiej wojnie światowej rozpoczęto prace nad tzw. Kartą Górnika i określono rodzaje stopni górniczych. Ustalona Karta Górnika wprowadziła następujące stopnie górnicze: Gene-

ralny Dyrektor, Generalny Dyrektor Górniczy I, II, III stopnia, Dyrektor Górniczy I, II, III stopnia, Inżynier Górniczy I, II, III stopnia, Technik Górniczy I, II, III stopnia, Górnik I, II, III stopnia, Aspirant Górniczy I, II, III stopnia.

Uchwała Rady Ministrów z 1950 roku wprowadziła do stosowania galowy mundur górniczy, na którym winny być noszone odznaki stopni górniczych. Ustawa porządkowała sprawy „starych” mundurów galowych, które były przez górników używane jeszcze przed II wojną światową. Wcześniejsze mundury górnicze mogły być używane aż do całkowitego ich zużycia.

Mundur uzupełniała czapka górnicza – tzw. czako, pośrodku którego umieszczone jest godło górnicze. Z lewej strony czako jest pióropusz zrobiony z kogucich piór o długości 22 centymetrów. Kolor pióropusza nie jest dla ozdoby, ale oznacza rangę tego, który czako nosi. Zielony jest dla dyrektorów, inżynierów i techników górniczych. Czarny dla górników. Czerwony – dla członków orkiestry górniczej. Biało-czerwony dla kapelmistrza orkiestry górniczej.



Górnik przygotowujący swój mundur galowy na Barbórkę

Uniform górniczy – kolor, krój, dodatki – ewaluował tak, jak zmieniało się górnictwo na przestrzeni lat, jak zmieniła się historia Śląska. Żaden jego element nie jest przypadkowy, każdy określa status gwarka. Mundur budował szczególnie więź między tymi, którzy go nosili. To symbol przynależności i dumy. ■

Zdjęcia z archiwum autora.

O *Czarnej Julce* Gustawa Morcinka i kolędzie, przy której wyrastają skrzydła u ramion

W sześćdziesiątą rocznicę śmierci Gustawa Morcinka

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

„A tych polskich kolęd jest tyle, że człowiek nie zdołałby ich zliczyć. A co jedna, to śliczniejsza. Najśliczniejsza zaś jest ta, która nuci smętnie i słodko, że mizerna, cicha, stajenka licha, pełna niebieskiej chwały: oto leżący przed nami śpiący w promieniach Jezus mały. I o tym nuci jeszcze piękniej, że przed nim anieli w locie stanęli i pochyleni klęczą, z włosy złotymi, skrzydły białymi, pod malowaną tęczę.

Chryste Boże, to była śliczna kolęda!”

Tak rozmyślał Gustlik z *Czarnej Julki* Gustawa Morcinka, dokonując wzruszającej, dziecięcej interpretacji kolędy Teofila Lenartowicza. Natomiast Jerzy Staronawski twierdził, że to ona, jako druga po *Bóg się rodzi*, postrzegana jest jako „najgłębsza kolęda polska”, która rzadko kojarzona jest z nazwiskiem „lirnika mazowieckiego”. Jednak Gustlik to wiedział, bo na kolejnych stronach *Czarnej Julki* czytamy: „Pan Skupień powiedział nam jeszcze, że tę kolędę ułożył niejaki Lenartowicz, który pisał wiersze”, dzieci zaczęły się dopytywać, czy to przypadkiem nie był jednak Mickiewicz, a gdy nauczyciel zaprzeczył, były ciekawe, ten poeta jeszcze żyje, kiedy się dowiedziały, że już umarł: „Boże, daj mu radość wieczną, amen! rzekła Julka. – Amen wrzasnęła nasza banda z wielkiej wdzięczności za tak śliczną kolędę.”

Musiał się z nią więc zetknąć sam Morcinek w dzieciństwie i tak nieoczekiwane książka o jego „szczęściwych latach” stała się przyczynkiem do śląskiej recepcji kolędy.

Jest i drugi przyczynek. *Szopka*, w której znajdowała się kolęda, ukazała się w 1849 roku we Wrocławiu, choć zapewne ze względu na jej wymowę patriotyczną i akcenty antyniemieckie, ani wydawca, ani drukarz nie zaznaczyli na książeczce swych cech, jednak można sądzić, że realizowana była w oficynie Zygmunta Schlettera, wydającego pisma wybitnego historyka Augusta Mosbacha – przyjaciela Teofila Lenartowicza. Geneza utworu wiąże się jednak z Krakowem, ponieważ Lenartowicz przebywając w podwawelskim mieście widział klasyczną ludową szopkę krakowską z Uła-

nem, Krakusem, Krakowiakiem, Górale, Żydem. Z tego narodził się pomysł napisania podobnej szopki, tyle że w formie artystycznej. Szopka ma oczywiście charakter religijny, ale też patriotyczny, bo przewija się w niej cała historia Polski. W figurkach jasełkowych jest Lech, Piast, Bolesław Chrobry, Św. Kinga, Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, ks. Piotr Skarga, hetman Stanisław Żółkiewski, ks. Augustyn Kordecki, a na koniec konfederat barski i Stary Krakus, czekający na chwilę, gdy Kościuszko kiedyś powstanie z mogiły. „Chłopiec” – pierwsza z postaci, odsłaniając szopkę wygłasza, jakby w prologu do właściwej akcji, tekst kolędy, który warto przytoczyć w oryginalnym brzmieniu:

Mizerna, cicha,
Stajenka licha,
Pełna niebieskiej chwały;
Oto leżący,
Przed nami śpiący,
W promieniach Jezus mały.

Nad nim Anieli
W locie stanęli
I pochyleni klęczą;
Z włosy złotymi
Z skrzydły białymi
Pod malowaną tęczę.

Wielkie zdziwienie,
Wszelkie stworzenie,
Cały świat orzeźwiony;
Mądrość Mądrości,
Światłość światłości,
Jezus wcielony .

I oto mnodzy
Ludzie ubodzy
Radzi oglądać Pana;
Pełni natchnienia,
Pełni zbawienia,
Upadli na kolana.

Długo czekali,
Długo wdychali,
Aż niebo rozgorzało,
Piekło zawarte,
Niebo otwarte,
Słowo ciałem się stało.

Śpi jeszcze senne
Dziecię promienne,
W ciszy ubogiej strzechy;
Na licach białych,
Na ustach małych,
Migają się uśmiechy.

Jako w kościele
Choć ludzi wiele
Cisza pobożna wieje;
Oczy się rosą
Dusze się wznoszą,
Płyną w serca nadzieje.

Lulaj dziecińco,
Lulaj ptaszyno,
Nasze umiłowanie;
Gdy się rozbudzi,
W tej rzeszy ludzi,
Zbawienie nam się stanie.

Oto Maryja,
Czysta lilija,
Przy niej Staruszek drżący,
Stoją przed nami,
Przed pastuszkami,
Tacy uśmiechający.

Hej! Ludzie prości,
Bóg z nami gości,
Skończony czas niedoli.
On daje siebie
Chwała na niebie,
Pokój ludziom dobrej woli.

Radość na ziemi,
Bo nad wszystkimi,
Roztacza blask rumiany.
Przepaść rozwartą,
Upadek czarta,
Zstępuje Pan nad pany.

Jest w tej kolędzie rzeczywistość ludzka: „Jezus mały”, leżący, śpiący, pastuszkowie oraz ludzie prości i ubodzy, bo tylko oni mogą oglądać Pana. Boskość – to niebieska chwała, promienie, aniołowie i Bóg – człowiek. Boga określają dwie konstrukcje językowe: „Mądrość mądrości”, „światłość światłości” obie pochodzenia ewangelicznego stanowiące gramatycznie kalkę łacińskiej formy genitivus obiectivi, a genetycznie he-

braizm (podobnie tworzony jak „pieśń nad pieśniami, czy „król królów”) spopularyzowane u nas dzięki wulgacie ks. Jakuba Wujka. Tworzą one, jak i wers „Słowo ciałem się stało”, kontekst teologiczny kołędy. Rozpoznając w dziecku wcielenie Boga jesteśmy napełnieni łaską poznania. Powszechność to wspólnota ludzka, „cały świat orzeźwiony” – teraz pobudzony do życia i pełen dobrej energii.

Dzieci z *Czarnej Julki* zachwyca zarówno treść kołędy, jak i jej nastrój, pięknie odczytują symbolikę kolorów, kunsztowność metafor, ale wyrażają to w swym dziecięcym języku wzruszającym w prostocie i przez to zbieżnym z treścią kołędy: „Ze stajenka była licha. To jeszcze pół biedy. Chyba nie była lichsza od naszego mieszkania. Że w tej stajence leżał Jezusek w promieniach, o to już było bardzo wiele. Ale najpiękniejsze było to, że anieli w locie stanęli. Śliczne! Oto lecą anieli, lecą, furgają, trzepocą skrzydłami jak motyle, jak skowronki, jak kanariki i nagle halt! Stanęli w locie”. Germanizm wydaje się tu pewnym zgrzytem, ale w Karwinie wielokulturowej i wielojęzycznej tak właśnie mówiono.

Najbardziej jednak intrygowiała dzieci zwrotka zapowiadająca „upadek czarta”: „Chodziło nam o tego czarta. Świetnie! Upadek czarta! Żeby go diabli wzięli! Ksiądz Kuryłowicz powiedział, że wódkę wymyślił czart. A wódkę chleje ojciec Wańka. A po pijanemu bije matkę. [...] Lecz gdy nastąpi upadek czarta, jak przepowiedział pan Lenartowicz w swej ślicznej kołędzie, ojciec Wańka przestanie chlać wódkę i przestanie bić matkę Wańka. I wtedy będzie najpiękniejsza kołęda na świecie.” Aktualne wypadki, wydarzenia z biednego karwińskiego dzieciństwa wydobywały z treści kołędy dodatkowe sensory, co czyniło ją jeszcze bliższą.

Kołęda jest prostym lirykiem fabularnym, można ją opowiedzieć w kilku zdaniach. I tak jest też u Lenartowicza, ale pod warunkiem, że czyta się kołędę w całości, ponieważ dwie pierwsze strofy nie oddają całej sytuacji zarysowanej przez poetę. Wszakże prostota tej fabuły jest tylko pozorna, gdy przyrzeć się tekstowi uważniej dostrzega się w nim pewne wyrażanie stylistyczne, wszak pierwsze wersy pierwszej strofy są kunsztowną antytezą: stajenka licha i mizerna jest pełna niebieskiej chwały. Szopka jest znakiem ubóstwa założonego z góry w planie społecznym i taki jest w tradycji literackiej jak i malarskiej. Ale leżące i bezbronne małe dziecko – śpi w promieniach. Paralelizmy zaprzeczają wartościom cenionym w świecie ludzkim – do rangi świętości podnoszą ubóstwo i bezbronność. To jest dowartościowanie biedy i dzieciństwa, wyniesienie ich do rangi najwyższej i może dlatego dziecięcy odbiór był taki mądry, bo bie-

dę Julka, Waniek, Gustlik, i ich koledzy znali z własnego życia. Teraz została ona uwznioślona.

Ponad stajenką unoszą się złoto-biali aniołowie i malowana tęcza. I tak druga zwrotka jest zarazem także jakby antytezą pierwszej; bo oto nad ubóstwem i nad niemowlęcym pochyla się świetność złota i bieli oraz wszystkie barwy tęczy, będącej symbolicznym znakiem Boga, przymierza i zmartwychwstania i pogody, więzi ziemi z niebem. W tęczę wpisana jest pamięć Potopu i bożej obietnicy. Tęcza jest malowana, czyli jakby jeszcze bardziej kolorowa. Właśnie w tej kołędzie doskonale widać tę cechę obrazowania poetycznego Lenartowicza, którą Juliusz Kleiner nazwał świetlistością. I znów komentarz do tego obrazu znajdujemy w słowach Gustlika: „Matka zaś twierdziła, że taka tęcza – nazywała ją dągą – że taka dąga wstaje pogodę i błogosławieństwo boże w polu. I że po takiej dądze przechadzają się anieli. Powiedzenie mojej matki zgadzało się ze słowami kołędy o malowanej tęczy nad aniołkami, którzy w locie stanęli.” Prawdziwość słów kołędy została poparta autoritetem matki i to też przydało ważności słowom „pana Lenartowicza”.

Ta pełna jasności scena, to kraina dzieciństwa Jezusa; śpiącego, bezbronnego, jak prawdziwe dziecko. Przy jego kolebce śpiewają aniołowie i tak zostaje powołana kołysanka, stanowiąca wzór czułości wobec niemowlęcia. Ale pierwsze dwie strofy kołędy, śpiewane najczęściej nie oddają wszystkich atrybutów tej krainy, bo brak w niej matki. Maryja wraz z Józefem pojawiają się dopiero w strofie dziewiątej. Najświętsza Panna „czysta lilija” czuwa przy dziecku i uśmiecha się do pastuszków i to ona właśnie jest gwarantem bezpiecznego snu dziecka.

Kołysanka to liryczny utwór muzyczny o takcie zbliżonym do ruchu kołyski, pieśń pełna słodyczy i rozmarzenia. Jest czuła, błoga i jest w niej cisza. Przestrzeń kołysankowa w kołędzie Lenartowicza poszerza się w pionie (w poziomie są „ludzie prości”), bo sięga aż do nieba, bo to niezwykle dziecko łączy ludzi z Bogiem. Kołysanka przeplata się więc z adoracją, czego efektem są same treści pozytywne; miłość, rzewność, uwielbienie. Łatwo w niej dostrzec zarówno związek z modlitwą, jak i z codziennością. Stąd też płynie szlachetna prostota



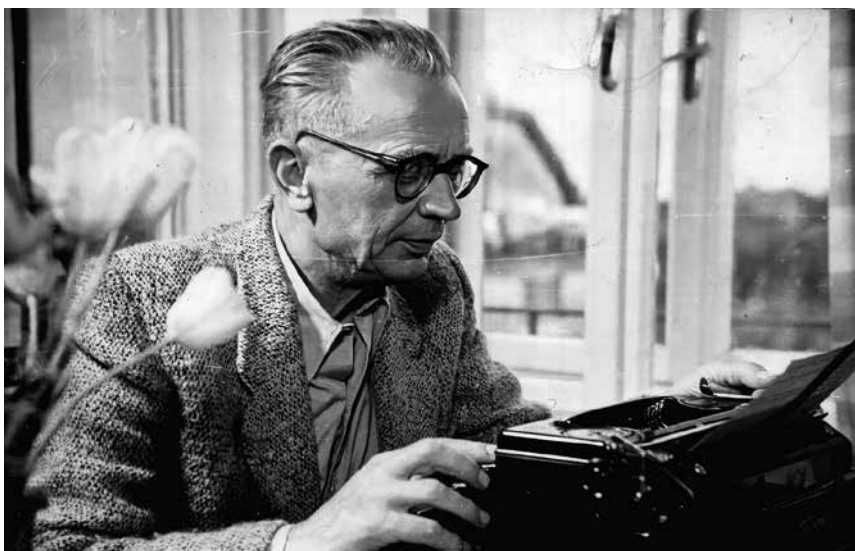
Teofil Lenartowicz

ta kołędy – kołysanki. Sam Jezus staje się obrońcą wszystkich dzieci w święty czas Bożego Narodzenia, bo to one znajdują się w centrum tego święta i to odczuły dzieci z *Czarnej Julki*.

Lenartowicz był człowiekiem wierzącym, jego wiara miała przede wszystkim charakter emocjonalny i najbliższy był mu Jezus zbliżony do ludowych wyobrażeń religijnych, zajęty codziennym czynnościami oraz Jezus – dziecko. Motyw dziecka był stale obecny w liryce poety, dziecka wzruszającego ubóstwem, niewinnością, często sieroctwem. Duże zrytmizowanie wersów, dość liczne powtórzenia oraz paralelizmy potęgują muzyczność słów i strofy są śpiewne i harmonijne. Pierwotną melodię do *Mizernej, cichej* skomponował kapłan z Opolszczyzny ks. Jakub Wrzeciono (i to jest już trzeci śląski akcent), choć najpopularniejsza jest ta, którą ułożył Iwo Gall, Gustlik określił ją, że „nuci smętnie i słodko”. Dzieciom śpiewającym tę kołędę też skrzydła wyrastają u ramion: „Pan nauczyciel Skupień, o jasnych włosach pięknie pokręconych, o miłym uśmiechu, z odznaką Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego pod klapą marynarki, grał pięknie na skrzypcach, a myśmy śpiewali jak tamte anioły o złotych włosach i białych skrzydłach. Wprawdzie byliśmy kudłaci, wcale nie mieliśmy u ramion skrzydeł, lecz wyobrażaliśmy sobie, że je mamy.” I tak teraz, choćbyśmy byli najbardziej „kudłaci”, ta kołęda cofa nas w czas dzieciństwa i przydaje nam skrzydeł u ramion.

Poproszę o wyznaczenie: co urzekło Panią w Morcinku, jego twórczości, osobie?

Kocham Marcinka za *Czarną Julkę*. To jest moja ulubiona lektura. Opisuje w niej zdegradowany krajobraz Karwiny, który nabiera piękną mocą wspomnień z dzieciństwa, swoje przygody, zabawne sytuacje, ale także smutne historie, które miały miejsce w czasach jego wczesnej młodości. A poza tym Morcinka szanuję za to, że był prawdziwym porządnym człowiekiem. Mimo że próbowano go złamać, prześladować, zazdrośczone mu pozycji i tego, co osiągnął, czego się dorobił, mimo że brał udział w I wojnie światowej i został ranny, że przeżył ciężkie czasy w obozie w Dachau, miał dobre, otwarte serce dla innych ludzi i pomagał im, jak umiał. Przecież był pólsierotą. Nie miał ojca, który zginął, kiedy Morcinek skończył zaledwie sześć miesięcy. Mógł mieć o to pretensje do świata, ale on wprost przeciwnie pomagał, także dzieciom, które uczył. Jednego ucznia ze swojej klasy wysłał na swój koszt na leczenie do sanatorium gruźliczego, bo okazało się, że jest chory. Życie przejechało po nim jak walec, a on się nie zmienił i był do końca bardzo prawym, szlachetnym i dobrym człowiekiem. Dla mnie to taki prawdziwy bohater. W dzisiejszych czasach, kiedy często tracimy wiarę w autorytety i brakuje nam bohaterów Morcinek jest dla mnie najlepszy!



Gustaw Morcinek przy pracy

Kocham Morcinka za *Czarną Julkę*

Z ROZALIĄ WAWRONOWICZ
rozmawia PIOTR SKOWRONEK

W tym roku obchodzimy 60. rocznicę śmierci pisarza, który ukochał Śląsk, zwłaszcza Beskidy. Jak ma się pamięć o nim i jego twórczości? Czy Muzeum im. Gustawa Morcinka ma wielu gości?

Z gośćmi to różnie bywa, ale muszę powiedzieć, że pamięć o Morcinku cały czas jest żywa. Stale ktoś przyjeżdża – małymi grupkami, dużymi grupami ze szkół, czy indywidualnie, rodzinie. Morcinek wpisał się głęboko w umysły, pewnie tych starszych ludzi, którzy mobilizują młodszych do jeżdżenia. No i co roku przyjeżdżają do nas szkoły imienia Gustawa Morcinka. Zaglądają też przyjeżdżający na weekendy do Ustronia czy Wisły turyści. Wówczas zachaczą o Skoczów, piękne średniowieczne miasteczko i odwiedzają naszą placówkę, żeby zapoznać się z pamiątkami po pisarzu, bo to jedyne muzeum w Polsce jego imienia.

Jaka jest jego historia?

Historia Muzeum jest powikłana i dosyć długa. Pokróćce powiem, że muzeum biograficzne Gustawa Morcinka po jego śmierci znajdowało się na ulicy Leśnej w Skoczowie w domu, który wybudował w 1932 roku. Założyła je spadkobierczyni pisarza, pani Waleria Kuglin, w 1964 r. Po jej śmierci w 1974 roku placówkę zamknięto, ale postanowiono jednocześnie, że musi powstać muzeum Morcinka, ponieważ był zbyt znanym i bardzo zasłużonym dla całego Śląska pisarzem. Rajcowie miejscy i ówczesni władze postanowili tym razem ulokować je w centrum miasteczka, ponieważ dom przy ulicy Leśnej stał na peryferiach miasta na

osiedlu domów jednorodzinnych troszeczkę „od ręki”. Wybrano najstarszą, wolnostojącą kamienicę w Skoczowie z 1793 roku postanowiono zaadoptować ją na potrzeby funkcjonowania placówki muzealnej. Muzeum im. Gustawa Morcinka powstało więc dzięki staraniom środowiska. Zostało otwarte 20 grudnia 1986 roku w rocznicę śmierci autora *Wyrąbanego chodnika*. Jego pierwszym kustoszem była Halina Szotek. Otworzono Muzeum imienia Morcinka dlatego, że przygotowano trzy sale poświęcone pisarzowi w tylnej części muzeum ale, że Skoczów słynął z rzemiosła i z przepięknej historii średniowiecznego miasteczka, zaaranżowano także sale wystawowe pod warsztaty rzemieślnicze, które były bogato wyposażone na terenie Skoczowa i miasteczko z nich słynęło oraz salę poświęconą historii, gdzie znajdują się dokumenty pergaminowe, tłoiki pieczętny, czy monety wybijane w skoczowskiej mennicy.

Czy pomieszczenia poświęcone Morcinkowi wyglądają tak, jak te w jego domu?

De facto tylko gabinet, czyli ten pokój, gdzie Morcinek pisał, został wiernie przeniesiony. Tak myślę, bo nie wiem, jak tam wyglądało. Nie zachowała się dokumentacja fotograficzna tamtego muzeum. Mam tylko jedno zdjęcie, które dostałem przez przypadek, bo nieżyjący lokalny redaktor robił dokumentację i był na otwarciu muzeum biograficznego. Zostało z tego jedno zdjęcie ukazujące niecałe pomieszczenie od drzwi w stronę okna i rzeczywiście są na

nim rzeczy, które teraz znajdują się u nas. Mam nadzieję, że spadkobierca przekazał zbiory w całości. Mamy zatem biurko, maszynę do pisania, fotel, na którym siedział Morcinek, gdy pisał. Mamy biblioteczkę, witryny, stół z fotelami lampę, portrety z ukochaną mamulką Marianną i siostrą Teresą. Muzeum posiada bardzo cenne artystycznie dzieła malarskie Karola Bunscha, m.in. obraz *Ślązaczki w stroju ludowym*. Są również podarunki, które otrzymywał od górników, na przykład *rzeźby w węglu*, kałamarz. Jest ulubiona książka Morcinka, którą stale czytał – *Słownik Języka Polskiego*. Można wczuć się i wyobrazić sobie atmosferę pracy pisarskiej. Placówka posiada także ogromny zbiór korespondencji pisarza.

Najważniejsze twory Morcinka mają już sto lat. Czy się zestarzały, czy nadal są czytane? O co pytają zwiedzający muzeum?

Morcinek nie jest już pisarzem współcześnie poczytnym. Jego twórczość należy obecnie do przeszłości, ale w okresie, kiedy był pisarzem bardzo lubianym, jego książki rozchodziły się w dużych nakładach, a wiele powieści było wznawianych i tłumaczonych na język obce. Można powiedzieć, że Morcinka czytała wówczas cała Polska i był mówiąc kolokwialnie bardzo popularny. Dzisiaj czytanie książek o tematyce dwudziestolecia międzywojennego nie jest powszechne, bo młodych ludzi interesują zupełnie inne tematy. Mogę jednak powiedzieć ciekawą rzecz, którą zaobserwowałam. Zdarza się,

że kiedy pytam uczniów, odwiedzających muzeum, co napisał Gustaw Morcinek, to słyszę w odpowiedzi *Naszą szkapę!* Wyjaśniam, że napisała ją Maria Konopnicka i wówczas wszyscy się reflektują, że przecież chodzi o Morcinkowego konia, który pracował w kopalni. Są też tacy czytelnicy, którzy pamiętają emocje towarzyszące lekturze Śląska, *Wyrąbanego chodnika*, *Gwiazd w studni*. Książki odziedziczono z pokolenia na pokolenie, po dziadkach, po rodzicach, którzy dostawali je kiedyś w szkole za dobre wyniki w nauce. To jest pocieszające dla mnie, że Morcinek ciągle jest obecny w domowych bibliotekach. Często również zwiedzający pytają mnie o rok publikacji, o wznowienia, tłumaczenia na języki obce.

Jak często goszczą Państwo uczonych podejmujących problematykę twórczości Morcinka? Czy muzeum jest inicjatorem konferencji naukowych?

Z tego jestem bardzo zadowolona i muszę panu powiedzieć, że od wielu lat muzeum współpracuje z Uniwersytetem Śląskim i w ramach tej współpracy wykonujemy różne kwerendy oraz udostępniamy materiały ze zbiorów Morcinkowskich pracow-

nikom naukowym, studentom, doktorantom na temat księgozbioru, twórczości dla dzieci, korespondencji pisarza, kontaktów literackich, folkloru w jego twórczości, listów poselskich czy felietonów drukowanych w prasie polskiej. Od wielu lat współpracujemy z kadrą profesorską Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach z Panią prof. Krystyną Heska-Kwaśniewicz, która jest wybitną specjalistką w dziedzinie badań życia i twórczości Gustawa Morcinka oraz z panią prof. Lucyną Sadzikowską. Dzięki uprzejmości i zaangażowaniu tych badaczek ukazały się bardzo interesujące publikacje, które oprócz walorów naukowych i dydaktycznych są też swoistego rodzaju promocją Morcinka i naszego muzeum. Jestem za to im ogromnie wdzięczna. Poza tym z naszego archiwum korzystali również badacze z Uniwersytetu Śląskiego w Opawie zwłaszcza prof. Libor Martinek, z Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Dachau. Dla Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie udostępniliśmy archiwalne zdjęcia dokumentów i listów dotyczące wydania *Listów z Dachau* oraz książki o posłowaniu pisarza. Udostępnialiśmy materiały do miesięczni-

ka „Śląsk” do artykułu z cyklu *Śląski szlak literacki* pod redakcją Edyty Antoniak-Kiedos. Tam akurat chodziło o zdjęcie gabinetu i przedmiotów dotyczących pisarza. Korzystał również z naszej pomocy Wiesław A. Wójcik redaktor rocznika *Wierchy* z Krakowa, bo Morcinek był zapalonym turystą, podróżnikiem, który uwielbiał, kochał Beskidy i górskie wycieczki, a zimą narty. Współpracowaliśmy z *Fundacją Ośrodkiem Karta*. Zgłaszały się również do nas inne instytucje i na przykład materiały ikonograficzne, które przygotowywałam, były skierowane do Panteonu Górnośląskiego dla Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach w ramach projektu *Dialog*. Prosiła o nie dyrektor muzeum pani Halina Bieda. Powstał Panteon Górnośląski, a w nim swoje miejsce odnalazł autor *Ondraszka*.

Z naszego archiwum fotograficznego – powiem to panu jako pierwszemu, bo nikt jeszcze o tym nie wie, to świeża sprawa – korzystała siostra Stefania Anna Hayward z zakonu Karmel Heilig Blut Dachau. Potrzebowała zdjęcia Morcinka do książki zatytułowanej *Nikt nie ma większej miłości* (2023). Opisuje w niej heroiczną postać ks. Stefana Frelichowskiego, który był więźniem obozu i pomagał chorym, ale przedstawia też inne postaci, które podtrzymywały na duchu współwięźniów. Między innymi pisze o Marcinku, cytując jego wspomnienia zapisane w książce *Listy spod morwy*. Na 21 stronach tej opasłej, bo pięćset stronicowej książki Morcinek jest obecny. Poza tym s. Stefania kontaktowała się ze mną już w 2021 roku. Wówczas spytała, czy mogłaby przetłumaczyć *Listy spod morwy* na język rosyjski ponieważ wywarły one na niej bardzo duże wrażenie i czuję taką wewnętrzną potrzebę. Książka ukazała się w Moskwie w 2021 roku wydana własnym sumptem s. Stefanii. Wracając jeszcze do pana pytania. Ostatnio odezwał się do mnie pan Tomasz Antoni von Piechowski, który mieszka w Niemczech i Muzeum Miejsca Pamięci Obozu Koncentracyjnego Dachau poprosiło go o opracowanie biogramów więźniów obozu, którzy przyczynili się do morale współwięźniów. Razem z prof. Krzysztofem Ruchniewiczem z Uniwersytetu Wrocławskiego postanowili wydać prawdopodobnie w języku niemieckim informator muzealny poświęcony największej grupie narodowościowej – Polakom oraz obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego. Informator ma zawierać najważniejsze wiadomości dotyczące samego obozu, ale i elementy strategii oporu i przetrwania w skrajnych warunkach. Przedstawione będą postaci, które cieszyły się autorytetem społeczności więźniarskiej. Badacz napisał mi w mailu, że wśród tych osób nie może zabraknąć Morcinka, ponieważ powszechnie wiadomo było, że więźniowie mieli o Marcinku bardzo dobre zdanie i często wspominali, że dzięki niemu udało im się przeżyć koszmar obozu. Badacz poprosił mnie o kwerendę powojennych listów dotyczących spraw obozo-

foto. R. W.



Muzeum Gustawa Morcinka

wych, podziękowań, wymiany informacji w tym temacie. Przygotowałam listy, zdjęcia i myślę, że zostaną one wykorzystane.

Czy w związku z rocznicą śmierci planowane są jakieś szczególne wydarzenia?

Organizujemy w grudniu 2023 roku uroczystość upamiętniająca Gustawa Morcinka pieczę Śląska w 60. rocznicę śmierci pisarza. Jubileusz odbędzie się 5 grudnia u nas w Skoczowie, w naszym muzeum. Swoją obecność zapowiedzieli m.in. prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz z Uniwersytetu Śląskiego, prof. Olga Płaszczewska z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Lucyna Sadzikowska i dr Joanna Jurgała-Jureczka. To mamy zaplanowane, ale o Morcinku myślimy stale i była konferencja poświęcona pisarzowi w 130. rocznicę urodzin, która odbyła się w 2021 roku. Organizowało ją Muzeum im. G. Morcinka wraz z Urzędem Miasta i Gminy Skoczów. Staramy się organizować tego typu wydarzenia co dziesięć lat. Wcześniej w 2011 roku miała miejsce sesja naukowa organizowana przez UŚ w Katowicach pod auspicjami Komisji Historycznoliterackiej Polskiej Akademii Nauk Oddział w Katowicach. Konferencja w 2021 była natomiast popularnonaukowa. Miała miejsce w Teatrze Elektrycznym, to jest takie duże nasze kino. Wzięło w niej udział sześcioro prelegentów: profesorowie z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Gościliśmy przedstawicieli instytucji publicznych, delegacje ze szkół Gminy Skoczów oraz mieszkańców. Był to trudny czas, bo obowiązywały obostrzenia sanitarne, ale wszystko się udało. Plon tej konferencji ukazał się w czasopiśmie „Bibliotheca Nostra” (2012, nr 2) pod redakcją Katarzyny Tałuc.

Krystyna Heska-Kwaśniewicz opisała losy pisarskiej przyjaźni Morcinka i Zofii Kossak. Czy w muzeum znajdziemy jakieś po niej pamiątki?

Listów nie ma, ale pamiątką mogą być wpisy do księgi gości, bo kiedy Morcinek wybudował dom, wpadł na genialny pomysł i założył sobie księgę gości. Dostał ją zresz-

tą w prezencie od przyjaciela Jana Kuglina, który był wydawcą jego książek, bibliofilem, drukarzem typografem. Mieszkał we Wrocławiu, co prawda ale bardzo się przyjaźnili.

Nazwisko Kuglin padło już w naszej rozmowie.

Tak, pani Waleria Kuglin – to jest trudny temat – była synową Jana Kuglina, a żoną jego syna, z którym się rozwiodła. To ona przyjechała spuściznę po Morcinku i przyjechała do Skoczowa ze swoim synem Janem Maciejem. Męscy potomkowie Kulglinów wszyscy mieli na imię „Jan”. Kiedy zmarła w 1959 roku siostra Morcinka Teresa, okazało się nagle, że pisarz został sam w tym wielkim domu. Poczuli się bardzo osamotnieni i Jan Kuglin wpadł na pomysł, żeby Waleria ze swoim synem przyjechała z Katowic i zamieszkała w „domu w słońcu” – określenie Morcinka, wspierając go w sprawach domowych. Zresztą Morcinek świetnie znał i ją i jej byłego męża.

Ale przecież Morcinek był żonaty?

To małżeństwo zakończyło się fiaskiem. Z tego co wyczytałam z listów pisanych do przyjaciół, chociażby wspomnianego Jana Kuglina, Morcinek chciał mieć rodzinę i dzieci. Ślub z nauczycielką Zuzanną Lazar miał miejsce 31 grudnia 1925 roku, ale po dwóch latach Morcinek zdecydował o rozstaniu, biorąc winę na siebie. Jednak nie ma orzeczenia o rozwodzie, a w dokumencie unieważnienia małżeństwa, do którego dotarła prof. Heska-Kwaśniewicz, znajduje się zapis: „non consumatum z winy męża”. Po śmierci siostry namiastkę rodziny, domu stworzyła p. Waleria, a pisarz z wielką serdecznością zaopiekował się Maciejem, którego obsypywał prezentami i nie czuł się samotny. Ponieważ Morcinek kochał dzieci całą swoją miłość do nich przelał na swoich uczniów. Był nauczycielem z powołania, z prawdziwego zdarzenia. Spotykałam się z osobami, które jako małe dzieci chodziły do szkoły, w której uczył Morcinek. Jedną z pań w wieku 97 lat, mieszkającą w Krakowie, została uwieczniona w książce Roztomili *Ludkowie*. To przepiękna, przezabawna historia ukazująca życie szkolne dzieci i ich przy-

gody widziane z perspektywy nauczyciela. Skontaktowałam się wówczas ze mną jej synowa, bo na naszym Facebooku muzealnym czytaliśmy tę książkę w rozdziałach. I kiedy ta pani usłyszała o Czarnej Cylce (miała na imię Cecylia) to postanowiła się ze mną skontaktować i opowiedzieć mi jak Morcinek opowiadał im baśnie, prowadził na wycieczki nad Wisłę, opowiadał o przyrodzie, uczył miłości do krajobrazu, patriotyzmu, pomagania drugiemu człowiekowi. Uczniowie Morcinka bardzo ciepło go wspominali.

Wracając do księgi gości... Morcinek za każdym razem, kiedy przyjeżdżali do niego znani, znamienici goście, literaci, pisarze, malarze, aktorzy podsuwał ją i prosił o wpis. Oczywiście Zofia Kossak również wpisała się tam bodajże ze trzy razy. Często się odwiedzali. Morcinek jeździł do dworu, później domu ogrodnika w Górkach Wielkich, a pani Zofia przyjeżdżała na ulicę Leśną w Skoczowie. Zachowała się także korespondencja pomiędzy Morcinkiem, inż. Antonim Burą a autorka *Pożogi*, która jest do wodem na to, jak utrudniano pisarce życie, chociażby w kwestii opału na zimę. Morcinek starał się najpierw wykorzystując poselskie znajomości, a potem, kiedy nie był już posłem, znaczenie swojego nazwiska, pomagać Szatkowskim, jak tylko mógł.

Wciąż dobrze ma się czarna legenda, która przypisuje pisarzowi pomysł przemianowania Katowic na Stalinogród. Czy odwiedzający muzeum o to pytają?

Powiem tak – zdarzają się jeszcze starsi odwiedzający, którzy o tym pamiętają i dociekają prawdy. Wtedy słyszę – a niech mi pani powie czy Morcinek wymyślił Stalinogród? Wówczas troszkę się denerwuję i cierpliwie tłumaczę, że pisarz nie wymyślił nazwy Stalinogród, bo miasto zostało tak nazwane ponad miesiąc wcześniej niż nieszczęsne wystąpienie Morcinka w Sejmie, do którego niewątpliwie go zmuszono. Morcinek był w tym czasie posłem na Sejm i zaskoczono go informacją, że na sesji parlamentu ma wygłosić wniosek o to, by miasto Katowice otrzymało nazwę Stalinogród.

To był zwykły szantaż polityczny?

Tak! Na posiedzeniu sejmu było przecież wiele znanych osób. Całe to towarzystwo biło brawo i entuzjastycznie przyjęło tę decyzję. Nikt nawet nie pisał o sprzeciwie. Wcześniej Leon Chajn, sekretarz generalny SD, który zmusił pisarza do posłowania oświadczył, że jeśli tego nie zrobi, to więcej nie ukaze się żadna jego książka. Trzeba pamiętać, że Morcinek miał wówczas na utrzymaniu siostrę, a żył tylko z pisania. Morcinek sam napisał sejmowe przemówienie, ale w stylu takiej nowomowy, że można się dzisiaj śmiać, czytając ten tekst. Jednak nikogo nie zdradził, nikomu nie zaszkodził, nikt przez niego nie zginął. Zaszkodził tylko sobie. Ludzie czasem może

foto. R. W.



Ekspozycja o Morcinku

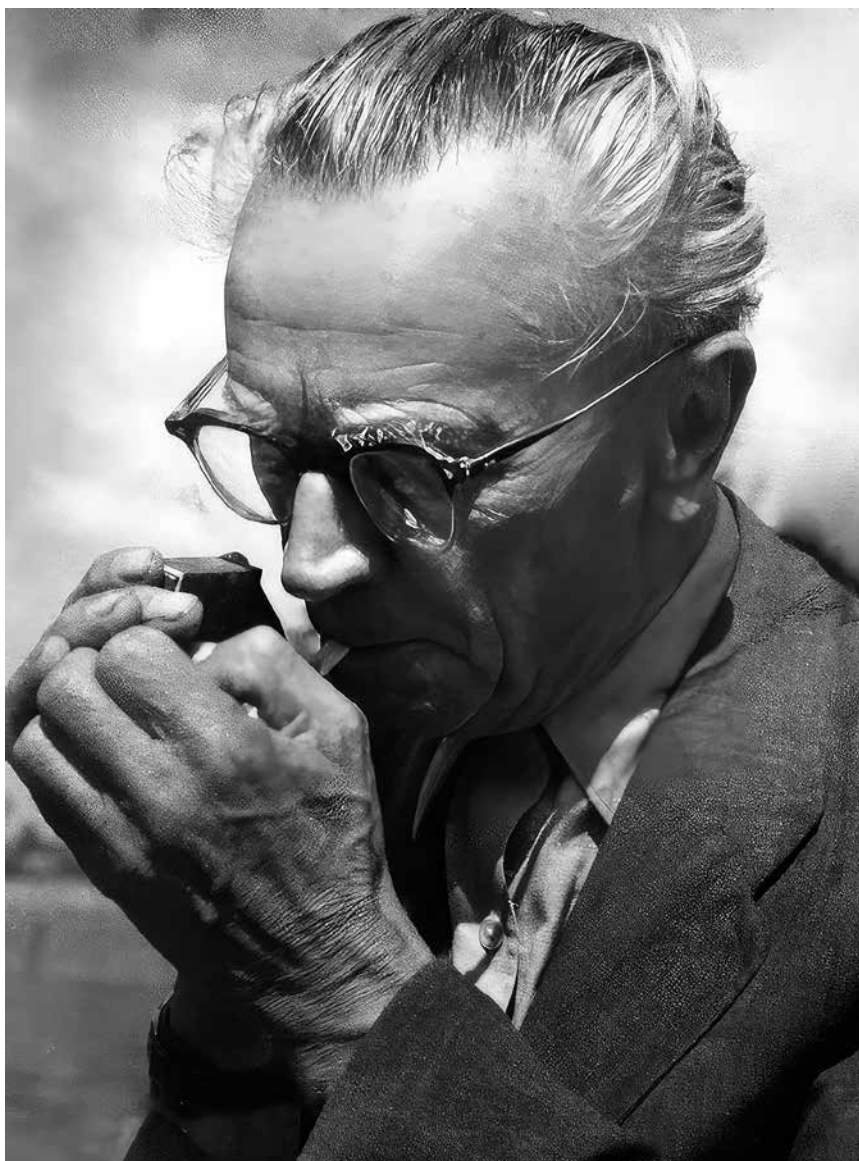
do końca nie wiedzą jak to faktycznie było, bo po każdym takim moim wyjaśnieniu widzę w ich oczach jakieś zażenowanie. Zresztą wspominam o tym, że pani prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz wielokrotnie w swoich publikacjach kwestę tę wyjaśniała. Znalazła w Archiwum Miasta Katowice *Wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia Egzekutywy KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach*, na którym została podjęta decyzja o przemianowaniu. Podpisali go sami politycy m.in. Edward Gierek, Jerzy Lamuzga, Jerzy Ziętek, ale Morcinek nie miał powodu być w tym gronie, bo on do partii nie należał. Wykorzystano go, bo był pisarzem, którego wówczas czytali wszyscy, a więc zdaniem partii najbardziej odpowiednią do tego osobą, ale przy tym zniszczono Śląsk.

10 grudnia 2013 roku prof. Jan Malicki, anonsując sympozjum zatytułowane *Morcinkowy dialog pokoleń*, stwierdził, że postać Morcinka jest powoli zapomniana, a twórczość niewydawana. Czy sytuacja od tamtego czasu uległa zmianie?

Książki Morcinka nie są wznawiane. Co prawda w 2016 roku wydano zbiór baśni jego autorstwa. To książka w pięknej, kolorowej obwolucie, z grubą okładką zatytułowana *Baśnie śląskie*. A jeszcze wcześniej ukazały się: *Ondraszek* i *Czarna Julka*, ale opublikowało je wydawnictwo, które mieści się na terenie Karwiny w Republice Czeskiej. Inne książki Morcinka niestety nie doczekały się wznowień. Wydaje mi się, że właśnie dlatego jest obecnie pisarzem zapomnianym, a w bibliotekach nie ma jego książek. Tematyka pisarstwa Morcinka adresowana jest do wąskiego grona odbiorców. Dzisiejszy czytelnik szuka raczej tematów szokujących, bardzo emocjonalnych, których dostarczają pisarze współcześni, dostosowując się nieraz do gustu odbiorcy. Wydawcy pewnie boją się w związku z Morcinkiem niepowodzenia komercyjnego. Tego, że jego książki będą zalegać na półkach księgarskich.

Jest wiele szkół noszących imię autora *Łyska z pokładu Idy*. Jak na Morcinkowe baśnie reagują młodzi czytelnicy?

Nasza placówka zajmuje się popularyzacją pisarstwa Morcinka wśród dzieci i w ramach tych działań odbywają się specjalne lekcje muzealne podczas których dzieci i młodzież poznają twórczość i życie pisarza. Skoczowskie muzeum odwiedzają uczniowie z różnych szkół jego imienia. To mnie bardzo cieszy. Oczywiście najczęściej ze Śląska. Przyjeżdżają szkoły z Jastrzębia, Katowic, Łędzin, Radlina, Toszku, Chruściny, Krostoszowic, Bytomia. Ostatnio intensywnie współpracujemy z Zespołem Szkół im. Gustawa Morcinka w Tydach. To jest coś wspaniałego. Ale najprężniej działamy i współpracujemy ze Szkołą Podstawową nr 1 im Gustawa Morcinka w Skoczowie, w której de facto pisarz był



nauczycielem w latach 1922–1937. Z racji tego że szkoła jest na miejscu i Morcinek w niej pracował przez ostatnie 5 lat organizowaliśmy wspólne atrakcje i eventy na Noc Muzeów. Współpracujemy przy organizacji konkursów szkolnych i międzyszkolnych na motywach książek Morcinka. Bierzemy udział w jury w konkursie wiedzy o pisarzu, w konkursie plastycznym na przykład na najpiękniejszą okładkę książki Gustawa Morcinka czy ilustracje do jego baśni. Ostatnio odbył konkurs w kategorii mistrz głośnego czytania przeprowadzony na książkach Morcinka, czy konkurs Morcinek w komiksie i wiele innych inicjatyw. To mnie bardzo cieszy.

Skoczów to nie tylko muzeum imienia Gustawa Morcinka, ale również Szlak Morcinkowski.

Na tej trasie obok najważniejszego jej miejsca, czyli naszego Muzeum znajduje się pomnik Gustawa Morcinka. Stał on w Skoczowie 5 grudnia 1987 roku, czyli rok po otwarciu muzeum. Trzy lata wcześniej powołano Społeczny Komitet Budowy Pomnika. Zaprojektował go prof. Jak Kucz z Warszawskiej ASP, a uroczystości odsłonięcia

w asyście Tadeusza Kijonki, profesorów Z. Gburka i Pawła Tendery, Doroty Simonides i dyrektora KWK Morcinek dokonał Prezes Towarzystwa im. Gustawa Morcinka dr Józef Musioł. Na szlaku znajduje się także wspomniana Szkoła Podstawowa im. Gustawa Morcinka, dom który wybudował przy ulicy Leśnej, ale również cztery domy, w których Morcinek pomieszkiwał, rok, dwa, trzy lata zanim wprowadził się do swojego wymarzonego, ukochanego słonecznego domu. Jest także ulica Morcinka znajdująca się na jednym z czterech osiedli w Skoczowie. Warto wybrać się do Skoczowa szlakiem Morcinka, ale przede wszystkim trzeba odwiedzić nasze muzeum, bo kontakt z pamiątkami, z artefaktami, z meblami, z atmosferą wnętrza, w którym można poczuć zapach pastowanej podłogi i kartek zapisanych piśmem autora *Czarnej Julki* wzmacniają lepsze oglądanie i zapoznawanie się z twórczością i życiem pisarza. ■

Rozalia Wawronowicz jest kierowniczką Muzeum im. Gustawa Morcinka w Skoczowie.

Wigilia

Twarze skupione wokół stołu
opłatek łamie się na zgodę.
Gwiazda rozjaśnia chmurne czoła
kolęda gorycz słodzi miodem.

Czekamy gościa niecierpliwie
aby nam pomógł w siebie wierzyć...
Złoci się srebrzy się igliwie
i barszcz rumieni dno talerzy.

Jest chwila wielkiej tajemnicy
serce jak biblia się odmyka:
A tam na sianie, w błysku świecy
słysząc już pierwszy płacz chłopczyka.

Kolęda bezwiedna

W tamtą noc, cichą noc, gdzieś pod miastem
stał się cud: przyszedł Bóg i stało się jasne
w moich oczach, w twoim śnie i tam gdzie tęsknota
koczowała od zawsze w nawietrznych namiotach.

W tamtą noc, cichą noc, ktoś uwierzył
że jest życie, które można mądrze przeżyć
bez rozpacz, bez strachu i bez tego złego
co udaje, że szczęścia najlepszym kolegą.

W tamtą noc, cichą noc, biedni ludzie
znów poczuli w sobie ciepło choć był grudzień
i zaczęli się uśmiechać, lubić nawet
powolutku prostując garbate, koślawe...

Pastorałka z naszego osiedla

Pan Skowronek z baru „Promyk”
wrócił dzisiaj wcześniej
trzy butelki i dwa śledzie
zdążył kupić w mieście.

Prawie trzeźwy jak na niego
był o wpół do czwartej
lecz o piątej już pół litra
drugie miał otwarte.

A gdy w bloku przy choince
każdy sąsiad siedział –
wtedy zasnął pan Skowronek
nad połówką śledzia.

Potem Jezus po kolędzie
przyszedł do Skowronka
lecz ten drzwi nie mógł otworzyć
bo nie słyszał dzwonka.

Więc gdy wrócił gdzieś nad ranem
z pijackiej czeluści
zaczął bredzić wniebogłosy
że go Bóg opuścił.

Kolęda nagląca

Śpieszmy się na pasterkę
witać w chłopczyku Jezusa.

Śpieszmy się z chorym sercem
śpieszmy z kolędą na ustach.

Śpieszmy się jak podróżni
śpieszmy się póki czas.

Jutro będzie za późno
jutro nie będzie nas.

Kolęda z pustym krzesłem

Tylko choinka oświetlona
kolędy z płyt a wokół stołu
mama i ojciec, dzieci, żona
i niebo gęste od aniołów.

Ten jeden talerz, nóż, widelec
czeka na kogoś kto przyjść może...
Choć wiary we mnie nie za wiele
przecież na Ciebie liczę, Boże.

I choć nakrycia nikt nie dotknął
i stoi puste krzesło z brzegu
czuję jak patrzysz w moje okno
łamiesz się z nami płatkami śniegu.

Kolęda o ziarnku

Gdy chłopczyk leżał w stajni samotnej
pośród pasterzy niepewnych siebie
razem z nim ziarnko w kącie pod oknem
zakiełkowało w żydowskiej glebie.

Tak się poczęło podwójne życie
jak dwie stronicie jednej miłości:
z Dzieciątka Jezus – Bóg Odkupiciel
z owego ziarnka – Kościół.

Pastorałka na osiołku

Uciekali z gorzkiej ziemi jak złoczyńcy jacyś
Maria cała obolała i Józef bez pracy.

Tylko wiara na osiołku, owinięta w kocyk
wędrowała z nimi wiernie i znikąd pomocy.

Ale dzięki zawiniątku z bezcennym maleństwem
mieli pewność, że zły Herod musi ponieść klęskę.

A nam tak brakuje wiary w to, że cud się stanie
choć Pan Bóg w każdym domu na krzyżu na ścianie.

Kolęda teściowej

Panie Jezu jak to dobrze
że nie zapomniałeś o mnie
bo ja nie wiem co i jak
i mi w życiu życia brak.

Nawet myślę sobie cicho
że najlepiej iść za sercem
ale mówią, że to wstyd
wierzyć w jakiś głupi mit.

Jestem cała skołowana
nie ma czasu z kim pogadać
a gdy znajdzie się już ktoś
to go zaraz bierze złość.

I tak człowiek traci wiarę
że się coś na lepsze zmieni...
Dobrze, że choć Ty
śmiejesz się przez łzy.

Kolęda niezrozumiała

Czemu tak krótko, przez jedną noc
nasza nadzieja ma taką moc
że się wydaje ten dziwny świat
bez żadnych nieszczęść, bez żadnych wad?

Czemu zaledwie przez parę chwil
każdy by z Bogiem szedł milion mil
a zaraz potem schodzi na psy
niszczy swój dom i w strachu drży?

Pastorałka w drodze

Skrzypią śniegi pod butami i pękają drzewa...
Zanim zstąpisz do nas z nieba wszystkim tutaj przebacz:

i Bronkowi co się boi ale częściej kradnie
i Małgosi co rodziców przezywa nieładnie
i Józkowi co ma rozum w swoich wielkich pięściach
i tej Kryśce co nie chciała urodzić maleństwa
i Krzyškowi co podobno ma w kieszeni węża
i Agacie co wciąż zdradza kochanego męża.

Przebacz wszystkim i mnie przebacz, który grzeszy podle...
Ja się też za ciebie Jezu do Boga pomodłę.

Kolęda dziwiąca się

Wielu tu takich – znam ich przecież –
co mówią: on tylko przeszkadza
po diabła Jezus na tym świecie
na co nam jeszcze jedna władza?

I wielu takich co się kryją
żeby nikt nie mógł spojrzeć w oczy.
Bo wolą rzeczą być niczyją
krętą lecz własną dróżką kroczyć.

A teraz Ty, z tą dziwną misją
chcesz przyjść i niebo im otworzyć...
czy do nich ma należeć przyszłość
Baranku Boży?!



Pragnienie, by iść dalej

MARIA SZTUKA

Kiedy przed kilkoma laty na Uniwersytecie Śląskim pojawił się projekt „Współmyślenie w humanistyce” („Jeden Uniwersytet – Wiele Możliwości. Program Zintegrowany” współfinansowany ze środków Unii Europejskiej), chyba nikt nie spodziewał się tak rewelacyjnych efektów. Wprawdzie projekt spotkał się z zainteresowaniem zarówno studentów, jak i pracowników Instytutu Historii, ale motywacje młodych ludzi, którzy zgłosili w nim chęć udziału były różne. Jedni kierowali się pragnieniem zdobycia dodatkowych punktów potrzebnych w ubieganiu się o stypendium, innych zachęciły interesujące tematy, byli także pasjonaci (a takich na „historii” nie brakuje), którzy chcieli rozwijać swoje zamiłowania. Pasja (tak kolegów jak i prowadzących) okazała się niezwykle zaraźliwa. Studentów nie zniechęciła ciężka praca, wysiłek ani nawet cotygodniowe spotkania. Wielu z nich zaangażowało się w kilka projektów równocześnie i kontynuowali tę aktywność przez kolejne lata. O swoich doświadczeniach mówią (bez udziału prowadzących) z nieukrywaniem entuzjazmem, wciąż są głodni wiedzy i sypią pomysłami. Wspominają pierwsze wrażenia, podsumowują swoje decyzje i ich efekty.

Motywy były różne

Jagoda Wójcik (absolwentka): Chciałam dowiedzieć się, czy o historii można mówić inaczej niż na lekcjach czy zajęciach. Chciałam zmierzyć się z problemem, który dla własnego użytku nazywam „rozmywaniem się”. Na zajęciach nie ma czasu na zatrzymanie się nad szczegółami, dotyczy to zwłaszcza postaci historycznych, a mnie ciekawi, dlaczego podjęły taką a nie inną decyzję, co działo się wówczas wokół. Chciałam poznać procesy i konteksty. Chciałam wziąć udział w czymś, co wychodzi poza obowiązujące ramy i bardziej szczegółowo zająć się interesującymi mnie problemami.

Arek Popielarz (II rok uzupełniających studiów magisterskich): Wybrałam studia bez pasji, trochę za namową kolegów. Do projektu przystąpiłem myśląc, że będzie łatwo, ale się przeczyłem, nie było. W zamian odkryłem prawdziwą pasję. Idąc na magisterkę nie musiałem kombinować z tematem, sam do mnie przyszedł. Na

mojej półce, która kiedyś wypełniona była literaturą popularnonaukową, za gościły pozycje na temat historii. Szukam nowości, śledzę literaturę tematu, dostawiam nowe półki na książki – to efekt udziału w projektach.

Monika Szczurek (II rok uzupełniających studiów magisterskich): Chciałam realizować swoją pasję, głęboko przeanalizować temat związany z losami Anny Boleyn, udział w projekcie dał mi taką możliwość. I to mi się właśnie w tej pracy najbardziej podoba. Można nie tylko pogłębiać swoje zainteresowania, ale wchodzić także w coś zupełnie nowego, w coś wciągającego. To jest, jak otwieranie kolejnych drzwi i pragnienie, by iść dalej.

Chcieli kontynuować tę przygodę

Oktawia Kilian (I rok uzupełniających studiów magisterskich): Kolejne projekty dobudowywały konteksty, pozwalały głębiej wejść w atmosferę tamtych lat, wczuć się w losy bohaterów ukazując na przykład ich więzi rodzinne. Uważam, że pierwszy projekt był bazą, każdy kolejny pozwalał bardziej wnikać w epokę, dzięki temu znacznie lepiej poznaliśmy wiek XVI i XVII.

Arek: Dla mnie najważniejszym jest fakt, że pracujemy w bardzo sympatycznej grupie. Miło jest rozmawiać w kimś, kogo się lubi i w dodatku na temat, który nas ciekawi. Każdy kolejny rok tylko umacniał te więzy. Czy nam się to nie znudziło? Nie! Zdecydowanie NIE. Każdy kolejny projekt, to kolejne wyzwanie. Nowe tematy, nowe wiadomości, które inspirują do dalszych poszukiwań.

Jagoda: Decydujący w naszej pracy zespołowej był wzajemny szacunek. Każdy chce być doceniony i zauważony. W tak małej grupie nie można udawać, że się pracowało, każde wystąpienie, siłą rzeczy, musiało być poddane ocenie i zawsze była to jednak ocena życzliwa.

Monika: Mieliśmy w zespole okazję przekonać się, ile radości mogą sprawiać spotkania, które odbywają się według zupełnie innych niż na zajęciach zasadach. Metoda *ex cathedra* to coś, co z radością żegnaliśmy w szkole średniej. Tymczasem na studiach niewiele się zmieniło. W pracy nad projektami panowała zupełnie odmienna atmosfera, wprawdzie jest

mentor, ale panują inne relacje. Rozmowy wprowadzają element partnerstwa, jesteśmy traktowani poważnie. Możemy dzielić się wątpliwościami, nie bać się zadawać pytań. Nie odpowiadamy na ocenę, to zmienia nasz stosunek do stawianych nam zadań i mobilizuje do pracy.

Arek: Najlepszym dowodem naszej pasji i zaciekawienia był choćby przedłużający się czas spotkań, nikt nie patrzył na zegarek i gdyby nie rozsądek, to pewno siedzielibyśmy do nocy. Tylko pierwszy temat wybrała pani profesor, następne wybieraliśmy sami, to nie były łatwe spotkania, czasami było bardzo burzliwe, każdy jednak mógł przedstawić swoje argumenty.

Projekty rozszerzyły ich wiedzę

Oktawia: Tak prowadzone zajęcia mobilizują do szukania wciąż nowych materiałów źródłowych, a szperanie w materiale to bardzo ciekawe zajęcie. Praca w projekcie doprowadziła mnie do znalezienia tematu pracy magisterskiej. Pracę licencjacką pisałam o tradycjach i zwyczajach na dworze Sulejmana Wspaniałego. Wiedzę o ówczesnej Turcji miałam powiedzieć wystarczy, ale to za mało. Potrzebne mi były porównania z kulturą innych krajów, brakowało mi tego, ale dzięki pracy kolegów uczestniczących w projekcie mogłam poznać ówczesną kulturę Hiszpanii, Polski, Rosji. To zmienia optykę widzenia. Powstają ważne konteksty, zmienia się perspektywa. To jest ogromna wartość. Ktoś, kto nie ma tej wiedzy poprzestaje na bardzo wyrwytkowym przedstawieniu problemu i umiejętności. Brałam udział w różnych projektach, m.in. projekcie kierowanym przez dr Dominikę Rychel-Mantur. Decyzja była przemyślana, skusiła mnie inscenizacja teatralna, która miała wieńczyć projekt, ponieważ teatr to moja druga po historii pasja. Spektakl powstał na bazie pism i korespondencji z XIX wieku. Zadaliśmy widzom prowokacyjne tytułowe pytanie: *Czy warto było się bić?* Pokaz odbył się w czerwcu 2023 roku.

Monika: Część grupy brała udział także w projekcie dr Barwickiej-Makuli, na którym zgłębialiśmy tajniki dyplomacji polskiej na zagranicznych dworach – efekty prezentowaliśmy w ramach warsztatów dla licealistów. Było



Na zdjęciu od lewej: Jagoda Wójcik, Oktawia Kilian, Arkadiusz Popielarz, Sandra Plewnia i Monika Szczurek

to bardzo ciekawe doświadczenie: mówić do młodych, poczuć się „znawcą” tematu. Przygotowania były długie, a trema niemała.

Sandra Plewnia (II rok uzupełniających studiów magisterskich): Wielką radość sprawiła nauka rozszyfrowywania listów. W projekcie kierowanym przez dr Dominikę Rychel-Mantur dotyczącym losów powstańców mieliśmy kilka poziomów trudności. Podzieliliśmy się pracą. Tłumaczyliśmy trudną pisownię listów, rozgryzaliśmy ówczesną składnię i skomplikowaną konstrukcję zdań itp., rozszyfrowaliśmy obcojęzyczne wtręty, jedni przepisywali, inni zbierali materiały do scenariusza spektaklu. Projekty wciągają.

Monika: Uczyliśmy się głębokiego namysłu nad lekturą i weryfikacji informacji. Każda wątpliwość czy odpowiedź na postawione przeze mnie pytanie jest prawdziwa, była sygnałem do sprawdzenia źródła pozyskiwanej wiedzy. Praca kolegów i koleżanek kazała mi coraz lepiej przygotować się do następnych spotkań, stanowiła wyzwanie, ale szybko okazało

się, że nie ma między nami niezdrowej rywalizacji.

Sandra: Jestem na kierunku nauczycielskim zyskałam dzięki projektom coś bardzo cennego w mojej przyszłej pracy. Poprawność wypowiedzi, zwięzłość, atrakcyjność, wzbudzenie zainteresowania i pewność siebie. I chyba zyskaliśmy najcenniejszą lekcję – historia to nie jest tylko zbiór dat i faktów, doświadczenia minionych epok można wykorzystać we współczesnym życiu.

Arek: Nauczyliśmy się właściwej selekcji informacji, odrzucania tych atrakcyjnych, ale nic nie wnoszących oraz jak zaciekawiać, ale nie koncentrować się na ciekawostkach. To wielki sukces. Uczyliśmy się tego przez trzy lata, ale było warto. Profesor Skrzypiet zaimponowała nam swoją organizacją czasu pracy, podpatrywaliśmy i uczyliśmy się tego. Przykład mentorki podziałał. Nigdy niczego na nas nie wymuszała, to przyszło mimochodem.

Oktawia: Od naszej mentorki otrzymywaliśmy zawsze sugestie, propozycje, nigdy niczego nam nie narzu-

cała. To zdecydowało o znakomitej atmosferze, nie przepytywanie, ale rozmowa, nigdy pouczanie. Ważne było też poczucie rodzącej się i rozwijającej wspólnoty.

Odpowiedzialność za zespół

Arek: Nauczyliśmy się dobrej oceny kolegów, rzetelnej oceny wkładu ich pracy i doceniania poziomu zdobytej wiedzy, nieraz byliśmy pełni podziwu dla ich pracy.

Sandra: Błyskawicznie opanowaliśmy sposób komunikowania się. Zaczynaliśmy w okresie pandemii, spotykaliśmy się więc *on line*, ale czekaliśmy na te spotkania z niecierpliwością. Każdy z nas chciał się czymś wykazać. W małej grupie nie można nikogo ignorować, wytwarza się więź, ale i pewnego rodzaju zbiorowa odpowiedzialność.

Monika: Mam wrażenie, że jesteśmy znacznie bogatsi w wiedzę niż nasi koledzy, którzy nie wzięli udziału w projektach. Otrzymaliśmy nie tylko poszerzone wiadomości, zdobyliśmy także umiejętność występowa-

nia na konferencjach. Wiem, że wielu studentów przyszło do studia dla papierka, który ma otworzyć drogę do kariery i nie ma w tym nic złego, ale ja przyszłam tu z pasji i dlatego jestem w tych projektach, traktuję to jak nagrodę. Znacznie poszerzona wiedza, nowe doświadczenia, nowe kompetencje – wyciągnęliśmy ze studiów to, co najlepsze.

Sandra: Dla mnie bardzo ważne jest to, co udało nam się zbudować. Związała się między nami przyjaźń, spotykamy się także poza uczelnią, organizujemy nasze życie towarzyskie tak, aby być razem, ponieważ wzajemnie się lubimy.

Monika: Nauka na studiach powinna dawać nie tylko wiedzę, ale i umiejętności. Historia jest znakomitym materiałem. Uczymy się o ludziach, ich sukcesach i porażkach. Z perspektywy czasu można bezstronnie wykażać co torowało drogę do sukcesu, a gdzie tkwiły przyczyny porażki. Nauczylimy się nie oceniać bez refleksji i próby zrozumienia motywacji postaci. W każdej sytuacji musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego, czy można było postąpić inaczej i jakie byłyby wówczas skutki. To jest wiedza pomocna w życiu codziennym. Zrozumieć, dlaczego ktoś postąpił tak a nie inaczej. Postaci sprzed 500 lat niczym od nas się nie różnią. To jest wiedza uniwersalna.

Zdaniem mentorek

Z zajęć projektowych i ich efektów zadowolone są również prowadzące te spotkania:

Dr Aleksandra Barwicka-Makula: Dołączyłam do programu „Współmyślenie, współdziałanie” dopiero w ostatniej edycji, zachęcona osiągnięciami grupy projektowej prof. Aleksandry Skrzypietz. Byłam pod ogromnym wrażeniem wszechstronnego rozwoju studentów – wzrostu ich kompetencji komunikacyjnych, umiejętności odpowiedniej selekcji informacji źródłowej oraz krytycznej oceny procesów, wydarzeń i postaci historycznych. Przedmiotem naszego zainteresowania była dyplomacja polska w czasach ostatnich Jagiellonów i królów elekcyjnych (XVI-XVII w.). Nastawiliśmy się na pozyskanie wiadomości na temat organizacji i funkcjonowania polskiej służby dyplomatycznej w epoce nowożytnej, ale postanowiliśmy podzielić się tą wiedzą z uczniami szkół ponadpodstawowych, współpracujących z Instytutem Historii Uniwersytetu Śląskiego. Licealiści przyjęli wystąpienia bardzo pozytywnie, a nasi studenci stali się najlepszymi promotorami studiów hi-

storycznych. Praca w projekcie daje ogromną satysfakcję – miło obserwować jak młodzi ludzie, z własnej inicjatywy i z dużym zaangażowaniem rozszerzają swoją wiedzę historyczną i potrafią ją zastosować w praktyce, ale także rozwijają kompetencje miękkie – umiejętność autoprezentacji, pracy w grupie, pod presją czasu, rozwiązywania konfliktów, wypracowywania kompromisów, zdolności perswazyjnych, logicznego myślenia, kreatywności, delegowania zadań i terminowego ich realizowania. W moim odczuciu wielką wartością jest to, iż proces naukowego rozwoju przebiega w atmosferze wzajemnego szacunku, zrozumienia i serdecznej współpracy. Jako opiekun kilkusobowej grupy mam możliwość lepszego dostosowania metod nauczania do potrzeb uczestników projektu. Moje starania dydaktyczne są zatem bardziej efektywne. Ponadto w niewielkim gronie łatwiej wskazywać drogę naukowego rozwoju, czy zarażać historyczną pasją!

Dr Dominika Rychel-Mantur: W ramach omawianych grup projektowych dwukrotnie przygotowywałam ze studentami i studentkami inscenizacje teatralne do wydarzeń historycznych. Moim celem było pokazanie uczestnikom i uczestniczkom grup projektowych, że wydarzenia z przeszłości nie są tylko zapisanymi stronami w podręcznikach, że postaci żyjące 200 lat temu pod wieloma aspektami nie różniły się wiele od współczesnych ludzi. Mieli oni te same marzenia, radości i smutki, ich systemy wartości często podobne były do tych, które wyznajemy dziś. Mam wrażenie, że odkrycie tego było dla nich czymś odżywczym, a przecież wydawałoby się, że studiując historię takie rzeczy się wie. Ja sama podczas zajęć kursowych staram się takie treści przekazywać, chociaż nie zawsze się udaje, najczęściej z powodu braku czasu na pokazanie studentkom i studentom odpowiednich źródeł. Nie ma też czasu na głębszą refleksję. Mniejsze, kameralne grupy prawdziwie to umożliwiają. Głos krytyki może powiedzieć, że niewiele w tym nauki i nauczania, ale ja się z tym nie zgadzam. Prowadzona przeze mnie grupa dokonała poszukiwań, selekcji oraz krytyki zebranego materiału źródłowego. To umiejętności, które są niezbędne młodym ludziom nie tylko na studiach, ale i w życiu, zwłaszcza we współczesnym świecie, pełnym absurdów, nieprawdziwych przekazów i baniek informacyjnych. Forma zajęć wpłynęła także na efektywność uczenia się: niektóre osoby z moich grup projektowych żartują, że do końca życia będą pamię-

tały, postaci, których wcześniej nie znały takie jak np. Tadeusz Matuszewicz czy Klaudyna Potocka. Podczas prób przedstawienia obserwowałam również jak uczestnicy i uczestniczki zajęć uczyli się przełamywać własną nieśmiałość, ćwiczyli umiejętności wyrażania emocji oraz empatii. Poczucie własnej wartości, możliwość wyrażania emocji oraz empatia – to powinna być według mnie istota nauczania uniwersyteckiego. To przekonanie zbudowały we mnie właśnie te projekty. Jestem wdzięczna za nie oraz za osoby, z którymi mogłam je tworzyć. Nie mam śmiałości nazywać się mentorką, ale uważam, że tego typu zajęcia w sposób samonapędzony i spontaniczny dokonują powrotu do dawnych wartości i relacji akademickich „uczeń-mistrz”.

Prof. dr hab. Aleksandra Skrzypietz: Sukces naszych spotkań ma swe źródło w niewielkich zespołach, w ramach, których mogliśmy pracować nad tematami sugerowanymi przez prowadzących, ale czasem wskazywanych przez uczestników. Dało to możliwość pokierowania ich działaniami, często indywidualnego podejścia do ich potrzeb nie tylko intelektualnych, ale i emocjonalnych. Praca w kilkusobowych zespołach nad tematem, który interesuje studentów przynosi wymierne efekty. W tych warunkach uczyli się współpracy, porozumienia, gotowości do znajdowania kompromisów, szacunku dla różnicy zdań i przede wszystkim umiejętności wyrażania konstruktywnej krytyki, ale zarazem poddania się takowej.

Niewielka grupa dawała im okazję do otwarcia się nie tylko na wiedzę, ale także na innych, pozwalała przełamać wstyd i obawy przed narażeniem się na śmieszność. Przyjemnością była obserwacja jak doskonałą swe kompetencje językowe, umiejętność selekcji informacji, wyciągania wniosków. Podziw budziła ich nieustępliwość w docieraniu do sedna omawianych tematów i gotowość do zmagania się z trudnym nieraz tworzonym, odporność wobec pojawiających się wyzwania, gdyż praca naukowa wymaga nie tylko intelektu, ale i charakteru.

Wprawdzie nauczyciele akademicki swoje święto obchodzili 5 października, ale na życzenia nigdy nie jest za późno. Tak więc wszystkim, którzy edukują młode pokolenie życząc, aby ich wychowankowie, wzorem moich rozmówców, wspominali czas nauki z entuzjazmem, radością i poczuciem, że wyciągnęli ze studiów to, co najlepsze.



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Z Miedar do Jemielnicy i Rozmierki

Z wszystkich nazw miejscowości leżących w okolicach moich rodzinnych Tarnowskich Gór na pewno najczęściej przywołuję *Miedary* – tzw. nazwę służebną, oznaczającą pierwotnie „ludzi – producentów miodu”. A dlaczego? – Ano dlatego, że jest bardzo archaiczna, gdyż zachowała w sobie pierwotną samogłoskę „e” – obecną także w wyrazie-podstawie słowotwórczej, czyli prasłowiańskim rzeczowniku *med*. Samogłoska ta przetrwała we wszystkich językach słowiańskich (por. czeski, słowacki czy rosyjski *med*) i tylko w polszczyźnie – zgodnie z prawem przegłosu polskiego – to „e” musiało przed „d” przejść w „o”, stąd *miod* (później *miód*), nazwisko *Miodek*, *miodowy*, *miodny*. W *Miedarach* – powtórzmy – to prymarne „e” się zachowało.

Po raz kolejny przywołałem z pamięci *Miedary*, gdy już na początku wywiadu-rzeczki z prof. Franciszkiem Markiem autorstwa Ryszarda Surmacza, zatytułowanym „Przeszłość dla przyszłości. 1000 lat dziejów. Rozmowy o Śląsku z prof. Franciszkiem Antonim Markiem” (Lublin 2023), przeczytałem następujący fragment: „Markowie pochodzą z Jemielnicy, a ściślej z Gąsiorowic w gminie i parafii Jemielnica w powiecie strzeleckim. Dom rodzinny mojego Taty jest w Lichyni, a dokładniej w przysiółku Granica przy samym lesie czarnocińskim, za którym jest Góra św. Anny, Starka pochodziła z Rozmierki Strzeleckiej” (s. 33). Występuje w nim kilka nazw miejscowych, ale dwie z nich – zasygnalizowane w tytule niniejszego odcinka *Jemielnica* i *Rozmierka* – mają ścisły formalno-historycznojęzykowy związek z *Miedarami*, bo tak jak one przechowały w sobie pierwotną samogłoskę „e”.

Pierwsza z nich, zapisana już w XIII wieku (*Gemelnich* 1283, *Gemelnici* 1298), jest nazwą topograficzną, pochodzącą od wyrazu *jemiola* – znaczącego tyle, co „roślina pasożytująca na drzewach liściastych”. Ale tak jak w podstawie słowotwórczej *Miedar*, czyli w rzeczowniku *mied*, musiało dojść do przegłosu polskiego – zamiany „e” w „o” przed „d” i powstania wtórnego brzmienia *miod* (późn. *miód*), tak

samo w podstawie słowotwórczej *Jemielnicy* – rzeczowniku *jemiola* – musiało dojść do takiego samego przegłosu polskiego, w tym wypadku zamiany „e” w „o” przed „l” i powstania wtórnego brzmienia *jemiola* (bo nie tylko spółgłoska „d” powodowała tę zamianę zwaną przegłosem polskim, ale sprawiały to wszystkie nasze spółgłoski przedniojęzykowo-zębowe: „l”, a także „t”, „s”, „z”, „n”, „r”).

Dla porządku dopowiedzmy za „Słownikiem etymologicznym języka polskiego” Wiesława Borysia z roku 2005, że w historycznym punkcie wyjścia była to prasłowiańska *emela* (wariantywnie *omela*, *jmela*), dalsza etymologia natomiast jest niejasna. Prof. Boryś nie wyklucza zapożyczenia z jakiegoś nieznanego źródła, zwłaszcza że ta niezwykle roślina odgrywała znaczną rolę w kulturze Słowian i innych ludów, gdyż przypisywano jej magiczną moc i w związku z tym okazywano cześć.

Dodajmy jeszcze i to, że w procesie przegłosu polskiego w „o” – przed „t”, „d”, „s”, „z”, „n”, „r”, „l”, a po spółgłosce miękkiej – zmieniało się „e” utrzymujące dawne prasłowiańskie brzmienie. Jeśli natomiast „e” było kontynuacją pierwotnego tzw. jał, czyli znanego w prasłowiańszczyźnie dźwięku pośredniego między „a” i „e”, wtedy zmieniało się w naszym języku w „a”. I tak np. *miera* musiała się zmienić w *miarę*, a *rozmier* – w *rozmiar* (stąd i nazwiska *Miarka*, *Rozmiar*). W cytowanym wyżej fragmencie wywiadu-rzeczki z prof. Markiem mamy natomiast *Rozmierkę* – z zachowanym pierwotnym „e”, tak jak w pobliskiej *Rozmierzy* czy w wyrazach pospolitych *mieryć*, *mierniczy* – przed miękkimi „rz”, „rń”.

Uświadomiwszy Czytelnikom morfolologiczne podobieństwo *Miedar* do *Jemielnicy* i *Rozmierki*, mogę się zająć pozostałymi nazwami przytoczonego na początku fragmentu.

I tak *Gąsiorowice* to dawne *Gąsiorowicy* – tzw. nazwa patronimiczna, pochodząca od nazwy osobowej *Gąsior*, a oznaczająca pierwotnie „potomków jakiegoś *Gąsiora*”.

Strzelce (*Opolskie*), zapisane już w roku 1223 jako *Strelci*, to pierwotnie również na-

zwa osobowa, odnosząca się do ludzi, którzy pełnili powinności łowieckie dla dworu książęcego, przygotowywali strzały i łuki, organizowali łowy, a pewnie i sami byli strzelcami.

Lichynia – tak jak *Licheń* koło Konina, który też był najpierw *Lichynią* – określa, oczywiście, „osadę o lichej, nieurodzajnej glebie”.

Granica odpowiada wyrazowi pospolitemu *granica*, o którym warto wiedzieć, że pochodzi od niego niemiecki rzeczownik *Grenze* (a nie na odwrót!) – jeden z kilkunastu polonizmów w języku naszych zachodnich sąsiadów.

Wspomniany we wspomnieniu prof. Marka *las czarnociński*, za którym jest *Góra św. Anny*, jest derywatem od formy *Carnocin*, utworzonym przyrostkiem dzierżawczym „-in” od nazwy osobowej *Czarnota* i pierwotnie „własność Czarnoty” oznaczającym.

Góra św. Anny pozostaje, oczywiście, w związku z kultem św. Anny.

Na koniec trudno nie wspomnieć o nazwach dwu śląskich miejscowości najsilniej wpisanych w życiorys prof. Franciszka Marka – o podrybnickim *Belku*, w którym się urodził i spędził lata dzieciństwa, i o podopolskim *Gogolinie*, w którym zamieszkał po studiach.

Belk, spokrewniony z takimi nazwami, jak *Belcz*, *Belcze*, *Belcza*, jest nazwą topograficzną utworzoną od wyrazu *belk* – „wir wodny”, gw. „błoto”. Ów dawny *belk* tworzy na pewno jedną wyrazową rodzinę z *belkotaniem*, *belkotem*, bo i prasłowiański cząstnik *blkati* odnosił się nie tylko do „głuchych, gardłowych dźwięków, do niewyraźnego mówienia”, ale i do „odgłosu płonącego ognia, poruszonej, mąconej, wrzącej wody”. W staropolszczyźnie funkcjonowały słowa *belkać* – „mącić płyn przez nagłe poruszenie” i *belknienie* – „plusk wody”. „Z Etny słyszeć wrzące belkoty” – pisał Samuel Twardowski z XVII wieku.

I wreszcie *Gogolin* – nazwa dzierżawcza, „własność Gogoli”, a nazwa osobowa *Gogola* wywodzi się od od staropolskich i gwarowych form *gogol*, *gogot* – „gątniek dzikiej kaczki”.

Podziemne murale kolejowe

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Pamiętający jeszcze czasy Habsburgów stary galicyjski dworzec kolejowy w Czechowicach-Dziedzicach zmienia radykalnie swój wygląd. Na wiosnę przyszłego roku powinien przeobrazić się – jak przewidują plany inwestycyjne – w nowoczesny obiekt, spełniający różnorodne funkcje społeczne. Wzorem Rabki, Radzionkowa czy Wrocławia będzie służył nie tylko potrzebom pasażerów PKP, ale również mieszkańców korzystających z usług instytucji lokalnych.

Rozparcelowany obecnie po 19 budynkach Ośrodek Pomocy Społecznej znajdzie swoją przestronną siedzibę w odnowionym i zmodernizowanym gmachu przyszłego dworca. Otworzy tam również swoje podwoje muzeum historyczne, którego nie było dotąd nigdy w 35-tysięcznym mieście. Istniejący od 1855 roku dworzec kolejowy w Dziedzicach (połączonych – dodajmy – przed 65 laty z Czechowicami we wspólny organizm miejski) zyska zupełnie nowe oblicze.

Wykonawcą trwających od wielu miesięcy robót remontowo-budowlanych jest Bielskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Dość kosztowna inwestycja o łącznej wartości blisko 50 mln zł ma na celu przede wszystkim poprawę estetyki zaniedbanego budynku i komfortu obsługi podróżnych, a także dostosowanie dworca do potrzeb osób o ograniczonej mobilności. Montaż kamer monitoringu wizyjnego powinien ponadto przyczynić się do zwiększenia bezpieczeństwa pasażerów, zwłaszcza w porze nocnej. Trójfunkcyjny obiekt przy ul. Kolejowej nie będzie już – jak zapewniają budowlancy z bielskiej „przemysłówki” – paskudną wizytówką miasta i symbolem cywilizacyjnej degradacji Czechowic-Dziedzic. Skrajnie zaniedbany gmach kolejowy nasuwał bowiem przez dziesiątki lat skojarzenia z ponurą budowlą noszącą jakby ciągle ślady zniszczeń wojennych.

Pożegnanie z cesarzem

Prowadzona teraz rewitalizacja czechowickiego dworca nie jest jednak jedynym kolejowym zadaniem inwestycyjnym w rejonie śląskiego miasta u zbiegu rzek Białej, Iłownicy i Wisły. Z początkiem 2020 roku ruszyła kompleksowa modernizacja czechowickiego węzła PKP, obejmującego rozległy teren od mostu na Wiśle (wraz z pobliskim przystankiem ko-

lejowym Goczałkowice-Zdrój) aż do położonego w odległości ok. 2 km od Jeziora Goczałkowickiego przystanku we wsi Zabrzeg. Trwające niemal cztery lata ogromne przedsięwzięcie o niebagatelnej wartości ok. 1,5 mld zł realizowano na zlecenie PKP – Polskich Linii Kolejowych S.A. Generalnym wykonawcą inwestycji była firma „Budimex”.

Nie wdając się w fachowe rozważania techniczne można w największym uproszczeniu zrelacjonować, że wymieniono na tym obszarze wszystkie podkłady kolejowe, każdą zwrotnicę i każdy semafor. Wzniesiono nowy most kolejowy na Wiśle z oddzielnymi torowiskami Katowice-Bielsko i Katowice-Wisła. Wzmocniono na tym odcinku podkłady kolejowe. W efekcie powstały nowoczesne i funkcjonalne rozjazdy kolejowe na trasach z Górnego Śląska w Beskidy. Torowiska osłonięto ekranami akustycznymi.

W trzech miejscowościach (Czechowice-Dziedzice, Goczałkowice-Zdrój, Zabrzeg), zbudowano estetyczne perony kolejowe dla podróżnych, wyposażając je w tunele podziemne. Szkoda tylko, że budynek dworcowy w Zabrzegu nie został przy okazji gruntownie odnowiony. Warto dla celów dokumentacyjnych przypomnieć równocześnie, że przedtem pasażerowie chodzili tam przez długie lata bezpośrednio po torach, co absolutnie nie sprzyjało bezpieczeństwu ruchu kolejowego.

Specjaliści przekonują, że w przypadku stacji czechowickiej jest to skokowy postęp w porównaniu z dotychczasowymi rozwiązaniami, sięgającymi jeszcze okresu panowania XIX-wiecznego cesarza Franza Josefa Habsburga, rządzącego niepodzielnie dawną monarchią austro-węgierską (galicyjski Śląsk Cieszyński był jedną z jej geograficznych prowincji).

Zaskakująca zmiana kierunku jazdy

Podczas realizacji inwestycji nie obyło się jednak bez utrudnień dla podróżujących. Wszystkie pociągi z Katowic do Bielska-Białej zatrzymywały się na kilkanaście minut w rejonie Czechowic-Dziedzic, a następnie zmieniały nieoczekiwanie kierunek jazdy. Dla niektórych pasażerów było to duże zaskoczenie. Takie postępowanie wydłużało znacząco czas podróży.

Przyczyną opóźnień było zjawisko tzw. „fazowania”, polegające na wykonywaniu robót tylko na jednym

z istniejących torów. Potem w kolejnej fazie inwestycji wznawiano ruch na tym torze i kontynuowano prace na torze wcześniej eksploatowanym. – *Dzięki temu nie trzeba było organizować autobusowej komunikacji zastępczej* – wyjaśnia Magdalena Małecka-Cebula z „Budimexu”, kierownik robót mostowych.

Teraz czas przejazdu pociągów na trasie z Katowic do Bielska wynosi od 55 do 65 minut (krócej jeżdżą pociągi przyspieszone, które nie zatrzymują się w ogóle na niektórych przystankach). Na pasażerów wysiadających w Czechowicach lub w Goczałkowicach-Zdroju czekają zaś obecnie, o czym z pewnością warto wspomnieć, atrakcyjne niespodzianki... plastyczne.

Malunki odporne na dewastację

Na ścianach podziemnych tuneli pod torami kolejowymi widnieją nietuzinkowe i przyciągające uwagę pieszych murale. Nie są to obskurne „dzieła” natrętnych graficiarzy, lecz prawdziwe dzieła sztuki plastycznej, autorstwa bądź to **Anety Paszek** (utalentowanej artystki z Czechowic-Dziedzic) bądź też uczniów bielskiego liceum plastycznego (podopiecznych **Wojciecha Rokoszeo**, kreatywnego projektanta i znanego muralisty z Krakowa). W tunelu zabrzeskim można natomiast podziwiać murale sporządzone przez firmę o niecodziennej nazwie „Nietak” z Rudy Śląskiej.

Malunki obrazują historię Śląska Cieszyńskiego, zdarzenia z dziejów tamtejszej kolei oraz uroku przyrody (ciekawe okazy ptactwa wodnego). Murale nie powstałyby bez profesjonalnego wsparcia ze strony **Jacka Cwetlera**, kustosa Izby Regionalnej w Czechowicach-Dziedzicach. Dostarczył on autorom malunków źródłowe materiały faktograficzne.

Inicjatorką umieszczenia w tunelach efektownych murali była zaś **Magdalena Małecka-Cebula**, upoważniona przez swoich szefów z „Budimexu” do takich niekonwencjonalnych działań. Malunków nie da się zniszczyć ani spaskudzić, bo zostały one skutecznie zabezpieczone przy pomocy odpowiednich substancji chemicznych. – *Wszelkie ewentualne bohomazy graficzne można szybko i bezboleśnie zmyć* – zapewnia pomysłodawczyni niestereotypowego ozdobienia podziemnych tuneli kolejowych. Tego jeszcze chyba nigdy nie było na Śląsku! ■



Aneta Paszek na tle swoich murali w podziemnym tunelu w Czechowicach-Dziedzicach



Malunki na ścianach tunelu obrazują dzieje komunikacji kolejowej na Śląsku Cieszyńskim



Czechowickie murale w przejściu pod torami kolejowymi są historią miasta w pigułce, zawierającą m.in. plastyczne wspomnienia Anety Paszek na temat ostatniej w Polsce fabryki zapalek



Śmierć Guliwera

LEONID ANDRIEJEW
Przełożył MARIAN KISIEL

...W końcu, po krótkich, lecz bolesnych cierpieniach, Człowiek Góra (jak sam Guliwer oddał lilipucie słowo *Quinbus Flestrin*) wydał ostatnie tchnienie z wielkim hukiem, niemniej przyjaciele zmarłego, uczeni, dworzanie, lekarze i zwykli ludzie nie odważyli się zbliżyć do zwłok przez długi czas, ponieważ nie byli pewni śmierci i bali się, że nagły ruch ręką lub nogą, który towarzyszy agonii, może spowodować obrażenia, a nawet śmierć nieostrożnego śmiałka. Tylko lekkomyślny tłum, trawiony ciekawością, uparcie wpatrywał się w nieboszczyka, więc utrzymanie porządku było wielkim wysiłkiem dla silnej straży. Jednakże po dwóch godzinach zupełny bezruch ogromnych zwłok przekonał obecnych, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a uczeni lekarze wspięli się po drabinie na tors Guliwera, by sporządzić formalny akt zgonu. Następnie świadectwo to zostało opublikowane, i oto jakie niewątpliwie oznaki śmierci ustalili naukowcy: klatka piersiowa Guliwera, która wcześniej podczas jego oddychania kołysała się tak gwałtownie, że u wielu liliputów wywoływało to atak choroby morskiej, teraz pozostawała nieruchoma i zimna niczym marmurowa podłoga w głównej świątyni stolicy; tak samo ustał ten straszny dźwięk, dudnienie i sapanie, które towarzyszyły biciu ogromnego serca Człowieka Góry. Umieściwszy się na tym samym miejscu klatki piersiowej, pod którą powinno znajdować się serce Guliwera, zakładając, że został on stworzony na podobieństwo liliputów, uczone zgromadzenie nie usłyszało najmniejszego dźwięku ani nie poczuło wibracji podłoża.

Wiadomość o śmierci Człowieka Góry pogrzyżyła cały kraj liliputów w głębokiej żałobie. Jego liczni wrogowie i zazdrośnicy, którzy potępiali go za zbyt wielki i szkodliwy dla państwa wzrost, zamilkli, ukontentowani jego śmiercią; i odwrotnie, wszyscy z radością wspominali jego siłę i łagodność, i tylko jego męstwu przypisywali zwycięstwo nad flotą wrogiej wyspy Blefuscu. A grono przyjaciół, z początku niewielkie, rosło z dnia na dzień, aż w końcu cały naród liliputów stał się szczerym, głośno płaczącym przyjacielem Guliwera. Jedynym wyjątkiem był wielki admirał Skyresh Bolgolam, który żywił urazę nawet po śmierci swojego wroga i proponował, aby dla pohambienia Guliwera nie grzebać go, lecz pozostawić jego zwłoki drapieżnym ptakom. Propozycja ta została jednak z oburzeniem odrzucona przez Radę Stanu, co jednak wcale nie rozwiązało straszliwej trudności wynikającej z pytania, jak pochować Człowieka Góry.

Przeciwnicy wielkiego admirała gwałtownie oponowali, że jeśli Człowiek Góra zostanie pozostawiony bez pochówku, rozkład tak ogromnych zwłok może wywołać epidemię w stolicy i zarazę w całym królestwie. Jednocześnie wszyscy przekonywali, że przetransportowanie Guliwera na cmentarz jest niemożliwe, ponieważ każdy cmentarz jest dla niego za mały, zaś transport zwłok spowodowałby zniszczenie całych ulic i dzielnic wspaniałej stolicy liliputów. Wszyscy pamiętali, jak Guliwer, kiedy pozwolono mu chodzić po mieście, swobodnie przekraczał bramy miejskie, przez które jego ręka ledwo mogła przejść. Sytuacja wydawała się beznadziejna, kiedy protektor Guliwera, Reldresal, tajny radca dworu, zasugerował wykopanie dołu w pobliżu zwłok i wrzucenie do niego nieboszczyka za pomocą dźwigni. Propozycja ta została zaakceptowana i jeszcze tej samej nocy, przy świetle pochodni, trzy tysiące liliputów, uzbrojonych w łopaty i kilofy, zabrało się do ciężkiej pracy. Matematycy obliczyli, że przy tak dużej liczbie ludzi dół niezbędny do ukrycia zwłok o objętości równej 1724 liliputów zostanie wykopany w ciągu doby.

Za namową tego samego Reldresala wolny dzień przed pochówkiem postanowiono poświęcić na uczczenie pamięci Człowieka Góry. Na tej podstawie wysunięto następnie oszczerstwo oskarżające szanownego Reldresala, tajnego radcy, o utrzymywanie tajnych kontaktów z wrogiem rządowi partią *trameckсанów* (wysokich obcasów). Możemy z wielką satysfakcją obalić to oszczerstwo, ponieważ my sami, należący do partii „niskich obcasów”, wiemy z całkowitej wiarygodnych i niepodważal-

nych źródeł, że pan Reldresal był człowiekiem stałych przekonań i nawet zrobił swoim koniom jeździeckim niskie podkowy bez haceli, chociaż na ostrych zakrętach wielokrotnie zagrażało to jego cennemu życiu. Wspomniana zaś propozycja miała na celu zwiększyć splendor i chwałę królestwa, którego Człowiek Góra był jednym z poddanych, a także uwolnić kraj od nieporządku i zamieszania, ponieważ niespokojny tłum, który naiwnie uwielbiał Guliwera za jego niewiarygodny wzrost, już wyrażał swoje zniecierpliwienie okrzykami, gwizdami, a nawet nieprzyzwoitymi przyspiewkami.

Od rana stolica udekorowana była czarnymi flagami, a przed południem, kiedy zaplanowano obchody, ogromne tłumy liliputów rzuciły się do bram miasta drogą prowadzącą do mieszkania Guliwera (jak wiadomo, Guliwer mieszkał pół mili od bram miasta, w opuszczonej świątyni). Według obliczeń matematyków wokół zwłok zgromadziło się 121 223 ludzi, nie licząc dzieci przyniesionych na rękach matek plebejuszy. Na podstawie obliczeń tych samych matematyków, było 15 381 mówców, którzy chcieli wychwalać zasługi zmarłego w swoich przemówieniach, co ponownie spowodowało poważne trudności. Początkowo, aby nie urazić mówców, zaproponowano losowanie i pozostawienie wyboru samemu losowi; byli jednak sceptycy, którzy nie wierzyli w los, obawiając się, że losowanie może prowadzić do złych wyników i nominować nawet głuchoniemych mówców (a wśród zapisanych byli tacy). Wydawało im się o wiele bardziej sprawiedliwe, aby wybierać mówców według ich wzrostu i głosu, robiąc wyjątek tylko dla uczonych, których wzrost, biorąc pod uwagę ich zwyczaj stania z pochylonymi plecami, był bardzo trudny do określenia. Głosu nie mieli, bo mówili szeptem. Tak więc postanowiono: z tłumy mówców, po zauważeniu najbardziej krzyczących, wybrano 500 osób, z kolei tych 500 umieszczono w grupach według ich wzrostu, a najwyższych, w liczbie 60, zaproszono na mównicę. Niestety, dwóch musiało zostać usuniętych, ponieważ jeden był całkowicie nieświadomy sprawy, a drugi był jego kolegą. Godne ubolewania jest również to, że mądry porządek pod koniec dnia został zakłócony i że pojawili się nowi i nieznanymi mówcy, zbyt entuzjastyczni chwalczy zmarłego, wzywający do nieporządku nieostrożny i zapalczywy tłum. Ale o nich nie ma potrzeby mówić.

Nie sposób wystarczająco pochwalić splendoru i wspaniałości uroczystych obchodów. Tłum w jego siermiężnych, ale jaskrawych strojach został odsunięty daleko, podczas gdy w pobliżu samego trupa, który wznosił się nad ich głowami niczym zimna góra, znajdowali się lilipuci w drogich i wytwornych strojach, jeźdźcy na dumnych koniach i elegancko ubrani lilipuci żołnierze, gwardziści i husarze, maszerujący uroczysto tam i z powrotem, porządkując przestrzeń. Pośród bliskich przyjaciół Guliwera znajdował się słynny karzeł, którego tłum, ze względu na jego wielki wzrost (był o cały paznokcie wyższy niż wszystkie inne liliputy), zamierzał zastąpić Człowieka Górze. Prowadzony przez zaciekawione i zadowolone spojrzenia, dumnie przeszedł obok zwłok na swoich wysokich obcasach, co jeszcze bardziej podkreśliło jego posturę, i jak swój człowiek usiadł, by spocząć na bladym i zimnym małym palcu Guliwera. Ale ponieważ nie można go było zobaczyć z drugiej strony zwłok, wykorzystał swoją wyjątko-

wą siłę i posturę, aby wspiąć się na same zwłoki i w niezależnej pozie usiąść na kolanie. Z tego miejsca był widoczny dla wszystkich, a nawet w najdalszych szeregach liliputów, obdarzonych bystrym wzrokiem. Platforma dla mówców została umieszczona na piersi Człowieka Góry i udekorowana flagami i zielenią oraz naprędcą wykonanym popiersiem zmarłego. Utalentowanemu rzeźbiarzowi udało się nadać rysom twarzy Guliwera tyle mocy i szlachetności, że ci, którzy widzieli popiersie z bliska, zapewniali o jego niewątpliwiej wyższości nad oryginałem i szepotali pochlebstwa. Po lewej stronie trybuny, na brzuchu Guliwera, znajdowały się miejsca dla honorowych gości, którzy z pogardą patrzyli na rozgadany tłum, który z kolei z zachwytem i chciwością spoglądał na ich drogie, dobrze znane twarze. Lilipuci, którzy kopali grób dla Guliwera, byli osłonięci przed wzrokiem tłumu wysokim, pospiesznie wykonanym ogrodzeniem i tylko w sporadycznych momentach czyszy brzęk żelaza o kamień, szelest kruszącej się ziemi zdradzały ich tajemniczą i ponurą pracę. Ale z wysokości trybun głęboki dół był wyraźnie widoczny; a czekając na rozpoczęcie uczty, honorowi goście z zainteresowaniem obserwowali pracę i wymieniali głębokie uwagi na cześć męża stanu lorda Reldresala.

Wreszcie, na znak mistrza ceremonii, rozpoczęły się przemówienia.

Jako pierwszych na mównicę wpuszczono uczonych. Po deszli wszyscy razem i przemawiali jednocześnie; wszyscy mówili to samo i wszyscy mówili szeptem, przez co i tak nie było ich słycać. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ ich przemówienia, przejrane i poprawione w domu, miały ukażać się w „Roczniku” Lilipuciej Akademii Nauk, gdzie zostaną przeczytane przez wszystkich innych członków wspomnianej uczonnej korporacji. W tym czasie, gdy oni przemawiali, dżentelmeni i tłum skorzystali ze śniadania, ponieważ pora była już późna i wielu było zmęczonych długim oczekiwaniem. Za zgodą mistrza ceremonii orkiestra grała muzykę dla panów podczas śniadania, a ze względu na smutek chwili, wykonywane utwory odznaczały się skrajną melancholią.

Treść wystąpień uczonych, jak widać z „Rocznika”, w głównych zarysach sprowadzała się do następującej tezy. Człowiek Góra wyróżniał się bardzo wielkim wzrostem i odpowiadającą mu siłą – tutaj uczeni przedstawili bardzo dokładne tabele i obliczenia wzrostu Guliwera, objętości jego ciała i przypuszczalnej wagi. Ale przyczyna tego wzrostu, zgodnie z wnioskami uczonych, była nieznana i taka pozostanie na zawsze. Podobnie nieznany pozostaje cel, dla którego natura wytworzyła tak monstrualne zjawisko. Co się zaś tyczy siły, tutaj opinie uczonych nieco się różniły: jedni twierdzili, że siła jest po prostu siłą, drudzy natomiast szukali dla niej uzasadnienia w tych budowlach, dźwigających kamienne i ciężkie ładunki, które powierzono Guliwerowi. Jednak w rezultacie wszyscy ponownie zgodzili się, że siła pozostaje niewytłumaczalna i jako taka wroga i szkodliwa dla ludzkości. Nauka zaś, reprezentowana przez swoich najlepszych przedstawicieli, po prostu nie uznaje Guliwera za fakt i wyraża poważne wątpliwości co do jego istnienia. Zgodnie z jednomyślną konkluzją uczonych, Guliwer jest niczym innym jak mitem, legendą stworzoną przez zwykłych ludzi z powodu ich skłonności do dziwactw i cudów. Guliwer nigdy nie istniał, a ktokolwiek twierdzi inaczej, ten zostaje pozbawiony tytułu uczonego, wydany z Akademii na zawsze i obłożony anatemą w „Roczniku”.

Po zakończeniu swoich przemówień, wśród gromkich braw, uczeni tłumnie zeszedli ze zwłok Guliwera, przy czym już przy samej ziemi doszło do przepychanki między dwoma czcigodnymi przedstawicielami korporacji, spowodowanej, jak się później okazało, fundamentalną różnicą zdań w ich poglądach na temat Guliwera: czy był on mitem czy legendą? Tymczasem inni uczeni skarżyli się, że pomimo podjętych środków, ciepłych ubrań i butów, obawiają się przeziębienia, gdyż ogromne zwłoki były nieznośnie zimne, co mogło nie tylko wyziębnić, ale i zmrozić najbardziej zagorzałego mówcę. Sam

zaś pomysł – zaaranżowania podium na zwłokach – uważają za kpinę z nauki: czyż lekkomyślny i ignorancki tłum doceni w pełni siłę ich dowodów na istnienie mitycznego Guliwera, jeśli jego oczom w tym samym czasie frywolnie prezentuje się trup. Niemniej jednak, na znak mistrza ceremonii, podniecenie wśród uczonych natychmiast opadło, a ci dwaj, wciąż walczący, zostali umieszczeni razem w ciemnym, pozbawionym okien powozie i odesłani z powrotem do akademii.

Druga tura należała do licznych przyjaciół Guliwera, którzy wśród łez i westchnień przekazywali swoje wspomnienia o zmarłym. Pierwszy mówca, którego imienia niestety nie udało nam się poznać, był najbliższym przyjacielem Człowieka Góry i sam odznaczał się dźwięcznym, męskim głosem i dostojnym wyglądem. Drżącym z miłości głosem opowiadał o tym, jak Guliwer zapomniał go kiedyś w kieszeni na całe dwa dni. Z cudowną elokwencją mówca przekazał podnieconym słuchaczom swoją udrękę spowodowaną głodem, pragnieniem i ciemnością, a na koniec radość Guliwera, gdy trzeciego dnia sięgnął do kieszeni po tabakierkę i znalazł swojego najlepszego przyjaciela. Zgodnie z pokornym wyznaniem mówcy, Guliwer zawdzięczał rozwój swojej siły i szlachetność duszy jego radom i nieustannemu nadzorowi.

Drugi mówca, który miał niezwykle słodki głos, był także pierwszym przyjacielem Guliwera. Ale jako przyjaciel, zobowiązany do prawdopodobności z szacunku i miłości do zmarłego, zmuszony był wskazać kilka złych stron jego charakteru. Tak więc, wyznał, Guliwer był chciwy, samolubny i zły, skłonny do próżności, dlatego też przyjaciół dla siebie wybierał spośród ludzi sławnych, zdolnych rzucić blask swej wielkości i na jego głowę. Guliwer, który sam w sobie był marny, sztucznie powiększał swoje rozmiary, robiąc grube podeszwy do butów. Tuż przed śmiercią Guliwer zaplanował wielką zdradę przeciwko państwu liliputów, które udzieliło mu schronienia, co ze łzami w oczach wyznał przed mówcą. Według smutnego wyznania mówcy, jedynie jego przychylnemu wpływowi ludzie zawdzięczają to, że nie zostali zdeptani buciorami Guliwera. Nie ma takiej siły, by opisać żalną zazdrość, mroczną złośliwość, jaką Guliwer żywił wobec wszystkich swoich prawdziwych przyjaciół, uznając jedynie pochlebstwo...

W tym miejscu mówca, niestety, dostał ataku jakiejś dziwnej choroby spowodowanej podnieceniem. Jego usta spieniły się, a płynna mowa zamieniła w dzikie i nieartykułowane okrzyki. Jednak na znak mistrza ceremonii atak szybko ustał i przy burzy oklasków mówca uroczysto osunął się na ziemię. Największym aplauzem nagrodzono jednak trzeciego mówcę, również pierwszego przyjaciela Guliwera, który swoją zręczną przemową zdołał rozpalić w liliputach płomień gorącego patriotyzmu. Udowodnił, że sam Guliwer nic by nie znał, gdyby nie tysiące lilipucich baranów, które pożerał każdego roku. „Barany, właśnie nasze lilipuckie barany – wykrzyknął mówca – przetworzone w mięso, krew i mózgi, stanowią siłę i chwałę Człowieka Góry. Kto pokonał wrogą wyspę Blefuscu? Człowiek Góra? Nie. Wyspa Blefuscu została pokonana przez nasze lilipuckie barany, albowiem sam Człowiek Góra nie jest niczym innym jak zbiorem baranów!”

Tutaj mówca przedstawił we wruszających i żywych barwach niezapomniany obraz lilipuckiego barana, potulnego, posłusznego, gotowego przez całe życie poświęcać się dla najwyższych interesów królestwa, tego niepozornego bohatera, którego wełna tworzy blask i którego mięso tworzy potęgę królestwa liliputów. Rzykując zerwanie strun głosowych, mówca zaśpiewał zaimprovizowaną odę na cześć lilipuckiego barana.

Entuzjazm publiczności sięgnął wyżyn, gdy na znak mistrza ceremonii śpiew nagle ustał. Faktem jest, że każdy śpiew, nawet najbardziej patriotyczny, w niektórych przypadkach był uważany za niebezpieczny, ponieważ tłum, który nie rozumiał języka wyższych klas, łatwo podchwytował śpiew, ale używał zupełnie innych, niepożądanych słów. Przy okazji, dla pouczenia kolejnych mówców, mistrz ceremonii wskazał punkty, których nie powinni oni poruszać: nie powinni mianowicie

cie mówić o nowym systemie monetarnym, nie powinni odnosić się do kwestii kanału na południowym wschodzie Liliputu, nie powinni wspominać o zadartym nosie wielkiego admirała (który był częstym tematem żartów ulicznych demagogów), nie powinni przypominać o niestosownym sposobie, w jaki Guliwer ugasił pożar, i tak dalej, i tak dalej. Odczytywanie zakazanych paragrafów trwało około godziny, który to czas wykorzystała lilipucka gwardia i husaria, trzykrotnie parując w uroczystym pochodzie przed zwłokami.

Nowy mówca był niestety człowiekiem zajadłym, a nawet nieprzyzwoitym, co rzadko spotyka się wśród liliputów. Ku uciesze rozbawionego tłumu udowodnił, że trzej pierwsi najlepsi przyjaciele Człowieka Góry nie tylko nigdy nie byli jego przyjaciółmi, ale nawet nie mieli zaszczytu go poznać; i że jeden z nich, który spędził dwa dni w ciemnej kieszeni, dostał się tam zupełnie przypadkowo podczas poszukiwań Guliwera; i że Guliwer nie tylko nie wyraził radości, gdy wyjął go z kieszeni, ale wręcz przeciwnie, ukarał go bardzo okrutnie i nieprzyzwoicie. On zaś, mówca, nie chce nawet być uważany za przyjaciela Człowieka Góry i wolałby zarabiać marne pieniądze niż...

Mówca prawdopodobnie zostałby przez obecnych pobity w słusznym oburzeniu, gdyby nie zabawny i niefortunny incydent, który przyniósł jego przemówieniu bardziej ponury koniec. Stało się tak, że wysoki karzeł, którego uważano za następcę Człowieka Góry i który nadal siedział na jego kolanie, gdzie przybierał jedną niezależną pozę za drugą, zahaczył o coś obcasem i gwałtownie poleciał głową w dół; przed straszliwą śmiercią uratował go tylko upadek na wysoką, niezwykle grubą karzełkową damę. Pisk przerażonej damy, dzikie rechotanie tłumu, wycie i gwizdy na chwilę przerwały uporządkowany tok uroczystości, ale na znak mistrza ceremonii hałas natychmiast ucichł, a na zwolnioną mównicę weszli nowi mówcy. Trudno jest przekazać treść wszystkich przemówień, zwłaszcza że większość z nich nie było słychać ze względu na wielkość zwłok, na których umieszczono mówców; ale wszyscy, którzy byli na uczcie, nie bez słusności twierdzą, że tak wysokiego wzrostu uczuć, takiego blasku i piękna słów, takiej mocy w ich wyrażeniu jeszcze nie spotkali. Wielu słuchaczy było poruszonych do łez; kieszonkowcy, którzy wyrwali chusteczki z kieszeni, skarżyli się sobie nawzajem na straszliwą wilgoć i nieczystość chusteczek, co czyniło je przed natychmiastowym użyciem nie tylko nieodpowiednimi, ale nawet niebezpiecznymi dla zdrowia.

Najbardziej uroczystym i wzruszającym momentem było jednak wejście orkiestry i licznego chóru na zwłoki i wykonanie niskim głosem, aby nie podniecić tłumu, majestatycznej kantaty, napisanej na tę okazję przez słynnego kompozytora laureata. Potężne dźwięki, złagodzone przez pragnienie wykonawców, by nie być słyszany, przywoływały majestatyczny wizerunek Człowieka Góry i podnosiły nastrój coraz wyżej, gdy nowy smutny wypadek nagle przerwał muzykę i śpiew, a wszystkie oczy zwróciły się na odległe szeregi tłumu. Najwyraźniej nie wiedziały one, że grana jest teraz muzyka, w każdym razie – w środku tłumu pojawił się nowy, bardzo głośny i dziwny dźwięk, niepodobny do żadnego innego, który słyszano wcześniej. Ci, którzy zostali wysłani, aby dowiedzieć się, o co chodzi, poinformowali mistrza ceremonii, że płacze jakieś plebejskie dziecko, które zdawało się bardzo współczuć Człowiekowi Górze. I podczas gdy mistrz ceremonii próbował zrozumieć, o co chodzi, do płaczu jednego dziecka, jak to często bywa między dziećmi, dołączył ten sam dziwny i gorzki płacz wszystkich innych plebejskich dzieci. Bez względu na to, jak bardzo starano się je uciszyć klapsami, płacz stawał się coraz głośniejszy i był oczywistą nieprzyzwoitością wobec wysokich, zimnych i surowych zwłok. Dopiero usunięcie wszystkich dzieci, ich ojców, matek i dalekich krewnych pozwoliło osiągnąć względną ciszę, ale raz naruszonego porządku nie dało się przywrócić. Z beczelną swadą jacyś nieznani nikomu brudni oratorzy weszli na mównicę i, zupełnie zapominając o Człowieku Górze, zaczęli wykrzykiwać jakieś swoje

pragnienia, a nawet żądania. Ktoś kogoś bił – jedni naoczni świadkowie twierdzą, że bili spóźnialskich uczonych, inni, że rozprawiali się z przyjaciółmi Guliwera, jeszcze inni wreszcie dowodzą, że bili samych mówców.

Nie wiadomo, jak zakończyła się uroczystość, gdyż w tym miejscu zarówno w naturze, jak i w ówczesnych kronikach zapada zmrok. Należy jednak przypuszczać, że na znak mistrza ceremonii porządek został przywrócony, ponieważ w żadnym dziele historycznym, odnoszącym się do tamtych czasów, nie ma wzmianki o niczym nadzwyczajnym i niepokojącym. Wręcz przeciwnie, brązowe medale odlane na pamiątkę uroczystości i przedstawiające liliputów wieńczących wieńcem laurowym głowę potulnie uśmiechniętego Człowieka Góry, wyraźnie świadczą o dobrym samopoczuciu i świetnych nastrojach uczestników uroczystości.

Ale nadeszła noc. A wraz z nocą na opustoszałe pole, na którym leżały ogromne, surowe i dostojne zwłoki, czekające na swój grób, zapadła czuła i przerażająca cisza. Nad miastem wciąż jarzył się blask miejskich świateł: wciąż odbywały się tam wiece ku czci Człowieka Góry. Z wiatrem dochodził niewyraźny, jednostajny szum głosów. Ale tutaj było ciemno i cicho, a kiedy mały księżyc wyłonił się zza chmur, ogromne zwłoki zabarwiły się bladym światłem jak łańcuch górskich szczytów śnieżnych. Jednak w wielkim czarnym cieniu, który leżał po jednej stronie zwłok, migotały słabe światła: oto trzy tysiące liliputów pośpiesznie kończyły grób dla giganta. Żelazo łopat skrobało cicho o piasek i ziemię, błękitne iskry błyskały, gdy kilof uderzał o kamień, a ciemna masa małych stworzeń, ledwo oświetlona słabym światłem rzadkich pochodni, roiała się niejasno na dnie czarnej otchłani. Ktoś się spieszył. Z dna dobiegały syczące dźwięki krótkich rozkazów, a między spieszącymi się kopaczami grobów unosił się niewidoczny strach.

A po drugiej stronie zwłok, w oświetlonej księżycem przestrzeni, jakieś zamazane, prawie nieruchome, jak same zwłoki, ale żywe plamy ciemniały niewyraźnie. Byli to kłęczący lilipuci, modlący się w błękitnym milczeniu, jedni z tych, którzy marniejąc z tęsknoty i niesmaku, uciekli tej nocy z hałaśliwego i rozkrzyczanego miasta. Plamy rozmywały się, zwięzały i rozszerzały, ale żaden grubiański dźwięk nie zakłócał ciszy wielkiej nocy, ostatniej nocy, którą Guliwer spędził na ziemi. Księżyc świecił coraz jaśniej, wschodząc, chmury z czystego nieba opuszczały się na horyzont, a nad zmarłym unosił się groźny spokój nierozwiązanej boskiej tajemnicy. Noc mijała. Lecz znaleźli się również w mieście nieśmiali i mili lilipuci, którzy nie wychodzili na ulicę, ani na hałaśliwe place, ani do wypełnionych światłem sal, ale siedzieli w swoich małych zabawnych domkach i z przerażeniem słuchali ciszy, która nastała na świecie. Na zawsze zniknęło ze świata to ogromne ludzkie serce, które panowało wysoko nad krajem i wypełniało dni i ciemne lilipucie noc szumem swojego bicia. Zdarzało się wcześniej, że liliput budził się ze straszego snu w środku nocy, słyszał zwykle mocne, miarowe uderzenia potężnego serca i zasypiał ponownie, uspokojony. Niczym wierny strażnik, jego szlachetne serce strzegło go, a wybijając dźwięczny rytm, zsyłało na ziemię dobrą wolę i pokój, i rozwiewało straszne sny, których jest tak wiele w ciemne lilipucie noce.

I ogromne ludzkie serce opuściło świat. I nastała cisza. A osierocony, bezbronny liliput słuchał jej z przerażeniem i gorzko płakał. ■

16 XI 1910

Leonid Andriejew (1871–1919), jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Srebrnego Wieku, prekursor rosyjskiego ekspresjonizmu. Opowiadanie *Śmierć Guliwera* było reakcją pisarza na śmierć Lwa Tołstoję i pamfletem na tak zwanych „wielbiciele” autora *Wojny i pokoju*.

Hybrydy (4)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Przez dwa i pół dnia miasto rozświetlały wozy policyjne. Stały w tunelach, na skrzyżowaniach, chodnikach, na jezdniowych pasiakach, na mostach, dworcach, w centrach handlowych, i świeciły, jakby kogoś zatrzymały. Całe miasto zostało obstawione, ostatni raz widziałem taką akcję w stanie wojennym. Wieczorem niebiesko pulsowały ulice, mokre fasady domów, kurtki, twarze, nawet drzewa w parku Poniatowskiego. W drodze do pracy przejeżdżałem przed migającymi kogutami policji, prześwietliły mnie chyba ze dwadzieścia razy. Na Kopcińskiego czekałem dwadzieścia minut, aż przejedzie uprzywilejowana kolumna, czarne limuzyny ochraniane przez niebieskich. Było tak bezpiecznie, że chciało się gdzieś ukryć, przeczekać nalot.

Przylecieli do Łodzi przedstawiciele pięćdziesięciu państw, mieli przez dwa dni mówić o bezpieczeństwie i współpracy. Jak zwykle z naciskiem wyrażono sprzeciw, wolę i potrzebę zmian, omawiano sprawy ciężkie, inwazję Rosji na Ukrainę, handel ludźmi, i niemoc samej organizacji OBWE. Nie zaproszono Rosji, ponieważ paraliżowała przez ostatni rok działanie organizacji, a wyrzucić Rosji nie można było. Szczególnie mocne przemówienie dał prezydent Polski, że nie można się zgodzić na rosyjski świat, że my tutaj o tym świecie najlepiej wiemy, że koniec z tym. Obradowano m.in. w budynku dworca autobusowego, niewielkiej części nowego Dworca Fabrycznego, zbudowanego dla dwudziestomilionowej Łodzi. Liczyłem w myślach, ilu przedstawiciele mógłby pomieścić cały dworzec. Zmieściłyby się wszystkie państwa świata, i jeszcze zostałoby miejsce dla przedstawicieli jakiejś innej, większej i jeszcze bardziej podzielonej planety. Dworcem chciano się pochwalić i Łodzią, tak mówił minister spraw zagranicznych, o mieście swoim rodzinnym. Nikt nie wspominał, że Łódź przeżyła zabór rosyjski, i że wielu kamienic nie odnowiono od tego czasu, można zobaczyć.

Wielu jest uprzywilejowanych, pomyślałem dnia drugiego, tyle wyjechało na ulice aut z kogutami. Trudno było odróżnić, kto na konferencję, kto ochrania, a kto korzysta z chaosu. Podczepiałem się pod coraz to innego błyszczaka, pędziłem przez miasto jak

w nocy i nie przeklinałem wtedy dętej gadaniny o bezpieczeństwie. Śpiewałem sobie „Obławę” Wysokiego w nowej wersji, „obława, na stare wilki obława”, zapomniawszy, że to rosyjski kawałek.



Nasz zakład mieści się w fabryce, fabryka mieści się w akwariu, akwarium stoi na betonowej kostce. Humanści z innych miast nam zazdroszczą, żadna fabryka filologiczna nie znalazła się w takim nowoczesnym gmachu, przejrzystym aż do blachodachówek. Z parteru poprzez szklane sufitopodłogi można zobaczyć podeszwy maszerujące po czwartym piętrze, chociaż większość omija te i niżej położone przepaście. W słoneczny dzień zdarza się cud – widzisz dziurkę od nosa odległą o cztery piętra, na przykład dziurkę poety, bo w fabryce mamy poetów, najwięcej na najwyższym poziomie gmachu. Okna na całą ścianę dają niektórym widok na okna na całą ścianę, bliźniacze pokoje patrzą na siebie z odległości pięciu metrów ślepego dziedzica. Inne pokoje wychodzą na ścianę z kafli, bo akwarium ma skosy. W szklane ściany cały rok uderzają ptaki, wiosną najwięcej.

Fabryka usypia po 20, tylko portierka czuwa, przez dobę, potem trzy dni ma wolne. „Jeszcze cztery godziny i przyjdą duchy” – zagaduję, wpisując się do zeszytu kluczy. „Dwa razy już były”. „Były?” „Nie wiem, czy więcej niż je-

den. O dwunastej zaczęły wirować zegary. Zawołałam koleżankę z ostatniego piętra i patrzyłyśmy. Wskazówki zatrzymały się na drugiej. Sprawdziłam w telefonie, była druga.” W takich chwilach mówi się „zdumiewające” i ucieka, ale nic nie powiedziałem. „Przy budowie spadł z rusztowania młody elektryk.” „Niech dziś w nocy do pani nie przychodzi. Dobranoc” – i ruszam do wyjścia. Następnego dnia zagaduję portiera. O duchu nic nie wie, ale raz się przestraszył. Słyszał niby wystrzały niby tłuczenie w metalowe kotły. „Myslałem, że przyszła do nas wojna.” Trzy minuty huk, potem minuta przerwy i znowu trzy minuty kano-nady. „Aż szczękały metalowe schody.” Powiedział „wibrowały”, ja zmieniłem na „szczękały”. Nie pytam o przyczynę, chciałbym, żeby nie wyjaśniał, ale musi powiedzieć. Automat do napojów wyrzucił najpierw puszkę coli, a po przewie energetyki. „Młody elektryk”, mówię do siebie ze współczuciem.

Fabryka to nazwa od wewnątrz, od zewnątrz to ptakomord. Ile naklejek z drapieżnikami powinno się nakleić, pięćset, tysiąc, żeby uchronić dzwonce, grubodzioby, kulczyki i inne małeństwa. A może z każdej strony wystarczyłby jeden wielki, od parteru po dach, drapieżnik? Kondor olbrzymi albo sępik czarny chyba załatwiłyby sprawę. Duchu raczej nie wystraszyłyby taki strach na wróble, skoro nie boi się powszechnej przejrzystości. ■



Podpalacze

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Najlepszym psychologiem wśród powieściopisarzy pozostaje dla mnie – William Faulkner. Weźmy fragment z jednej z jego powieści. Oto pewien właściciel ziemski wynajmuje dzierżawców. To człowiek zły, bezwzględny w dążeniu do zysku. Proponuje dzierżawę ziemi wielodzietnej rodzinie. W negocjacjach jest bardziej niż niegrzeczny, ba, grubiański. Wie, że to on rozdaje karty, to wreszcie od niego zależy byt tych ludzi. Chce ich maksymalnie wykorzystać – to oczywiste. Ale jednocześnie to jeszcze nie wszystko – ów właściciel zamierza dzierżawców bezczelnie oszukać. Planuje, że kiedy tylko wykonają już oni dla niego zlecone im prace, oskarży ojca rodziny o to, że ów jest od dawna poszukiwanym w okolicy podpalaczem. Przewiduje, że przestraszona sfiogowanym oskarżeniem rodzina ucieknie, a on zaoszczędzi, bo im po prostu nie zapłaci. Dzierżawcy zresztą sprwiają na właścicieli wrażenie zahukanych, a więc łatwych, by zastosować wobec nich planowane pomieszenie oszczerstwa z oszustwem. Ale tu kłania się geniusz Faulknera. Umiał opisać pewien szczególny rodzaj iluminacji jak chyba nikt inny. Oto pożegnawszy dzierżawców wraca ów właściciel do domu, i wtedy zaczyna spływać na niego olśnienie, że to co obmyślił jako oszczerstwo – jest prawdą. Tak, z nieuchwytnych przesłanek, które krystalizują mu się nagle w jasny obraz, wyciąga nieodparty wniosek, że dzierżawca, głowa rodziny – i nagle on, właściciel wie to już z całą pewnością – jest tym właśnie poszukiwanym przez wszystkich podpalaczem. I cóż? Idzie go zademonstrować? A gdzie tam. Zawraca. Przeprasza obrażaną przez siebie rodzinę rolnych robotników, staje się wobec niej uprzedzająco grzeczny, proponuje chyba nawet lepsze finansowo warunki dzierżawy. Wszystko to dlatego, że zrozumiał swój błąd. Jego błąd, tak jak go rozumiał, nie polegał zaś oczywiście na tym, że chciał dla własnego zysku oskarżyć uczciwych ludzi. Nie, ów błąd polegał na tym, że jego oskarżenie, pomyślane jako oszczerstwo okazałoby się prawdziwe. Oto ktoś niewinnie, z premedytacją przez złego człowieka oskarżony, że jest złoczyńcą może naprawdę mu zrobić krzywdę.

I nawet nie przypadkiem, nie w odwecie, ale dlatego, że naprawdę jest tym kimś, komu gębę „podpalacza” starano się przecieżyć tylko przyprawić. Oto ktoś, o kim myślało się, że jest niewinny (i niegroźny), kto miał zostać niesłusznie oskarżony jako podpalacz, naprawdę okazał się zdolnym do wszystkiego podpalaczem. I wtedy – nie jest już o nic oskarżany, przeciwnie, jest zagłaskiwany, ugłaskiwany, warto starać się mu nawet wmówić, że nie jest przecież tym kim jest, że nie jest zły, że nie jest taki zły. Może nas nie spali...

II „Biedermanna i podpalaczy” Maxa Frischa widziałem w teatrze telewizji lata temu. ale spektakl głęboko zapadł mi w pamięć, podobnie jak słowo wstępne wygłoszone przez znanego krytyka teatralnego Jerzego Koeniga. Bohater dramatu Frischa – Biedermann jest w dramacie szwajcarskiego autora modelowym mieszczańcem, dzisiaj nazwałbym go chętnie po prostu – Europejczykiem. Produkuje jakiś olejek do włosów czy coś tam. I wiódłby sobie Biedermann swoje leniwe, mieszczańskie życie w spokoju, gdyby nie to, że w jego mieście zaczynają wybuchać pożary. Spłonęły już całe dzielnice – ale Biedermann jest zamożny, mieszka w swojej willi w dobrej dzielnicy, a pożary trawią kolejne budynki gdzieś tam, może za rzeką, w każdym razie wydaje się, że – w bezpiecznej od siedziby naszego bohatera odległości. Biedermann jest spokojnym, zadowolonym ze swego życia i stanu posiadania wolnomyślicielem. Nawet gdy już prawie wszystko wokół płonie – Biedermann święcie wierzy, że jego willa ma status specjalny, jest przekonany, że nikt jej nie podpali. Ale wreszcie i do willi pana Biedermanna przechodzą podpalacze. Wyglądają trochę jak osobnicy specjalnej troski – to ex-ekelner i były zapaśnik. Biedermann domyśla się, że to właśnie oni są podpalaczami, skądinąd niezapowiedziani goście wcale tego, że są podpalaczami, nie ukrywają – na poddaszu willi zaczynają składać beczki z benzyną. I jak reaguje Biedermann? Otóż po pierwsze wyklucza interwencję policji. Po drugie zaś Biedermann jednocześnie stara się wierzyć, że podpalacze to jednak nie są podpalacze i stara się ich

obłaskawić, uznaje ich w zasadzie za współlokatorów – i myśli Biedermann: może jak pocują się tu, u mnie, jak u siebie, to może podpalą tylko jakieś sąsiednie kamienice? W rzeczywistości podkarmieni i zaopiekowani podpalacze dominują Biedermanna, oswolili go do tego stopnia, że ten pożyczym nawet zapałki. Ta uległość nie jest przy tym bynajmniej przyrodzoną cechą Biedermanna – ma on na swoim koncie, jako szef firmy, chociażby bezlitosne wyrzucenie z posady lojalnego i sprawnego w pracy urzędnika. Ten, kiedy już wyleciał na bruk, popełnił samobójstwo. Nie – nie jest Biedermann bezbronnym niewiniątkiem. To tylko podpalacze – czyli uosobienie banalności zła niemal go hipnotyzują. Aha, jest w dramacie Maxa Frischa jeszcze jedna istotna postać – też doprawdy, podobnie jak Biedermann, żalosna i groteskowa. To doktor filozofii, który chciałby być ideologiem, usprawiedliwiającym podpalenia. Dość szybko ma zresztą okazję przekonać się o tym, jak bardzo jest podpalaczom zbędny.

III No cóż, w dzienniku pewnego XIX-wiecznego angielskiego gentelmana znaleźć można formułę, która dość dobrze opisuje ten rodzaj społecznej atrofii – to po prostu sytuacja, w której „gaśnica zaczyna się palić”.

IV Czy coś łączy te dwa przedstawione przez wybitnych pisarzy „światy przedstawione”? Oczywiście poza tym, że w obu pojawia się motyw podpalenia. Ktoś mógłby pomyśleć, że Faulkner występuje tu, jak już zresztą wspominałem, w roli psychologa. Zaś Max Frisch – prezentuje w zasadzie pewien model społeczeństwa, tłem są jednak podpalenia w innych dzielnicach. Więc może bliżej Frischowi do socjologa? Ale – zreflektujmy się – czy wprowadzanie takich akademickich dystynkcji ma jakiś większy sens? Sens, który rozjaśniałby pewien typ sytuacji, która zdarza się ludziom i całemu społeczeństwu? Wreszcie – czy „przekład” literackiej narracji na język nauk społecznych nie przypominałby przyszpilenia pięknego owada, po to tylko by następnie umieścić go w gablocie entomologa.

Co robi piłkarz?

RYSZARD JASNORZEWSKI

W zależności od specjalizacji, zajmuje się bronieniem strzałów, podawaniem piłki, wbijaniem jej do bramki przeciwnika, a także wykonuje szereg czynności pośrednich, na przykład kopie rywala bądź kłóci się z arbitrem. Niekiedy futbolista leczy kontuzje, pauzuje z powodu popełnionych wykroczeń, czy ogląda mecz z ławki rezerwowych, ale wszystkie te bierności są nadal fragmentem obowiązków zawodowych. Warto ponadto odnotować wiele godzin spędzanych w podróżach służbowych oraz niczym nielimitowane zajęcia na zgrupowaniach, treningach i odprawach. Piłkarz nie może także zrezygnować z sesji reklamowych na użytek własny lub reprezentowanego aktualnie klubu, wywiadów udzielanych branżowym dziennikarzom, rozdawania autografów kibicom, negocjacji z agentami, skarbnikami i prezesami.

Mile widziane są również wizyty w szpitalach, domach starców i szkołach. W marcu 2015 roku Karim Benzema, wywodzący się z Lyonu gwiazdor Realu Madryt, odwiedził swą dawną szkołę podstawową w dzielnicy Bron Terraillon. Było niezwykle sympatycznie, a pani mer podsumowała: „Karim to nie tylko przykład, lecz także uosobienie sportowych wartości: solidarności, cierpliwości, poszanowania zasad.” Wkrótce domniemane uosobienie wartości zostało oskarżone o „współudział w próbie szantażu i działalność przestępczą.” Poszło o nagrane telefonem obrazki o tematyce seksualnej, w których wystąpił Mathieu Valbuena, gracz klasy reprezentacyjnej. Do nagrań dotarli miłośnicy szantażu, a Benzema miał wspierać ich zabiegi i wywierać (mniej lub bardziej delikatną) presję na Valbuena. Ostatecznie (po sześciu latach) Karim Benzema został skazany na rok więzienia w zawieszaniu i 75 tysięcy euro grzywny.

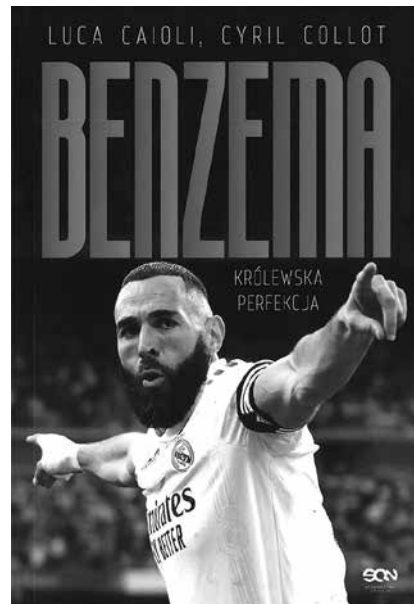
Biografia *Benzema. Królewska perfekcja* spółki Luca Caioli i Cyril Collot opisuje wyczerpująco aferę z sekstaśmą, ale przede wszystkim jest kroniką wydarzeń piłkarskich, wartką opowieścią o wyczynach na boisku. Karim zdobywał tytuły mistrzowskie we Francji i Hiszpanii, pięć razy triumfował w Lidze Mistrzów, strzelił setki bramek w starciach ligowych i pucharowych, oraz (czego w książce już nie zdążono odnotować) został laureatem Złotej Piłki w plebiscycie „France Football”. Zabrakło spełnień reprezentacyjnych. Za kłopoty z prawem zapłacił Benzema kilkuletnim „wygnaniem” z drużyny narodowej. Powrót do niej – w 2021 roku – przyniósł tylko częściowe spełnienie, bo wygraną jedynie w Lidze Narodów.

Karim Benzema przez blisko dziesięć lat był graczem Realu Madryt. Nie zawsze grało

mu się z góry, ale bardzo szybko stał się najważniejszym partnerem Cristiano Ronaldo, a po jego odejściu samodzielny i błyskotliwym liderem ofensywy drużyny. Jak z emfazą zawyrokował hiszpański „AS”, można było w nim dostrzec „czystej krwi artystę”, który nie musiał konkurować z „zimnymi statystykami Lewandowskiego.” Najpełniej talent pastnika wykorzystał Zinedine Zidane, podobnie jak Benzema kabylski mużulmanin o algierskich korzeniach. „Gdy trenuje cię ktoś taki jak Zidane – stwierdził Karim – od razu chce ci się ciężiej pracować.”

Wiemy zatem, że piłkarz głównie pracuje, im ciężiej, tym lepiej dla niego. Mimo to pozostaje jeszcze dużo czasu wolnego. Można go wykorzystać, korzystając z uroków życia i zasobności bankowego konta. Wymaga to określonego stylu i strategii zarządzania sobą. Egzystencję najwybitniejszych (czy najbardziej popularnych) piłkarzy obserwują nie tylko bywalcy aren sportowych, ale również miliony użytkowników mediów społecznościowych, złąknionych gorących wiadomości, zdjęć i filmików. Rynkowa wartość nadawcy wieści o sobie mierzy się liczbą followersów. Im jest ich więcej, tym łatwiej sportowcowi o rozpoznawalność, a więc zyski z jawnych lub nieco ukrytych reklam. Ale niewiele w tym prawdy. W istocie dochodzi do ryzykownej transakcji, której przedmiotem jest podkolorowane, internetowe życie kogoś uznanego za celebrytę. Zdarza się jednak, że bywa zupełnie inaczej, że autentyczność jest za dużo. Dzieje się tak, gdy celebryta wygłasza opinie polityczne lub o takowe jest podejrzewany.

Jako reprezentant Francji Karim nie śpiewał *Marsylianki*, czym prowokował ataki prawicowych komentatorów. Po aferze z sekstaśmą solidarny z krytykami piłkarza okazał się nawet François Hollande, Prezydent Republiki Francuskiej: „Benzema nie jest żadnym przykładem do naśladowania”, zawyrokował w książce, wywiadzie rzece o tytule *Prezydentowi nie wypada o tym mówić*. Przy okazji odniósł się do społecznego zaplecza, dzięki któremu francuska piłka zyskała wielu graczy międzynarodowego formatu: „Z kiepsko wykształconych dzieciaków zmienili się w bogaczy bez żadnego przygotowania. Nie mają wsparcia psychologicznego i nie potrafią odróżnić dobra od zła.” Tyle że dla dzieci przedmieść jedyną drogą – jedynym dobrem w zasięgu ich możliwości – była i jest piłka nożna. Nielicznym pozostaje jeszcze zbuntowana muzyka, czasem w bezpośrednim związku z bohaterami boisk. Rapowa grupa 2Bal2Neg wychwalała Benzemę u progu wielkiej kariery: „Každy ruch jego stopy / Jest jak narkotyk”.



Podtytuł wydanej w 2022 roku książki duetu Caioli i Collot – *Królewska perfekcja* – jednoznacznie nawiązuje do Realu Madryt, drużyny królewskiej z racji nazwy i osiągnięć. Już po ukazaniu się biografii, Benzema zdecydował się na emeryturę w Arabii Saudyjskiej, przywdziewając koszulkę klubu Al-Ittihad. Został jedną z gwiazd saudyjskiej ligi, strzelał gole lub asystował innym piłkarzom, ale o wiele więcej zainteresowania wzbudziła jego aktywność pozasportowa. W najbardziej gorącym momencie wojny Izraela z Hamasem napisał w serwisie X (dawny Twitter): „Wszystkie nasze modlitwy kierujemy w stronę mieszkańców Gazy, którzy kolejny raz są ofiarami niesprawiedliwych zamachów bombowych, które nie oszczędzają kobiet i dzieci”. Zabrakło głębszej refleksji, chociażby tej, że Hamas również nie szczędził ani kobiet, ani dzieci. We Francji zareagowano zarzutami o domniemanych o związkach Benzemy z Bractwem Muzułmańskim. Jeszcze dalej posunęła się senatorka Valerie Boyer, która zaapelowała, by odebrać piłkarzowi obywatelstwa i pozbawić go „Złotej Piłki”. Do tego ostatecznie zapewne nie dojdzie. Nie tylko statuetki, lecz i poglądy mają charakter dożywotni. Nawet jeżeli zmienne. ■

Luca Caioli, Cyril Collot: *Janne Ahonen. Benzema. Królewska perfekcja*. Tłumaczenie: Bartłomiej Łopatka, Barbara Bardadyn. Wydawnictwo SQN, Kraków 2023, s. 278.

Walka Ślązaków o uznanie

TOMASZ SŁUPIK

Hegłowska kategoria walki o uznanie, dla analizy życia społecznego jest bardzo użyteczna. W pewnym sensie walka o uznanie jest ciągłym dążeniem zarówno wspólnoty, jak i jednostki. W Polsce szczególnie po 1989 roku niezwykle ciekawym fenomenem emancypacyjnym są starania Ślązaków o uznanie ich jako mniejszości etnicznej, a języka śląskiego za język regionalny. Przy czym kategoria języka regionalnego wpisana w Ustawę o ochronie mniejszości narodowych i etnicznych ma wymiar wyłącznie prawny i jest zależna od woli politycznej większości parlamentarnej. Polityczne zmagania Ślązaków o uznanie trwają już 27 lat. W 1996 Sąd Rejonowy w Katowicach zarejestrował Związek Ludności Narodowości Śląskiej badając formalne reguły działania stowarzyszenia nie dopatrywał się żadnej niezgodności z prawem polskim. Jednak w wyniku późniejszej batalii sądowej stowarzyszenie to zostało zdelegalizowane. Spór prawny z państwem polskim dotarł na poziom Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który po wnikliwej analizie odesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia przez sądy w Polsce.

Wspomniana Ustawa o ochronie mniejszości narodowych i etnicznych stała się obowiązującym prawem w 2004 roku. Niedługo starania Ślązaków o uznanie w kontekście wspomnianego aktu prawnego będą ciągnąć się 20 lat. W tym czasie argumentacja sądów i ekspertów często była kuriozalna. Polska jurisprudencja zamiast zająć się formalno-prawnymi aspektami sprawy, wypluwała z siebie, co rusz przydługawe analizy socjohistoryczne, z których wynikało, że Ślązacy nie są narodem, a nawet mniejszością etniczną, a język śląski, to pogardliwie określana przez nich żółta żółta gwara języka polskiego. Politycy wszystkich opcji od AWS, PSL-u, SLD, przez PiS do PO podchodzili do sprawy, jak do jeża. Albo jej nie zauważali, albo pletli androny

o zakamuflowanej opcji niemieckiej. Jaka jest przyczyna takiego stanu rzeczy? Odpowiedź jest banalnie prosta. Wynika to z pomieszania arogancji z ignorancją. Arogancja jest pochodną centralnego modelu zarządzania państwem, gdzie właściwie poza rogatkami Warszawy jest dziki niezrozumiały interior, z mówiącymi po śląsku tubylcami, których język jest jakimś rodzajem rozwodnionej polszczyzny. Ci tubylcy zaś mają czelność domagać się ochrony własnego języka, kultury i tożsamości. Ignorancja związana jest z kolei z krytyczną nacjonalistyczną czasami wręcz nacjonalistyczną opowieścią o jednolitej narodowo, religijnie i językowo Polsce. Tego typu narracja bierze początek od endecji, uległa pewnej transformacji w okresie PRL-u (choć od czasów Gomułki dyskurs nacjonalistyczny, aż do upadku komunizmu w 1989 roku w ramach propagandy, jak również praktyki społecznej miał się znakomicie). Po 1989 wystarczyło przejść endecką figurę Polaka-katolika, trochę ją przykroić do nowych

czasów, żeby do ciała politycznego pasowała, jak ulał.

I tak przez ostatnie dwie dekady Ślązacy wrzeszczeli chcemy być uznani, a Polacy wrzeszczeli jeszcze głośniejsze, jesteście większością i nic nas nie obchodzi niewydarzona i zmyślająca na swój temat śląska mniejszość. Jednak wraz z kampanią parlamentarną 2023 roku stał się cud. Politycy strony opozycyjnej walcząc o dusze i głosy Ślązaków licytowali się na obietnice. Donald Tusk obiecał język regionalny, Szymon Hołownia poszedł krok dalej i stwierdził, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Ślązacy byli uznani za mniejszość etniczną. Ja niczym ten głupi Jasio, przecierałem oczy ze zdumienia. Skąd ten kopernikański przewrót w sprawie śląskiej. Oczywiście z powodu wyborów. Ślązacy nie są naiwni. Wielokrotnie w swojej historii byli oszukiwani przez rządzących ich małą ojczyznę. Tym razem Panowie politycy nie ma żartów. Trzymamy was za słowo, najmocniej jak umiemy!



pod

pod jakłami kieckami
w kapsach pod szakiety
polom się ludziom serca jak lont

jedna iskra starczy
i wybucho
powstanie rewolucjo abo strajk

a potym żarzy się żarzy ta kula
i gore gore do końca
aż zostaje popiół i proch
szare jak te ludzie
stond

badyhaus

łańcuch uniósł się szumnie
i nagle zawisło na hoku całe życie

w kapsie jeszcze ciepłe
pięć złotych na mleko
bilety tramwajowe na powrót

cisnom się pod sufitem
te galoty, kaboty i lachy
czekają
aż ciało wróci kajś z dołu

spotkają się w pół drogi
zapięte na ostatnie
oczko łańcucha

Fater noster

...*Święta Barbaro, módl się za nami...*
knefle przy koszuli jak paciorki różańca
odmierzają czas
do końca szychty

...*chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...*
dwie sznity z tustym
i flaszka herbaty
tu powietrze ma inny smak

...*zdrowaś Mario, łaskiś pełna...*
daj spojrzeć jeszcze w oczy słońcu
tyj moij

...*bądź wola Twoja jako w niebie...*
tak i na dole

Homo Silesius

ziemia którą noszę w sobie
ciągle drży
pod stopami toczą się manszafty
tłoczą węgiel prosto w serca

tutaj szybciej zapada zmrok
jaskółkom ciemniej skrzydła

rzucam na wiatr garść popiołu
w szczelinach swetra zbiera się sadza

podobno w czarnym mi do twarzy

Synaj

pod śniegiem
wydeptane ślady
w strona *hołdy*

na górę Synaj
z widokiem
na dolny pokład Nieba

jestem twarda jak skała
czarna bryła którą noszę w sercu
tli się i rozpala

słabe światło lampki
jedyne jakie pali się we mnie
w przedsiönku korytarza

w moich korzeniach płyną soki
historie wszystkich ludzi stąd

ja sama
odciśnięty liść paproci
z węgla powstałam
i w popiół się zmienię

stąd

Mamie i Babci

kobiety stąd mają dusze
ciemne i proste jak podziemne korytarze
odliczają do dwóch
trzaśnięcia drzwiami
rzucając w progu *yno mi wróćsam!*

palce kobiet stąd pachną lubczykiem
z rodzinnych historii układają bajki
te wojenne zawsze kończąc ...żyli długo i szczęśliwie

wszystkie ich drogi prowadzą stąd
po horyzont
aż po ostatni lot jaskółki

koła

kiedy zacnie się ściemniać
a moja ręka jak skrzydło zasłoni cię
będzie chronić przed ciemną wodą, mętną wodą
Fisz Emade Tworzywo

najpewniej jest pod skrzydłami
w szeleście piór
gdy kołują po niebie
szaro-białe chmury

szumią koła szybów
miarowo góra dół góra dół
jak wschody i zachody słońca
nad Waleską

tukej na wyrchu
też toczą się sprawy
wszystko kręci się po swojemu
ktoś komuś umarł
na osiedlu podpalili hasiok
(*te gizdy z Kościuszki!*)
synkowi ząb wypadł

najlepiej jest pod skrzydłami
pod biało-szarymi chmurami
co kołują kołują
jak wschody i zachody słońca

haiku

stado ciompli –
przerykujom sie głośno
bajtke we krzokach

kusik, kusik, a fe!
piyrsze zolyty
kole hasioka

po szychcie –
zmęczony górnik idzie
w stronę światła

karczma piwno –
głośno szczyrkajom
górnice medale



Walencja, Glasgow czy Liverpool

RADOSŁAW KOBIERSKI

W drugim a zarazem ostatnim dniu kongresu „Metropolia Kultury” oprócz warsztatów, grup dyskusyjnych i warsztatów odbyły się dwie debaty poświęcone przyszłości miast pod kątem stworzonych przez nie projektów oraz platformie integracji i rozwoju różnych grup wiekowych w ramach ESK. W południe w Zespole Szkół Muzycznych w Sosnowcu spotkaliśmy się z reprezentantami miast startujących w konkursie na debacie „ESK i co dalej?”, którą poprowadził rzecznik Instytutu im W. Korfańskiego, Krzysztof Kraus. W znakomitej większości miasta (m.in. Bielsko-Biała, Kołobrzeg, Opole, Rzeszów, Płock) po raz pierwszy tworzyły swoje Bid Booki, Katowice (tym razem w ramach Metropolii GZM) i Lublin drugi raz walczą o Europejską Stolicę Kultury. Debata dotyczyła spraw mniejszej wagi, na przykład doświadczeń ścierania się środowisk artystycznych, menedżerskich, projektowych z systemem instytucjonalnym i samorządowym i efektów tej współpracy i konkurencji w postaci gotowych wniosków akcesyjnych – i kwestii zasadniczych: wyboru strategii rozwojowych pod kątem ESK i po ESK, niebezpieczeństw z tym związanych (casus Walencji, w której nieprzebrane pomysły nie wytrzymały próby z realiami i potrzebami miasta, mówi się wręcz, że dobiły miasto), instytucjonalizacji kapitału kulturowego i energii społecznej. Wnioski, jakie mógłbym wyciągnąć z tej dyskusji, są dwa: Po pierwsze reprezentanci miast zgadzają się, że tym, co zamierzają osiągnąć niezależnie od tego, czy zdobędą tytuł czy nie, jest trwałość zmian, zsięciowanie wszystkich podmiotów na rzecz kultury i wolności kultury, utrzymanie społecznego zaangażowania i współpracy, ocalenie europejskich wartości, tj. solidarności i demokracji. Zależy im na poszerzeniu pola partycypacji, zaangażowaniu ośrodków lokalnych, synergii między urzędami, NGOS-ami, różnymi grupami nieformalnymi i lokalnymi instytucjami, wyszukiwaniu tych obszarów, które potrzebują wsparcia i możliwości wypowiedzi. Zgadniają się również co do tego, że chcą uniknąć festynizacji czy festiwalizacji kultury. Po drugie: miasta starające się o ESK mają swoje określone, indywidualne specyfiki oraz doświadczenia i co oczywiste: akcentują je swoich propozycjach. Inna jest pozycja Katowic po ESK 2016 – po inwestycjach w infrastrukturę teraz wnioskującym zależy na inwestycjach w ludzi, o uczestnictwo i partycy-

pację. Rzeszów w perspektywie znacznego poszerzenia granic administracyjnych musi postawić również na obiekty, Lublin na powrót staje się miastem wielu kultur i tę przestrzeń potrzebuje zagospodarować właśnie pod tym kątem. Kołobrzeg posiada charakter uzdrowiskowy i turystyczny; raczej nie wybierze strategii Liverpoolu czy Glasgow opartych na przekształceniu dziedzictwa przemysłowego w kulturowe. Pszczyna – jako najmniejsze z aplikujących miast aplikację organizuje wokół lokalności i mikrohistorii oraz zamierza wykorzystać zjawisko migracji z dużych miast do miast mniejszych. Bielsko-Biała tworzy własną konstytucję dla rozwoju, podobnie jak Katowice, odchodząc od tworzenia pomników rozwoju, celując w działania systemowe skupione wokół ekologii, niskoemisyjności, w dobrostan mieszkańców, w ideę prawa do różnorodności. „ESK i co dalej” w zasadzie odpowiedziało wprost: aplikacje niezależnie od ich powodzenia i finału, mają na celu przeobrażenie miast, dostosowanie nowych projektów dla mieszkańców, ich energii i kreatywności, stworzenie elastycznych procedur i narzędzi do zarządzania kulturą – zwłaszcza w kontekście zmian demograficznych, klimatycznych i geopolitycznych.

Druga debata kongresowa „Kultura – platforma integracji i rozwoju młodych i starszych, w której udział wzięli Katarzyna Michalska, Tobiasz, Sebastian Berg, Michał Rydzewski i Ewa Kokot odbyła się w Teatrze Zagłębia i w zamierzeniu prowadzącego – Macieja Zygmunta – miała wykreślić podstawowe właściwości działań w obszarze kultury – praktyczne, wzmacniające kompetencje w wyznaczonych obszarach, również polityczne (publiczne) i osobiste – prowokujące do wewnątrz-

nego dialogu. Prelegenci występowali w imieniu instytucji, które reprezentują – NCK, Dom Oświatowy, Pałac w Michowicach i projektów animacyjnych, edukacyjnych, kulturotwórczych, których są autorami, żeby wyjaśnić ich rolę, wpływy ale również ograniczenia (instytucjonalne, społeczne) i przede wszystkim zakreślić obszary niewystarczająco zagospodarowane i zaopiekowane, wady i sukcesy programów edukacyjnych. Najważniejsze ustalenia z różnych obszarów działań dotyczyły roli sztuki – jako dziedziny generującej potrzeby na elementarnym i wysokim poziomie (sztuka współczesna buduje trendy), ograniczenia instytucjonalności kosztem rozwijania bodźców rozwojowych w celu ustanowienia dialogicznego systemu kultury i uruchomienia oddolnej działalności odbiorców – tworzenia sieci współpracujących ze sobą animatorów, edukatorów, dzieci i rodziców (instytucje i samorzady). Zmiany programów szkolnych w kierunku rozwijania wyobraźni wizualnej we współpracy z nauczycielami (por. język obrazu jest dziś językiem najbardziej dynamicznie rozwijającym się językiem świata – sztuki plastyczne). Wyjścia z idei segregacyjnych w projektach edukacyjnych ku ścisłej integracji również międzypokoleniowej, ale także między grupami osób o różnym stopniu wykluczenia oraz przeniesienie ciężaru celu i praktyczności na doświadczenie empatii (teatr i praktyka tańca). Dwugodzinna debata skupiła się na określeniu kompetencji, podstawowych i nieoczywistych narzędzi budowania relacji, analizie projektów i zaniezań, w mniejszym stopniu odnosiła się do konkretnego i programowego celu dyskusji, jakim było określenie platformy porozumienia i integracji między młodszymi starszymi. ■



19–20 października 2023 → Sosnowiec

Metropolia Kultury kongres

spotkania • prelekcje • warsztaty

KTW, GZM, 2029

Główny Instytut Kultury

Sosnowiec Akty

KATOWICE

Artystyczna przestrzeń dla uchodźców

KATARZYNA MAJSTEREK

Jak budować wspólnotę w kulturze pracując z uchodźcami? Jakich narzędzi użyć, by skutecznie wspierać i angażować we wspólne działania? Na ten temat dyskutowano podczas jednej z debat, jaka odbyła się w ramach Kongresu Metropolia Kultury w Sosnowcu.

Napływ emigrantów z Ukrainy wywołał wielką potrzebę pomagania – także w instytucjach kultury. To tutaj wspierano twórców organizując wystawy sztuki ukraińskiej, koncerty i warsztaty. Tutaj starano się stworzyć im bezpieczną przestrzeń i możliwość zarobku poprzez własną działalność artystyczną.

W instytucji Katowice Miasto Ogrodów zaferowano ukraińskim artystom dostęp do mieszkań i miejsca, gdzie mogą organizować próby oraz do rozbudowanej sieci kontaktów i profesjonalnego wsparcia.

Dano także twórcom miejsce do rozwijania talentu, a jednym z wielu efektów inicjatywy „Ukraina w Mieście Ogrodów” jest mural lwowskiej artystki Bogdany Davydiuk „Bezpieczne miejsce”, który możemy podziwiać w Załężu.

W pomoc zaangażowały się wszystkie instytucje kultury na Śląsku i w Zagłębiu, w tym teatry – tworząc programy rezydencji artystycznej dla aktorów z zachodniej granicy.

Ten czas doskonale pamięta Nina Batowska, ukraińska aktorka pracująca dziś w Teatrze Zagłębia i w Teatrze Śląskim.

– Po tym, jak spędziliśmy z synem 2 tygodnie w piwnicy bez jedzenia i pod ostrzałem raketowym, postanowiłam tymczasowo zbudować życie w innym kraju. Przyjechalśmy do Przemysła, skąd zabrano nas do rodziny wolontariuszy w Suchedniowie. Zaraz po przyjeździe nie miałam żadnych myśli w głowie, żadnych pomysłów na siebie, żyłam od rana do wieczora. Nie wyobrażałam sobie siebie w żaden sposób na scenie, wiedząc że moi przyjaciele z teatru są na froncie. Nie wyobrażałam sobie tego na poziomie cielesnym – wspomina, dodając, że aby się utrzymać, wykonywała swój drugi zawód – masażystki.

Bardzo szybko do Niny zaczęły napływać aktorskie propozycje zawodowe – zarówno od Teatru Śląskiego jak i od koleżanki pracującej w Teatrze Zagłębie.

– Początkowo czułam, że nie mam siły jechać dalej. Podróż z Ukrainy do Polski trwała trzy doby. Po dwóch miesiącach przeprowadziłam się jednak do Sosnowca. Otrzymałam mieszkanie teatralne, a syn dostał się do przedszkola. Nie mówiłam ani słowa po polsku. Pamiętam, że przez telefon zaliłam się tacie, że nie opanuję tego języka, że nie potrafię rozróżnić, kiedy słowo się zaczyna a kiedy kończy, a do tego te wszystkie „sz”, „cz” i „ł”. Uczenie języka stało się jednak w końcu deską ratunku. Pozwoliło odłączyć się od natrętnych informacji z kraju – opowiada Nina, która dziś – po 1,5 roku nauki języka polskiego – włada nim perfekcyjnie.

Z czasem dostała angaż w Teatrze Śląskim, gdzie na początek zagrała w spektaklu „5:00. UA” stworzonym w koprodukcji z Teatrem Miejskim w Gliwicach oraz Teatrem Małym w Tychach, w ramach rezydencji artystycznej pod patronatem Forum Dyrektorów Teatrów Województwa Śląskiego.

W przedstawieniu kilkanaście aktorek z Ukrainy dzieli się z widzami swoimi przeżyciami i doświadczeniami z pierwszych dni inwazji Rosji na Ukrainę, z ich ucieczki z dziećmi do Polski, z pobytu w Polsce.

– Udział w tym spektaklu miał dla nas wszystkich ogromną moc terapeutyczną – wspomina Nina.

Wkrótce zaczęły pojawiać się kolejne role w Teatrze Śląskim. Zagrała w „Łaskawych” wyreżyserowanych przez Maję Kleczewską – jedną z najważniejszych europejskich reżyserek oraz w „Zanurzeniu” w reżyserii Marcina Wierchowskiego. Wystąpiła także w sztuce „Czuję do Ciebie miętę” w Teatrze Zagłębia, która powstała w ramach rezydencji artystycznej Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego.

– W Polsce otrzymałam tak wielką pomoc, że większej nie potrzebowałam. Co najważniejsze – pomagano w sposób partnerski i pełen szacunku. Nie na zasadzie głaskania i litości, usłyszałam – jesteś aktorką zatem pracujemy razem i to było najpiękniejsze – zaznacza. – Pamiętać należy jednak, że każdy ma inne potrzeby. Jedni chcą chwili resetu i wystarcza im bezpieczne, ciepłe łóżko, inni chcą od razu działać – dodaje.

Ten intensywny czas, jaki nastąpił po 24 lutego 2022 roku, podczas debaty wspominała także Joanna Bronisławska, znana także jako Asi Mina – edukatorka muzyczna, pedagogożka, animatorka kultury w instytucji Katowice Miasto Ogrodów. Do swojego „Muzykodromu” zaprosiła wówczas ukraińskie dzieci, które przyjechały do Katowic. Mimo, że jej energia pozwalała na co dzień na realizację całej gamy projektów, to w tamtym czasie zmęczenie i stres ją pokonały.

– Musimy pamiętać że narzędzia wsparcia potrzebne są także pomagającym – wy-czerpałam się emocjonalnie, musiałam zrobić sobie dużą przerwę i sama musiałam poprosić o pomoc – mówi.

Anna Sienkiewicz – animatorka z Miejskiego Ośrodka Kultury w Żorach współpracuje z ukraińskimi uchodźcami już od wielu lat.

– W Żorach przeprowadziliśmy w 2015 roku badania naszej społeczności ukraińskiej. Pokazały one, że osoby z Ukrainy chcą aktywnie uczestniczyć w życiu miasta. Cztery lata później otrzymaliśmy dotację z Narodowego Centrum Kultury, dzięki niej zaangażowaliśmy ukraińskich artystów mieszkających w Żorach w różnorakie działania. Tworzymy kulturę nie dla uchodźców a wraz z nimi – podkreśla.

Znacznie bardziej skomplikowanie wygląda sytuacja z uchodźcami z granicy białoruskiej, o czym doskonale wie Michalina Bednarek, dziennikarka Gazety Wyborczej, która od kilku lat pomaga potrzebującym u Usnarzu.

– Ludzie nadal są w lesie i nadal tam umierają. Osoby pomagające same wymagają pomocy. Dyskurs o naznaczeniu uchodźców z białoruskiej granicy czyni ogromne zło. Przeprowadzone przez stowarzyszenie „Nigdy więcej” badania pokazały, że ostatnia kampania wyborcza była najbardziej nienawistną w dziejach kraju, a najbardziej dostało się w niej właśnie „ludziom w drodze”. Dopóki to się nie zmieni, my niczego nie zbudujemy. Znane są na świecie mechanizmy pomagania, ale my w Polsce jesteśmy jak dzieci we mgle, nie mamy de facto polityki migracyjnej – mówi.

Debatę poprowadziła Anna Dudzińska, dziennikarka Radia 357.

Plac, dzielnica, miasto, region

WERONIKA GÓRSKA

Bez względu na pochodzenie rodziców oraz ich stosunek do „godania”, każde dziecko w naszym regionie zetknęło się z językiem śląskim na placu. Najczęściej na podwórku kopalnianego familoka, lecz również na blokowisku lub osiedlu wилowym. Wszędzie docierały przynajmniej pojedyncze śląskie słowa, od „klopsztangi”, na której robiło się fiłki, poprzez „koło”, na którym „dawało się karność” kolegom czy „bryle”, na które trzeba było uważać, grając „w bala”, aż po wstydlive chichoty i szept koleżanek na temat „pulków”. Bez względu na domowy jadłospis, u któregoś z rówieśników prędzej czy później zostało się poczęstowanym roladą z kluskami i modrą kapustą, szałotem czy tłustoczwartkowym chrustem. Dorastając i zapuszczając się w coraz odleglejsze zakątki dzielnicy, miasta, wreszcie całego regionu, poznawało się jego charakterystyczne punkty – hałdy z roku na rok coraz gęściej porastające brzożami, wielkie hale hut, w których stopniowo milkły złowrogie trzaski, nieruchomiejące szyby kopalń, ale również pałace niemieckich książąt i przemysłowców, teatry, park etnograficzny, planetarium, a także parki i lasy, których wbrew obiegowym opiniom osób spoza naszego województwa, mamy niemało. Śląską tożsamość i pamięć chłonęło się ponieważ mimowolnie, chociaż ulicami Janiny Omańkowskiej, Karola Goduli czy generała Jerzego Ziętka i słuchając – z mniejszym bądź większym zaciekawieniem – wyjaśnień dorosłych, kim byli i co zdziałali. O tym, że część z tych chodników zbudowano z niemieckich i żydowskich nagrobków, nie zawsze zadając sobie trud zatarcia nazwisk, dowiedziałam się dopiero podczas debaty „Narracje i pamięci Śląska i Zagłębia”, odbywającej się w ramach Kongresu Metropolii Kultury. Sama nigdy się na taką płytę chodnikową czy krawężnik nie natknęłam. Może powinnam uważniej patrzeć pod nogi?

Podczas Narodowego Spisu Powszechnego w 2021 roku narodowość śląską – jako pierwszą bądź drugą – zadeklarowało blisko sześćset tysięcy osób, co czyni ze Ślązaków największą mniejszość w Polsce. Geo-

graficznie i historycznie Śląsk to nie tylko okolice Katowic, Gliwic, Bytomia czy Tarnowskich Gór, ale również Opola, Wrocławia, Cieszyna, Ostrawy. Współcześnie jednak silniejsze więzi – gospodarcze oraz personalne – łączą Górnoślązaków z Zagłębiem Dąbrowskim niż ze Śląskiem Dolnym czy Cieszyńskim. Dowodzi tego utworzenie Metropolii z czterdziestu jeden miast tych dwóch regionów oraz wspólne ubieganie się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Symbolicznie Kongres Metropolia Kultury odbył się w Sosnowcu. Co ciekawe, zaproszenia do wzięcia udziału w debacie na temat tożsamości nie mógł przyjąć we wskazanym terminie żaden z rodowitych Zagłębiaków, co z zalem odnotowała publika. Iwona Woźniak, dyrektorka Teatru Zagłębia, zadeklarowała jednak równie silną więź z obydwoima stronami Brynicy. Wśród gości i gości znaleźli się również Aleksandra Matuszczyk (dyrektorka Muzeum Miejskiego w Tychach), Zbigniew Pawlak (szef Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej), Dariusz Walerjański (badacz historii Żydów na Górnym Śląsku) oraz Kamil Iwanicki (autor książki „Familoki. Śląskie mikrokosmosy” oraz organizator spacerów po starych robotniczych osiedlach). Gospodarzem sceny był Adam Kowalski, dyrektor Muzeum Hutnictwa w Chorzowie.

Dzięki mieszkaniu i pracy w różnych miastach regionu oraz zainteresowaniu odmiennymi obszarami historii oraz kultury, każda z osób biorących udział w debacie mogła wnieść do niej nieco inne doświadczenia, wiedzę, spostrzeżenia. Była mowa o zachowaniu dla potomności pamięci o kopalniach srebra, cynku i ołowiu, które zapoczątkowały rozwój przemysłu oraz osadnictwa jeszcze przed powstaniem kopalni węgla kamiennego. O więziach sąsiedzkich, którym łatwo się było rodzic na osiedlach familoków, a trudniej na tysiącach blokowiskach, będących „sypialniami” dla górników i hutników, często pochodzących z innych regionów Polski. O pamięci oraz sentymentalizmie seniorów, umiejących drobiazgowo wskazać, jaki w danym miejscu znajdował się kiedyś budy-

nek, jaki sklep czy zakład rzemieślniczy, kto go prowadził i w jaki sposób. O traktowaniu języka śląskiego jako podejrzanego, a przynajmniej obciachowego w PRL-u oraz o jego współczesnym renesansie poprzez tworzenie i tłumaczenie dzieł literackich, a także oprowadzanie po muzeach przez „godających” przewodników. O śląsko-zagłębiowskich uprzedzeniach i stereotypach oraz ich przełamywaniu dzięki sztuce „Nikaj” Zbigniewa Rokity, powstałej we współpracy Teatru Zagłębia z Teatrem Śląskim. O ocaleniu od zapomnienia wkładu Żydów w przedwojenną gospodarkę i kulturę naszego województwa, dbaniu o resztki kirkutów czy synagog, tworzeniu poświęconych Żydom ośrodków kultury (Dom Pamięci Żydów Górnośląskich w Gliwicach i Brama Cukermana w Będzinie, którymi opiekują się Karolina i Piotr Jakoweńko). Wreszcie o sympatycznych figurkach Beboków, stworzonych przez Grzegorza Chudego i zasiedlających kolejne ulice Katowic.

Debata absolutnie nie wyczerpała zagadnień związanych z historią regionu oraz z pomysłami na zaprojektowanie jego atrakcyjnej teraźniejszości i przyszłości – zarówno przez instytucje kultury, organizacje pozarządowe czy działających indywidualnie artystów, badaczy i pasjonatów. Raczej wskazała, jak wiele jest jeszcze do zbadania, pielęgnowania, rozwinięcia. W przeciwieństwie do złóż metali czy kopalin, bogactwo i różnorodność kulturowa naszej ziemi zdaje się niewyczerpana. Zaczynając zgłębiać jakikolwiek fragment śląskiego lub zagłębiowskiego dziedzictwa, odkrywa się wciąż nowe pokłady – książek, filmów, wystaw i innych inicjatyw, ale również białych plam. Wśród nich znajduje się imponujący dorobek niedocenionych czy zapomnianych postaci, jak również bolesne historie związane z wojnami, ludobójstwem, przesiedleniami. ■

Debata „Narracje i pamięci Śląska i Zagłębia”, Kongres Metropolia Kultury, Teatr Zagłębia, Sosnowiec, 19 października 2023.

Piosenka o końcu moich Katowic

Żegnajcie, Katowice.

Było dobre wszystko,
o nic nie mam żalu.
To, co miało się zdarzyć,
tu się nie zdarzyło.
Czego miało nie być,
tu się właśnie stało.

Na przykład poranki,
słoneczne i chłodne,
tuż przed wykładami:
szło się w dół, Wita Stwosza,
złotym dywanem liści,
w półcieniu platanów.

Hlond, wpatrzony w katedrę,
temu błogosławił.
Mówią, że skamieniał,
kiedy w czas zarazy
bezczeszczono plac
przed świątynią Króla.

Śląsku mój, Górny Śląsku,
ziemio jasnociemna,
dumna i korna,
ziemio moja rodzinna.
Z ciebie mi boleść.
I światło.

Żegnaj, Miasto.
Długo się ciebie uczyłem.
A teraz

hulajnoga śmiga Plebiscytową,
Kabowerdyjczyk wiezie dietę pudełkową.
Pędzi też na Bażantowo
z postmikrobiotyczną wodą butelkową
smukły Sikh ze start-upu Glovo

lecz
na 3 Maja bezdomni rozkładają kartony
a nad Tysiącleciem czarnym stadem kołują
gawrony

i
pęka rym, łamie się twój rytm,
samolot kreśli ósemki pod niebem Muchowca,
na Mariackiej słychać nocami muzykę,
pustoszeją twoje kościoły

lecz
dopóki wieczne w nich lampki płoną,
dopóki trzmiel nawiedza różę,
trwaj.

Innego końca nie będzie

wrzesień-październik 2023 r.



Jan Jakóbczyk

24 sierpnia 1955 – 3 listopada 2023

MARIAN KISIEL

Poznaliśmy się dawno, jakieś czterdzieści lat temu. Świat był wtedy inny, komunizm chylił się ku upadkowi, a w Uniwersytecie Śląskim perspektywy rozwoju były jak przed dziesięciolecciami. W uczelnianym wydawnictwie publikowaliśmy swoje artykuły raz na rok (o ile ktoś miał szczęście), czasem udawało się napisać coś, gdzieś, przy jakiejś okazji. Janek był starszy ode mnie o sześć lat, ale w życiu akademickim zakorzenił się zaledwie chwilę przede mną. Po ukończeniu studiów w roku 1979 pracował jako nauczyciel języka polskiego i dopiero cztery lata później został asystentem w Zakładzie Historii Literatury Poromantycznej. Zakładem kierował prof. Tadeusz Bujnicki, badacz pozytywizmu, jedna z najważniejszych postaci krajowej (i nie tylko) polonistyki, ale Janek był uczniem prof. Jerzego Paszka, badacza modernizmu. U niego też złożył rozprawę doktorską pod tytułem: *Proza młodopolska wobec rewolucji 1905–1907. Strategie i konteksty*. Rok później wydał ją jako książkę pod lekko zmienionym tytułem: *O tym, jak Młoda Polska posiwała. Proza młodopolska wobec rewolucji 1905 roku*.

Broniliśmy doktoraty w tym samym roku 1991 (jeszcze i Stefan Szymutko), co było powodem do instytutowej dumy. Pamiętam, jak prof. Włodzimierz Wójcik mówił do kraśniejącego prof. Ireneusza Opackiego (dyrektora instytutu): „Patrz Renek, ale mamy piękny rozwój”. Tak, rozwój był piękny, ponieważ zbierano plony z kolejnych roczników polonistów. Czasem nie jednej, ale dwóch i więcej dekad trzeba, by uniwersytet nie tylko „wyrastał z dobrego drzewa” (jak głosi tytuł jednej z okolicznościowych monografii), ale rósł samodzielnie, bez żadnej podpórki.

Z Jankiem zadzierzgnęliśmy bliższą znajomość, a potem przyjaźń, z chwilą objęcia przeze mnie dyrekturą Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej. W drugiej kadencji poprosiłem go o objęcie funkcji wicedyrektora ds. dydaktycznych. Jakże to była trafna decyzja! Janek, który swoim poniekąd nieśmiałym, ale uwodzającym wszystkich uśmiechem, emanujący spokojem, jakimś dystansem do świata, a jednocześnie niezwykle pracowity i sumienny, z wielką umiejętnością ogarniał całe nasze polonistyczne

gospodarstwo. Kiedyś zatelefonowałem do niego, czy wszystko jest w porządku z przydziałami zajęć (a instytut liczył 65 uczonych), odpowiedział spokojnie, że „raczej tak”. „To, dlaczego mi o tym nie mówisz”, zapytałem, martwiąc się o to „raczej”. „A co ci będę głowę zawracał”, odpowiedział Janek ze śmiechem. Był czas wakacji, ja przebywałem nad morzem, a on nad dezzyderatami, prośbami, postulatami, czarną robotą wicedyrektora dydaktycznego największego instytutu w Uniwersytecie Śląskim.

Gdyby nie różnica sześciu lat między nami, poznalibyśmy się w tym samym Zespole Szkół Mechaniczno-Elektrycznych. Obaj ukończyliśmy pięcioletnie technikum, z tą różnicą tylko, że szkoła do 1975 roku miała swoją siedzibę w Będzinie, a później w Sosnowcu-Zagórz. Jedną ze swoich książek Janek zadedykował mi jako „wybitnemu absolwentowi wybitnego technikum”, a ja o nim mógłbym powiedzieć to samo. Obaj przeszliśmy przez edukację ścisłą, która miała duży szacunek do humanistyki. Kiedyś zostaliśmy wspólnie zaproszeni na szkolną uroczystość. Te same twarze, ta sama życzliwość. My profesorowie uczelni i oni profesoro- wie oświaty. Żadnego dystansu, jakby świat zatrzymał się na chwilę i trwał (dzisiaj szkoła w dawnym kształcie już nie istnieje, nawet nie ma o niej żadnej wzmianki w historii miasta).

Skąd wzięła się pasja Janka do literatury młodopolskiej? Mógł pisać o sporcie, siatkówce, której był wielbicielem i znawcą (zapraszał nas na salę gimnastyczną i gonił bez litości), ale wybrał ten krótki, niespełna trzydziestoletni w dziejach historii literatury okres, o którym niby tak wiele wiemy, a w istocie wiemy wciąż mało. Dla Janka Młoda Polska jawiła się jako czas, by użyć określenia prof. Jerzego Paszka, „Armagedonu” („Śląsk” 2018, nr 5), ponieważ wszystko się wtedy zmieniało, burzyło, kształtowało inaczej. Zamiast realizmu – ekspresjonizm, impresjonizm, symbolizm; zamiast prostych uczuć – wyuzdanie i perwersja; zamiast sztuki dla wszystkich – sztuka dla sztuki i sztuczność. To zafascynowało młodego uczonego, który również w latach dojrzałych potrafił cieszyć się z lekturowych odkryć.

W studium *O tym, jak Młoda Polska posiwała* (1992) pisał Janek o autorach wciąż czytanych przez krytyków-znawców (Wacław Berent, Stanisław Brzozowski, Władysław Stanisław Reymont, Andrzej Strug) i już przez nich zapomnianych (Gustaw Daniłowski, Grzegorz Glass, Cecylia Glückman, Andrzej Niemojewski). Wydobywał utwory z literackiego archiwum, tam zepchnięte na wieczność, by pokazać emanujące z nich entuzjazm, zaangażowanie, żar stylu i skłębienie idei. Odkrywanie nieznanego w znanym chyba go pasjonowało. Kiedy w ostatniej swojej książce *Późne tropy Młodej Polski (1914–1939)* (2009) zajął się nadto postaciami Artura Górskiego, Karola Irzykowskiego, Bolesława Leśmiana, Tadeusza Micińskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Władysława Orkana, Stanisława Przybyszewskiego, Wacława Sieroszewskiego, Leopolda Staffa, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Gabrieli Zapolskiej, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Stefana Żeromskiego, Jerzego Żuławskiego, to po to, by pokazać rzecz nam niby znaną, lecz wciąż ginącą w stereotypie. To znaczy, że Młoda Polska, tak jak zaczęła się w latach 90. XIX wieku od wielkiego buntu przeciwko scjentyzmowi, ewolucjonizmowi, determinizmowi historycznemu i agnostycyzmowi, przeszła swój ideowy kryzys (osiwała w jedną noc w roku 1905, tak wciąż trwała zagrobie- nie w latach późniejszych, kiedy wydawało się, że jej postulaty i osiągnięcia formalne są już niemożliwe, nie współtworzą nowoczesnego świata z jego rozwojem techniki i rozwojem myśli.

Klamra obu książek – pierwszej i ostatniej – pokazuje, że Janek wierzył w to, co się nazywa procesem historycznoliterackim, a którego istotę dałoby się zamknąć w zdaniu: Wszystko trwa, nic nie znika, a jeżeli zanika, to po to, by za czas jakiś wybuchnąć z siłą nam dotąd nieznaną. Z tego przekonania zrodziły się dwa studia quasi-monograficzne, w istocie rzeczy będące popisami interpretacyjnymi, czy – jak to nazywał Janek – literaturoznawczymi „zblizeniami”. Myślę tu o książkach *Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Zblizenia* (2001) oraz *Szachy literackie? Rzecz o twórczości Irzykowskiego* (2005), w których Janek pochylił się nad dwoma gigantami literatury prze-

łomu wieków XIX i XX. Dlaczego nie są to monografie, choć w zamierzeniu miały nimi być? We wstępie do pierwszej napisał, że „pycha niedoszłego monografisty została skutecznie powstrzymana przez opór rzeczywistości, czyli zwątpienie w możliwości monograficznej, powiedzmy wprost – uzurpacji i trudną do ogarnięcia, bo różnorodną i w niemałych obszarach słabo rozpoznaną twórczość Tetmajera” (s. 7). We wstępie do drugiej, pisząc: „Nie zaprezentowałem całości dorobku Irzykowskiego [...]”, dopowiadał jednak: „Ale może lepiej skupić się na tym, co jest w tej książce, niż na tym, czego w niej nie ma” (s. 14).

Janek miał głęboką świadomość, że dzisiejsze zarysy monograficzne są w istocie rzeczy tylko – powtórzmy – „uzurpacjami”, ponieważ każda próba opisu całości rozsypie / rozsypuje się z chwilą jej podjęcia. O wiele ciekawsze jest zatem zbliżenie do jakiegoś konkretnego tematu, oglądanie go z różnych perspektyw. Ostatecznie humanista nie ma żadnych innych obowiązków poza tym, iżby zgłębiać problem, a nie zgłębić go. Jest to więc obowiązek ustawicznej pracy myśli, która narażona jest na pomyłki, przeszkody, rozdarcia i gorycz. Wiktor Szklowski w swojej ostatniej książce *Energia złudzeń* (1981) pisał, że powinniśmy w splocie różnych kierunków rozpoznać ten właściwy, ale miał świadomość istnienia humanisty w rzeczywistości złudzeń, iluzji, urojeń i błędów (rosyjskie słowo *zabłudzenie* właśnie to znaczy). Janek tę rzeczywistość rozpatrywał w kategoriach doświadczenia nowoczesności. Przekonywał w *Późnych tropach Młodej Polski*: „W czasach narastających kryzysów i doświadczenia nowoczesności, rozumianej jako odczucie dezintegracji wspólnoty podmiotu z otaczającą rzeczywistością, kostnienia języka i pojawiania się komunikacyjnych zaburzeń, niestabilności świata, jawiącego się jako ciąg nieprzerwanych zdarzeń, nad którymi trudno zapanować – oczekiwanie trwałych ośrodków, punktów orientujących, nadzieja na powstanie dzieł, a nie książek – stanowi część doświadczenia nowoczesności i sytu-

uje się wewnątrz tegoż doświadczenia” (s. 11–12).

Wiedziony nadzieją na odkrycie „dzieła”, Janek doprowadził do wydania dwutomowej edycji *Niedrukowanych dramatów Gabrieli Zapolskiej* (2012). Ukazały się one pod jego redakcją przy współpracy z Krystyną Kralkowską-Gątkowską, Krystyną Kłosińską, Magdaleną Piekarą i Jerzym Paszkiem. Edytorskie przedsięwzięcie prof. Paszek uznał za „najważniejsze” i „fundamentalne” osiągnięcie Janka, ale tutaj – nie bez racji – spierałbym się z Profesorem. Albowiem w książkach autorskich Janka „najważniejsze” i „fundamentalne” było spotkanie z twórcą i jego dziełem, wyrwanie nicości tego doświadczenia, które za-



wsze jest jednostkowe i niepodrabialne, niemieszczące się w jakichkolwiek miarach i ramach. I jakkolwiek młodo-polscy tytani (Irzykowski, Przerwa-Tetmajer, Zapolska) zawsze będą zaludniać badawczą wyobraźnię, to przecież dla uwyrażnienia ich geniuszu potrzebni byli inni, których doświadczenie świata współtworzyło intelektualny klimat przelomu wieków.

Napisałem wcześniej o wierze Janka w proces historycznoliteracki. Podobnie jak wielu z nas, ta wiara pozwalała mu patrzeć na literaturę szeroko, nie

przez pryzmat jednego dzieła (nawet arcydzieła), jednego autora, ale przez pryzmat całości, która tak bardzo nie chce być całością. Szerokość spojrzenia, głębokość myśli, precyzja historycznego usytuowania pozwalała jednak Jankowi na konstruowanie modeli czy systemów, z którymi można wyruszać na poznawanie niepoznawalnego w swej istocie świata literatury. Gwarancję bezpiecznej wędrówki dawał właśnie proces historycznoliteracki, który przecież jest (poprzez swą nazwę) i wędrówką, i zanurzeniem w historii, i smakowaniem literatury. To widzimy w książkach Janka, napisanych piękną polszczyzną, obliczoną nie na mędrkaczynawcę, ale szerokiego czytelnika. Bo

jeśli nasze pisanie ma komu służyć, to właśnie jemu, czytelnikowi, który nie chce potykać się po drodze wyłożonej ostrymi kamieniami przeuczonej terminologii.

Każda śmierć zamyka dzieło przez nas tworzone. Dzieło Janka Jakóbczyka także się domknęło. Ale jednocześnie może otworzyć się ono w naszej lekturze, może przypomniemy sobie literaturoznawcze koncepcje, zbliżenia i podpowieździ badacza epoki tak dalekiej, a tak wciąż nam bliskiej. Przed kilkoma laty prof. Jerzy Paszek napisał o swoim uczniu: „prof. Jan Jakóbczyk należy do wąskiego, a zarazem jakże elitarnego, grona najrzetelniejszych znawców i koneserów literatury okresu Młodej Polski. Bez jego prac o Irzykowskim, Tetmajerze i Zapolskiej nie wyobrażam sobie poważnego i miarodajnego podręcznika bądź innego encyklopedycznego vademecum tej pięknej epoki sprzed I wojny światowej, przedłużonej – o czym wiemy z książki *Późne tropy Młodej Polski* – aż po wybuch następnego światowego Armagedonu”. Warto o tych słowach pamiętać,

sięgając po książki Janka.

Przypomnijmy jeszcze, że przez kilka lat prof. Jan Jakóbczyk był dyrektorem Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego. Zanim z powodu choroby przeszedł najpierw na rentę, a później na emeryturę, pozostawił po sobie i tutaj wdzięczną pamięć. Pożegnano go słowami, w których nie ma fałszywej nuty kurtuazji i nieszczeroci: „Zawsze obecny, słuchający, wyczulony na sprawy Zespołu, Wspaniały Człowiek...”

I ja takim Cię zapamiętam, Janku.

Baletowy Cervantes i musicalowy Bułhakow

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Pod koniec października wybrałem się na premierę „Don Kichota” w szczytności Operze na Zamku oraz spektakl „Mistrz i Małgorzata” w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Oba przedstawienia, zupełnie różne od siebie, miały jednak coś wspólnego: przyciągały tytułami znanymi są jako arcydzieła światowej literatury.

Walka hop z wiatrakami

Jadąc do Szczecina miałem nadzieję, że zobaczę opowieść o człowieku, który walczy z „wiatrakami”, ale nie jest w tym śmieszny, lecz wzbudza sympatię i szacunek. Anna Hop, która zajęła się choreografią i reżyserią przedstawienia, jest coraz bardziej znana. W kwietniu 2023 roku zadebiutowała w Royal Opera House w Londynie choreografią „La Gazza Ladra”. Tworzyła też spektakle w Oslo, Antwerpii, Wenecji i Warszawie. Za „Exodus” zrealizowany z Polskim Baletem Narodowym otrzymała Teatralną Nagrodę Muzyczną im. Jana Kiepury jako najlepszy choreograf w Polsce (2021). Spodziewałem się więc niezwykle przedstawienia.

Mimo szumnych zapowiedzi nie udało się jednak stworzyć widowiska poruszającego serca i umysły. Otrzymał mi głównie zabawę z elementami commedii dell'arte i popisami baletowymi w stylu Mariusa Petipy. Przedstawienie przygotowane z ponad 20-osobowym młodym zespołem baletowym Opery na Zamku nie było perfekcyjne, ale imponowała w nim pozytywna energia tancerzy.

Wzruszyły mnie tylko dwie sceny w całym dwugodzinnym spektaklu. Na początku Don Kichot otwiera książkę, rozjaśniającą jego twarz niesamowitym blaskiem. Wyczarował postać Dulcyniei, która zjawia się nagle z długim woalem. Fantom pięknej kobiety przedstawia tęsknotę „błędnego rycerza” za wielką miłością. Jest w tym prekursorem bohaterów romantycznych. Inna scena, która wywarła na mnie wielkie wrażenie – to fragment drugiego aktu, gdy Don Kichot kładzie się do swojego łoża z baldachimem i umiera bez krzyku. Sancho Pansa przykrywa jego ciało woalem i symbolicznie gasi pałace

się światło. Tylko tyle i aż tyle – prawdziwe cierpienie rozgrywa się w ciszy i samotności.

Większość spektaklu wypełniły zbiorowe sceny: na miejskim placu, przy ognisku z Cyganami, w gospodzie (gdzie nawet pojawia się Carmen z Toreadorem, choć to zupełnie inna historia), w tajemniczym ogrodzie z driadami oraz na weselu. Dużo się dzieje, jest raczej wesoło. Nie udało się przezwyciężyć legendy baletu z muzyką Ludwiga Minckusa, opowiadającego głównie o epizodycznych postaciach z powieści „Don Quijote de la Mancha” Cervantesa: Kiri i Basiliu. Jej ojciec zamierza wydać dziewczynę za mąż za ośmieszanego Gamache’a, który jest kimś w rodzaju firyka w zalotach. Przedstawienie powinno być grane jako familijne, ale nie należy mieć nadziei, że zrozumie arcydzieło Cervantesa, przychodząc na ten balet do teatru, bo to nie ta bajka.

Kot Behemot i naga Małgorzata

Choreograf i reżyser Janusz Józefowicz nie chce, aby widz nudził się w teatrze. „Mistrz i Małgorzata” na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni ma formę megawidowiska. Arcydzieło Michaiła Bułhakowa stało się pretekstem do przyciągnięcia widowni na dobrze znany tytuł. Muzykę skomponował Janusz Stokłosa, libretto napisali Jurij Riaszeńcew i Galina Polidi, a Andrzej Poniedziałki stworzył teksty piosenek.

Dobra teatralnie była pierwszomajowa defilada. W tle zawisł potężny portret Józefa Stalina. Jego kult zastąpił komunistom wiarę w Boga. W pochodzie widzieliśmy robotników, kobiety z kołchozu, dzieci, więźniów itp. Wzmocnieniem efektu stały się archiwalne nagrania z uroczystości tego typu z czasów komuny, pokazywane na dwóch ekranach. Spadanie pieniędzy z sufitu sprawiło, że widzowie łapali je i bawili się przy tym jak dzieci. To jeden z trików, podobnie jak oderwanie głowy konferansjerowi przez kota Behemota podczas pokazu czarnej magii. Te wątki z powieści przyciągały uwagę.

Kiepskie przerywniki to osoby śpiewające czastuszki – rosyjskie przyspiewki ludowe o charakterze żartobliwym,

przaśnym, a nawet wulgarnym. Świetne były natomiast sceny z ironicznym Wolandem i jego nieodłączną „czere-dą”: Korowiowem, Azazello, Behemotem oraz Hellą. Ta dziwaczna gromadka jak z „Rodziny Addamsów” intryguje swoim zachowaniem oraz sposobem mówienia i poruszania się. Przeciwwagą dla „piekielnego” towarzystwa są sceny z Jezusą, Piłatem, arcykapłanem Kafaszem nawołującym do skazania Jezusa na śmierć oraz Mateuszem Lewitą. Mamy wspaniałe postaci Mistrza i Małgorzaty, a także Iwana Bezdomego. Mistrz zaprzyjaźnił się z poetą w szpitalu psychiatrycznym. Opowiedział mu o tym, że pisał powieść o Poncjuszu Piłacie, ale spalił ją po publikacji rozdziału skrytykowanego w prasie.

Drugi akt musicalu mógłby nosić tytuł „Małgorzata”. Kobieta jest zdolna do wszelkich poświęceń, aby odnaleźć swojego ukochanego Mistrza. Stosuje się do zalecenia Azazella i smaruje się specjalnym balsamem, który odmładza jej ciało. Wsiada naga na miotłę i leci... Widzimy na ekranie film, na którym Małgorzata przemierza przestworza nad miastem. O północy Małgorzata staje się królową balu z udziałem nieboszczyków. Mimo iż reżyser ociera się o kicz, wyczarowuje baśniowe sceny jak z „Harry’ego Pottera” czy „Wiedźmina”.

Spektakl Józefowicza to głównie rozrywka, zrobiona na wzór komercyjnych amerykańskich musicali. Przyciąga także nagością, nawiązując do tradycji burleski. W Moskwie czasów totalitarnych, opisaną przez Bułhakowa, rządziło zło nie będące działaniem szatana, lecz ludzi. Fantastyczna opowieść przedstawia metamorfozę różnych osób. Nie ma tu tradycyjnego chrześcijańskiego podziału na piekło, ziemię i niebo. Jest pokazanie wadliwego systemu, który zamienia jednych ludzi w bestie, a innych poniża i spycha na dno, na przykład do szpitali psychiatrycznych. Me w Rosji dawniej i dziś popularna metoda pozbywania się osób niewygodnych dla władzy. Szkoda, że te wątki w spektaklu zostały zmarginalizowane w pogoni za efektami teatralnymi i wizualizacjami 3D.



Boglar'ka Novak, Kazutora Komura



Mistrz i Małgorzata, musical.



Jak w zwierciadle

WOJCIECH LIPOWSKI

Tego wieczoru mieliśmy wszyscy uczucie, że za chwilę nastąpi coś wyłamującego się z bezpiecznego, znanego na pamięć porządku rzeczy. Jakaś dojmująca dziwność towarzyszyła kadrom przesuwającym się szybko przed naszymi oczami. Jedno wielkie widziadło zamknięte w obrysie przestrzeni, gdzie przestają obowiązywać prawa dotyczące świata rzeczywistego, fantasmagoria wyjęta z pokrytej kurzem książki. Okazało się jednak, że poczucie czasu nie uległo zaburzeniu, słyszane frazy nie pochodzą z za światów, seans, jakiego jesteśmy świadkami to doświadczenie bardzo bliskie, przejmująco znajome, zapoznane, znajdujące nieoczekiwane niepokojącą artykulację. Jakieś nieodległe podobieństwo zaczęło majaczyć na horyzoncie, gdy wszystko nieokiełznane i bezładne nagle odnalazło sens i formę, jedyną prawdziwą, bo włączył się tryb wskazujący w stronę naszego świata: to wszystko było, jest i będzie powracać w różnych konstelacjach, istnieć naprawdę.

Kolejny raz w przeszłości przywołanej w konkretnym miejscu i czasie przegląda się teraźniejszość. I kto przypuszczalby, że tym razem nasza pamięć i wyobraźnia będzie odbywać ćwiczenia na tektwie dawno przeczytanym, ale nadal niezwykle aktualnym, w którym bez trudu mogą odbijać się nasze własne problemy. Mówimy o wciąż obecnym na scenach teatralnych musicalu *Kabaret*, którego autorem jest Joe Masteroff, Fred Ebb napisał piosenki a John Kander muzykę. Aby zburzyć spokój naszych sumień właśnie ten tytuł przygotowała na otwarcie nowego sezonu w bielskim Teatrze Polskim Małgorzata Warsicka. Jeszcze niedawno narobiła tam sporo zamieszania swymi głośnymi adaptacjami *Mistrza i Małgorzaty* oraz *Kruma*, teraz po raz kolejny nie daje widzom wytchnienia. W wywiadzie przed premierą tak motywowała zamysł sięgnięcia po ten tytuł: „Są teksty, które pomimo swojego wieku pozostają niezwykle aktualne, kiedy przyłoży się je do otaczającej rzeczywistości. W przypadku *Kabaretu* zjawisko to zachodzi na tyle intensywnie, że możesz zobaczyć w nim nie tylko swoje własne odbicie, ale też społeczeństwa, w którym żyjesz. W kontekście tego, o czym *Kabaret* opowiada, naturalnie jest to doświadczenie zatrważające.”

Świadomość, że za plecami ma się już znaczącą adaptację w postaci słynnego filmu Boba Fosse z 1972 roku, czy niemniej ważną powieść autobiograficzną angielskiego pisarza Christophera Isherwooda *Goodbye to Berlin*, która była jedną z inspiracji do powstania tekstu musicalu; sprawia, że możliwości interpretacyjne i ponowne odczytanie wymagają nowego spojrzenia także na kontekst, w którym się rodził. Berlin lat trzydziestych był swoistym tygłem kulturowym, cywilizacyjnym, politycznym. Nowe prądy filozoficzne, zjawiska artystyczne, awangarda wypełniały po brzegi miasto mierzące ku powolnemu upadkowi. Brecht, Weil, Reinhard, Nabokov to postaci, których działalność związana była z tym miejscem. Rozwój urbanistyczny, eksplozja industrialna i nadchodzące inferno rodzącego się faszyzmu. Co ciekawe wspomniany Isherwood przybył do staczającej się w otchłań stolicy kultury europejskiej zaledwie trzy dni po urządzonym przez hitlerowców paleniu książek, które było sygnałem jednoznacznym co wydarzy się w bliskiej przyszłości.

Wróćmy do bielskiej adaptacji. Małgorzata Warsicka w stylizowanej syntezie skupiła się przede wszystkim na rozczytaniu znaczeń, motywów, a nawet mitów kulturowych, które przyniosły już realizację tego utworu. Dołożyła do nich kolejne. Cliff Bradshaw, szukając in-

spiracji do książki, trafia w atmosferę wielkomięjskiego, wielokulturowego europejskiego miasta, które ma także ciemne regiony herezji, gdzie dzieje się znacznie więcej, głębiej niż na oświetlonych tandetnymi neonami głównych ulicach. Autorka spektaklu stopniuje napięcie. Prolog to jeszcze spokojne morze, domyślmy się, że gdzieś pod powierzchnią wszelkich spraw czai się ukryte zło, którego erupcja nastąpi w drugiej części sztuki. Część pierwsza *Kabaretu* Warsickiej to natomiast dionizyjski korowód szumnej zabawy. Jej kolejne stacje dla młodego Amerykanina wyznaczają hotelik Fräulein Schneider i scena kabaretu Kit Kat, gdzie zapoznaje ekscytującą Angielkę Sally Bowles, z którą połączy go żywiołowe uczucie. Komponując przestrzeń gry autorzy zdają się nawiązywać do koncepcji Brechta, gromadząc rzeczywistość drugiego planu sceny ścianami. Klaustrofobiczną przestrzeń małych pokoi wspomnianego hoteliku tworzy niezwykle sugestywną atmosferę, w której podział nabiera siły dramaturgicznej, szczególnie w kreśleniu trudnych relacji międzyludzkich, przykładem jest niemożliwy związek Fräulein Schneider z właścicielem owocarni Żydem Rudolmem Schulzem. Koncepcja oddzielenia służy także pokazaniu granicy między życiem zwykłym, zabawą a narastającym koszmarem, zniszczeniem. Tym bardziej przypomina o tym demoniczny mistrz ceremonii, tutaj w podwójnym wcieleniu, który niczym memento wieszczy koniec uporządkowanego, bezpiecznego świata.

Zamysł zwierciadła, w którym nie tylko odbija się nasza niespokojna rzeczywistość, przynosi ciekawe efekty w odniesieniu do portretów poszczególnych bohaterów. W gęstniejącej atmosferze kolejnych epizodów wkracza upiorny dance macabre. Człowiek przegląda się w człowieku jakby odczytywał ciąg dalszy swojej historii. Ernst Ludwig, przemytnik, szmugler, członek NSDAP, podwójny do Berlina Bradshaw jest chyba tym najbardziej ponurym zwornikiem. W tym lustrze już od początku widać prątki choroby, która zatruje wszystko przynosząc zmiany, jakich wyobraźnia innych nie jest w stanie wyartykułować.

Nie oznacza to wcale, że nastrój bielskiego *Kabaretu* uderza tylko w mroczne, żalobne tony, chociaż zaznaczyć wypada, że otrzymaliśmy bardziej teatralną wersję tego utworu w odczytaniu reżyserki niż rewiową. Pierwsza część spektaklu to prawdziwy musicalowy popis umiejętności artystów teatru. Znane na pamięć songi, świetnie zagrana muzyka na żywo, popisowe partie pozostaną na długo w pamięci. Scena kabaretu Kit Kat mieni się barwami, nastrój, gdy słuchamy jazzowych wokali Cliffa i Sally śpiewających *Why Should I Wake Up* albo *Life is a Cabaret* w nowych polskich tłumaczeniach samych aktorów, czy zaangażowanych songów w rodzaju *Money, money* w wykonaniu mistrzów ceremonii. Trzeba podkreślić pomysłowość układów choreograficznych Anny Godowskiej czy kostiumów Konrada Parola oraz nieoczywistej scenografii Natalii Mleczak. Jacek Obstarczyk, kierownik muzyczny i autor udanych aranżacji, pokazał mistrzostwo warsztatu, wycucia nastrój oraz niezwykłą muzykalność kierując na scenie kwartetem doskonałych muzyków.

Aktorzy tego widowiska zostali stworzeni do budowania podobnych postaci. Nie wiadomo skąd się u nich bierze sprawność funkcjonowania w podwójnych rolach, bowiem to kolejny spektakl Teatru Polskiego, gdzie połączyć trzeba umiejętności dramatyczne z wykonawstwem rewiowym. Interpretacje kobiece stanowią tu plan pierwszy, co zrozumiałe ze względu na charakter tekstu. I tak Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt w roli Sally ujmuje zarówno liryzmem, zmysłowością jak i pierwiastkiem szaleństwa, nieprzewidywalności, witalizmu, pod którym skrywa powszednią zwyczajność, zwykle kobiece marzenia. Jej popisy wokalne podczas tego spektaklu zostaną na długo zapamiętane, szczególnie przejmujące finałowe wykonanie *Life is a Cabaret*. Grzegorz Margas jako Bradshaw to rola odmienna, skupiona bardziej na prostych znakach i przewidywalnych gestach. Brakło w jej postaci większej wyrazistości, by stała się bardziej przekonująca i wiarygodna. Bardzo znaczącą okazała się natomiast Fräulein Schneider w ujęciu świetnej Anny Guzik-Tylki. Dobra stylizacja, nieco wyciszone, spokojne tony, pozwoliły odnaleźć nutę dekadencji, niespełnienia miłosnego w tej pogrążonej w rozpacz kobiecie. Towarzysząc jej Tomasz Lorek stworzył Herr Schulza z dystansem, bez taniego liryzmu czy współczucia o co łatwo w oddaniu późnego uczucia dwojga niemłodych już kochanków skazanych na miłość nieosiągalną. No i Mistrz Ceremonii, czyli nierozłączna, demoniczna, zjawiskowa para: hipnotyzująca, pełna niepokoju Marta Gzowska-Sawicka i nieco przerysowany, świadomie figlarny Adam Myrczek – oboje spinają kłamrą całość, tworząc dominantę całej narracji spektaklu niczym jungowska persona i cień. W zakresie wokalnym i aktorskim po prostu mistrzostwo. Uzupełnia znacząco tę galerię niejednoznaczny, inspirujący głosem, gestem Rafał Sawicki w roli Marynarza i Wiktora. Trzeba podkreślić, że cały zespół *Kabaretu* stanowi kompozycję zgraną, przemyślaną, dobrze funkcjonującą w niemal każdym rejestrze dramatycznym i wokalnemu spektaklu.

Co na końcu zostanie z tańca śmierci ludzkich zwierciadeł? Ostrzeżenie dla współczesnych, przed wiarą w bezpieczne, poukładane życie? Szydercze, błazeńskie oblicze świata pełnego zła i niegodziwości skierowane w stronę łatwowiernych ludzi zanurzonych w iluzorycznym letargu? Dużo tych pytań, ale nie trzeba na nie odpowiadać. Tak już będzie zawsze, rzeczywistość to mozaika, chwytana, pełna zagrożeń prawda, której nie zagłuszy szum turpistycznego kabaretu i głośnych songów. Tego wieczoru otrzymaliśmy migawkę świata, gdzie ludzie pograżyli się w nieładzie, braku harmonii, bałaganie, stali się bierni. I to ostatnie może wybrzmieć jako przestroga dla wszystkich, bowiem stanowi fragment naszego osobistego losu, a więc czasu, za który ponosimy pełną odpowiedzialność. ■

J. Kander, F. Ebb, J. Masteroff, *Kabaret*, reż. Małgorzata Warsicka, Teatr Polski w Bielsku-Białej. Premiera 7. 10. 2023

Pięćdziesiąt lat temu (w roku 1973) otrzymałem dyplom ukończenia wyższej uczelni. Oprawiony w wiśniową skórę dokumentował, że jestem absolwentem Politechniki Śląskiej im. Wincentego Pstrowskiego w Gliwicach.

Utworzona w Katowicach Politechnika Śląska, w marcu 1946 została przeniesiona do Gliwic. W tym czasie uczelnia miała cztery wydziały: Mechaniczny, Elektryczny, Inżynieryjno-Budowlany i Chemiczny. W 1950 roku utworzono nowy wydział – Górniczy. 1 grudnia, jeszcze przed świętem Górnika (dawniej św. Barbary), Politechnice Śląskiej nadano imię Wincentego Pstrowskiego.

W nowej politycznej rzeczywistości (1990) senat gliwickiej uczelni, pragnąc zrezygnować ze swojego patrona, wystąpił do Sejmu Polskiego o zmianę nazwy uczelni i powrót do historycznej nazwy. W uzasadnieniu do projektu ustawy była mowa o względach natury historycznej. Na decyzję czekali 16 lat, kiedy to Sejm Rzeczypospolitej Polskiej (niejednogłośnie) zgodził się na wykreślenie z nazwy uczelni jej patrona. Zgodnie z Ustawą z 18 października 2006 Politechnikę Śląską im. Wincentego Pstrowskiego nazwano Politechniką Śląską.

Patron gliwickiej uczelni

Gdy w roku 1935 Aleksander Stachanow (1905–1977) bił rekord wydobywania węgla w jednej z kopalń Donbasu, jego rówieśnik Wincenty Pstrowski (1904–1948) kopał węgiel w biedaszybach. Swoją górniczą karierę Pstrowski rozpoczął w latach trzydziestych jako ładowacz w kopalni „Mortimer” w Zagórz. Był pracowity, na zmianie ładował 70 wozów węgla, kiedy inni górnicy potrafili załadować do 30 wozów. W roku 1937 wyemigrował do Belgii, gdzie podjął pracę w kopalni „Mons”. Tam wstąpił do Komunistycznej Partii Belgii.



Wincenty Pstrowski

Stachanowcy śląscy

TADEUSZ LOSTER

W pracy rębacz Wincenty był pracowity i rzetelny – dobrze zarabiał. Do Polski powrócił w maju 1946 roku (jak pisała późniejsza prasa) „głuchy na podszepty i plotki, głuchy także na głosy belgijskich sztygarów, którzy obiecywali mu wyższą płacę, bo żalowali go bardzo, tak był pracowity i rzetelny”.

Zatrudnił się w kopalni „Jadwiga” w Zabrze, gdzie pracowało już wielu reemigrantów z Francji i Belgii. Wstąpił do PPR-u. Wincenty wierzył w siebie, a przede wszystkim w swoją niepospolitą siłę fizyczną, która powinna mu zapewnić dobrobyt w nowej socjalistycznej Polsce. Mimo rzetelnej pracy jako rębacz, zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Płaca jego w systemie „socjalistycznej równiłowki” była marna. Zaczął narzekać i to głośno: *jeden pracuje, reszta się opierała a pieniądze są dzielone po równo*. Jednak został zauważony jako przykład pracowitości, który wzorem bolszewickiej Rosji mógł rozpocząć stachanowski wyścig pracy. Pstrowskiego nie trzeba było politycznie szlifować, był taki, jaki powinien być.

27 lipca 1947 w organie PPR „Trybunie Robotniczej” ukazał się list otwarty do górników polskich. W liście Pstrowski przedstawił swoje wyniki pracy – luty 240% normy, w kwietniu 273%, w maju 270%, wzywając do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy. Na koniec listu rzuca słynne hasło **Kto wyrąbie więcej ode mnie?**

Minęły dwa lata od zakończenia wojny. Dochód narodowy ówczesnej Polski był o ponad 60% niższy od dochodu z roku 1938. W przemyśle i rzemiośle straty szacowano na 30% majątku narodowego w rolnictwie na 35%, w transporcie na blisko 60% a w handlu do 65%. W górnictwie wydajność w pierwszych miesiącach 1945 roku szacowano na 30% w stosunku do okresu przedwojennego. To, co rozpoczął górnik Wincenty Pstrowski, nazwano „racjonalizacją procesów produkcyjnych” a Polska Partia Robotnicza współzawodnictwo pracy złożyła na barki podporządkowanym jej związkom zawodowym. Od 1947 roku kieruje nim Główny Komitet Współzawodnictwa Pracy przy Głównym Związku Zawodowym Górników. W sierpniu 1947 roku na zebraniu Rady Zakładowej kop. „Jadwiga” stwierdzono, że przez umasowienie szlachetnego współzawodnictwa pracy kraj osiągnie dobrobyt. Pstrowski na tym zebraniu nie przemawiał. Jak pisa-

no: „na jego twarzy malowało się silne wzruszenie. Jego mową jest dźwięk kiłofa w podziemnym chodniku”.

Na apel Pstrowskiego pierwsi odpowiedzieli górnicy kopalni „Jadwiga”; Alfons Thiel wyrąbał 300% normy, Paweł Ścibik 318%, Karol Koszyk 280%, Teodor Cichoń 328% normy. Po nich podjęła wezwanie rębacz kopalni „Mysłowice” Antoni Frysztacki – 300%, a za nim ruszyli górnicy innych kopalń.

We wrześniu 1947 na list Pstrowskiego odpowiedział rębacz kopalni „Miechowice” Walenty Kiciński. List podpisuje również jedenastu górników kopalni „Bobrek” w Bytomiu, którzy wzywają towarzyszy górników do stawiania się w szranki współzawodnictwa w celu wykonania Planu Trzyletniego. W tymże wrześniu Pstrowski uczestniczy w III Zjeździe Przemysłowym Ziem Odzyskanych w Szczecinie. Podczas Zjazdu zabiera głos. W swoim krótkim przemówieniu wzywa do rywalizacji pracy nie tylko górników, ale i hutników i włóknarzy.

W październiku 1947 roku w Katowicach pod patronatem Związków Zawodowych odbywa się pierwsza narada przodujących górników. Bierze w niej udział 250 przodowników pracy różnych branż produkcyjnych z udziałem partii i rządu. Za stołem prezydyjnym zasiadał Wincenty Pstrowski.

Od ogłoszenia przez Pstrowskiego listu otwartego do momentu rozpoczęcia przez innych górników współzawodnictwa pracy upłynęło trochę czasu. Co sprawiło, że niechętnie podejmowane współzawodnictwo pracy zaczęło się kręcić i rozwijać? Nie była to ugruntowana klasowa świadomość towarzyszy górników w nowej „demokratycznej” Polsce, lecz pieniądze.

Pstrowski przed ogłoszeniem listu zarabiał w systemie brygadowym około 70 zł za dniówkę. W tym czasie była to wartość butelki wódki. Kilogram chleba kosztował około 35 zł, kilogram ziemniaków 7 – 17 zł a kilogram mięsa wieprzowego 250 – 298 zł. Wyniki przodowników pracy przekładały się na pieniądze. W okresie bicia rekordów Pstrowski zaczął zarabiać 700 do 800 zł na dniówkę czyli 10-krotną stawkę. Były to pieniądze, za które można było „się wyżyć”. W czerwcu i lipcu 1947 roku Wincenty Pstrowski zarobił 40 tys. zł. Był to okres, w którym średnia płaca rębacza wynosiła 14 tys. zł. Po ogłoszeniu listu otwartego zarobił 28 tys. zł.

W okresie późniejszym płace stachanowców były już czymś normalnym. Bracia Bugdołowie Bernard i Rudolf, górnicy kop. „Śląsk” w Chropaczowie za osiągnięcie 552% (?) normy zarabiali po 70 – 80 tys. zł miesięcznie. Ich „kolega” Czesław Zieliński za wykonanie normy blisko 700% (?) w czerwcu 1948 otrzymał ponad 90 tys. zł. Były prezenty rozdawane w naturze oraz kartki – talony, które umożliwiały zakup towarów i żywności na ubogim polskim rynku. W sierpniu 1947 roku za wyjątkowe zasługi w przodownictwie pracy Wincenty Pstrowski otrzymuje w upominku 5-lampowy radiodiodbiornik. Oprócz nagród rzeczowych posypały się odznaczenia. 5 lipca 1947 roku Pstrowski odznaczony został Brązowym Krzyżem Zasługi, a następnie Złotym Krzyżem Zasługi.

W okresie tym proponują mu wyższe stanowisko. Pstrowski odmawia: *Najpierw muszę wykonać plan trzyletni, a później zobaczymy*. W grudniu 1947 roku człowoły górnik polski otrzymuje Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Spotyka go jeszcze jedno zaszczytne wyróżnienie, wyjazd do ZSRR wraz z innymi przedstawicielami klasy robotniczej.

W październiku 1947 roku Pstrowski osiągnął 358% normy. Rekord ten tłumaczono nie nadmierną pracą lecz racjonalnym wykorzystaniem czasu pracy.

Oto jak broszura biblioteki związkowej „Wincenty Pstrowski” opisuje jego pracę: *Pstrowski po przyjsciu na chodnik, nie marnując czasu, zamknawszy materiał wybuchowy do skrzyni, do przodka, zabierając po drodze potrzebne i utrzymywane w dobrym stanie narzędzia, a więc: kilof, siekiere, wiertarkę i świdy. Trzeba zaznaczyć, że krok obu pracujących nie szedł na marne, każdy ruch był przemyślany i celowo wykorzystany. Za każdym przejściem do przodka zawsze coś ze sobą przynosili, czy to drzewo do obudowy, czy glinę do ubijania otworów, piłę, czy młot. Poszczególne czynności w przodku miał również Pstrowski dobrze obmyślane i rozłożone w celu całkowitego wykorzystania czasu na urabianie i popęd chodnika. Pstrowski zwykle mówił: „Staram się udoskonalić pracę, w czym tylko mogę. Przede wszystkim wykorzystuję czas pracy w przodku”. Oprócz „wzorowej dyscypliny pracy” Pstrowski był racjonalizatorem produkcji. Razem ze swym współtowarzyszem pracy, Bejczukiem, zastosowali usprawnienia w odstawie rynnowej... pomysły szybkiego łączenia węży do sprężonego powietrza... W zrozumieniu doniosłości tych ulepszeń i pomysłów, CZPW wypłacił wysokie premie obu pomysłodawcom.*

Oprócz nagród pieniężnych typowymi wyróżnieniami były rowery, radia, zegarki, odzież, kupony materiałów i wczasy. Nawet za granicę, do Czechosłowacji czy NRD. W późniejszych latach moto-

cykle i samochody. Nagrodami były także awanse zawodowe i polityczne.

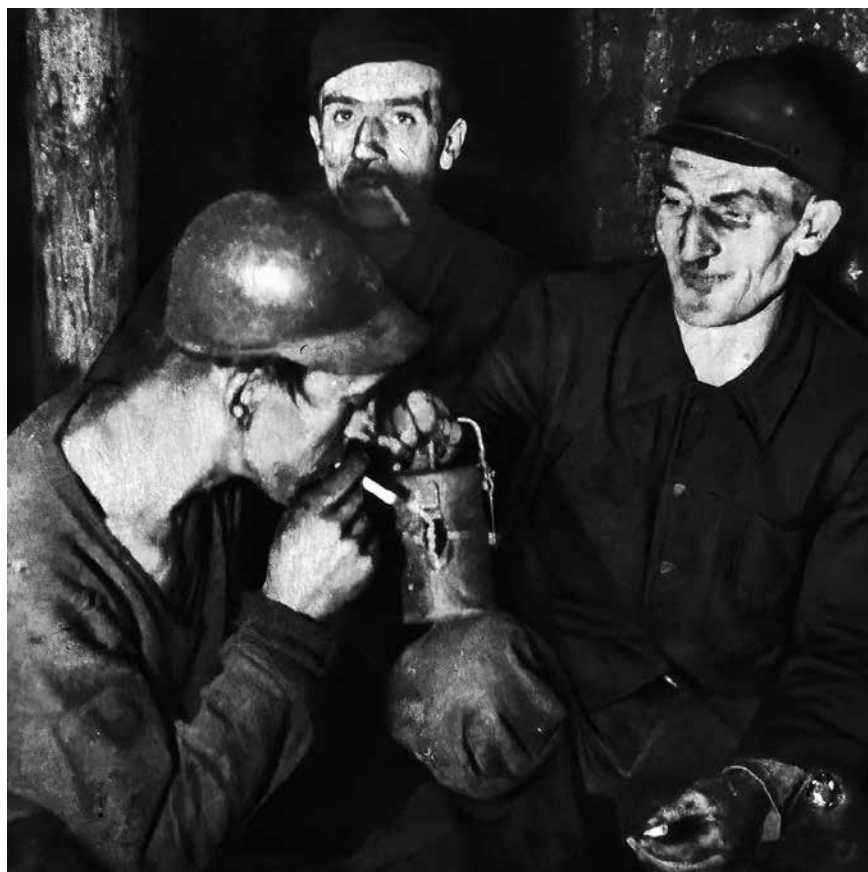
W roku 1947, Wincenty Pstrowski stał się sztandarowym przedstawicielem przodowników pracy, uczestniczącym w zjazdach, naradach, konferencjach. Więcej był pokazywany niż widywano się go na kopalni. Przypuszczalnie, chcąc poprawić jego wygląd, na wiosnę 1948 roku zaproponowano mu zrobienie protezy zębów. Po usunięciu kilku zębów nastąpiło zakażenie krwi. Próbując go ratować za pomocą sprowadzonych z Francji lekarzy, przeprowadzono w Polsce pierwszą całkowitą wymianę krwi. Honorowymi krwiodawcami była kompania wojska, która wmaszerowała do krakowskiej kliniki. Niestety nic to nie pomogło; 18 kwietnia 1948 roku Wincenty Pstrowski zmarł. Pogrzeb odbył się w Zabrze 21 kwietnia, uczestniczyło w nim (jak donosiła prasa) 100 tys. robotników, przedstawiciele licznych organizacji i instytucji oraz reprezentanci najwyższych władz państwowych.

W liście skierowanym do „Towarzyszów górników” przez przodowników pracy, braci Bugdołów, czytamy: *Pierwszy chodzący ruchu współzawodnictwa nie żyje! Pamięć o nim nie zginie nigdy! On dla nas drogowskazem w dalszej pracy dla dobra Polski Ludowej i dla szczęścia polskiego ludu pracującego*. Ubyła ikona socjalistycznego przodownictwa pracy, trzeba było stworzyć nową ikonę. Został wyznaczony do tego celu jeden z autorów cytowanego fragmentu listu Bernard Bugdoł.

Pamięć o Wincentym Pstrowskim po jego śmierci nie zginęła. Pośmiertnie przyznano mu Order Budowniczego Polskiej Ludowej. Jego imieniem ochrzczono kopalnię „Jadwiga” oraz Politechnikę Śląską w Gliwicach. Był górnikiem, który stanął na cokole pomnika wystawionego w Zabrze. Jego życiorys został umieszczony w encyklopediach, a w wielu miastach polskich ulice nazwano jego imieniem. „Wincenty Pstrowski” to również nazwa rudowęgłowca. Na medalu „Przodownika Pracy Socjalistycznej” widnieje jego podobizna. Pstrowski *pokazał, że polski górnik i robotnik umie myśleć i myśli te swą żyłastą dłońią w czyn przemieniać*.

Bernard Bugdoł

Życiorys Bernarda Bugdoła (co do jego kariery jako przodownika pracy) można porównać do życiorysu słynnego radzieckiego przodownika Aleksandra Stachanowa. Bugdoł urodził się w roku 1922 w Chropaczowie w śląskiej rodzinie górniczej. W 1939 roku rozpoczął pracę w kopalni „Śląsk” w Chropaczowie jako ładowacz. Pod koniec wojny został wcielony do Wehrmachtu. Jego losy w armii niemieckiej, jak wielu Ślązaków, były podobne. Pod Arnhem zbiegł do armii amerykańskiej, skąd dostał się do wojska polskiego i przebywał Wielkiej Brytanii. Do kraju powrócił na początku 1946 roku i podjął pracę w swojej kopalni „Śląsk”.



Przodownicy pracy Wincenty Pstrowski oraz bracia Bugdołowie w przodku

Kiedy Pstrowski wzywał do współzawodnictwa innych górników, Bugdoł wykonywał podobno wyższy procent normy niż mistrz Wincenty. Słynny wynik 552% normy wykonali bracia Bugdołowie w listopadzie 1947. Bernard jako rębacz, a Rudolf w charakterze ładowacza. Był to jeden z nielicznych wypadków, kiedy jako rekordzistę wymieniono ładowacza, choć intensywność pracy rębacza miała wpływ na pracę ładowacza, który to urobiony węgiel musiał załadować.

Kariera Bernarda Bugdoła rozpoczęła się dopiero po śmierci Wincentego Pstrowskiego. Musiano stworzyć nową ikonę przodownika pracy, aby ruch stachanowski miał nowego lidera.

Wyglądało na to, że w wyniki braci Bugdołów nie wierzył za życia nawet Wincenty Pstrowski. W tomiku biblioteki CRZZ pt. „Droga Bernarda Bugdoła” jest zdjęcie Pstrowskiego z braćmi B., a pod nim treść: *O osiągnięciach Bernarda Bugdoła było już głośno na Śląsku i w Polsce, kiedy pewnego dnia przyjechał do kopalni Wincenty Pstrowski. Przyjechał razem z Thielem i z miejsca oświadczył, że musi naocznie przekonać się o wynikach pracy Bugdołów, bo „cos” mu się tu wydaje nieprawdopodobne. Długo patrzył i obserwował, aż wreszcie uściśnił dłonie braciom i z radością uznał się za pokonanego.*

Bugdoł we współzawodnictwie pracy uczestniczył pół roku. Już jako nowo kreowana ikona został przeniesiony do Zarządu Głównego Centralnego Związku Zawodowego Górników, gdzie został kierownikiem Wydziału Współzawodnictwa Pracy. Z jego inicjatywy powstały brygady instruktorskie, które: *pokazywały jak trzeba i jak można pracować.*

Zimą 1949 roku Bernard Bugdoł został mianowany dyrektorem kopalni „Zabrze Zachód”, mimo że ukończył tylko szkołę podstawową. Został najmłodszym dyrektorem w Polsce Ludowej. W 1950 roku wraz z 30 osobami wysuniętymi na stanowiska dyrektorskie w przemyśle węglowym został skierowany na 5-miesięczny kurs prowadzony przez profesorów AGH m.in. przez prof. Witolda Budryka. Po ukończeniu kursu Bugdoł



Towarzysz dyrektor Bernard Bugdoł z rodziną

otrzymał uprawnienia kierownika ruchu zakładu. Jako prymus kursu za namową profesora Budryka rozpoczął „studia” na AGH, które ukończył w 1952 roku, uzyskując dyplom inżyniera. W tym to roku został posłem na Sejm PRL I kadencji jak również otrzymał nagrodę państwową II stopnia w dziale postępu technicznego.

1 lipca 1953 mianowany zostaje dyrektorem kop. „Wujek”. W latach 1955–1958 pełni funkcje dyrektora kopalni „Karol” w Rudzie Śląskiej. W 1958 roku z uwagi na konflikty z władzami PZPR zostaje usunięty ze stanowiska dyrektora i mianowany kierownikiem robót górniczych w kopalni „Radzionków”. Po przywróceniu mu członkostwa w partii w 1960 roku zostaje mianowany dyrektorem Kopalni „Łagiewniki” w Bytomiu. W grudniu 1969 roku zrezygnował z posady dyrektora i podjął pracę jako inspektor BHP w BZPW. W 1978 roku uległ wypadkowi samochodowemu, co spowodowało że poszedł na emeryturę.

Praca na wyścigi

Prześciganie się w wynikach – ilościach wydobywanego węgla przez przodowników czyli rekordzistów pracy było podobne do zawodów sportowych. Im więcej zawodników startowało w zawodach sportowych – w rwaniu węgla – tym lepiej, bo rosła konkurencja. Przodownik swoim nowym rekordem pobijał rywala, a kibice – robotnicza klasa pracująca miast i wsi – z zapartym tchem śledziła bieżnie stadionów – kopalnie. Zawodników – przodowników pracy – było wielu. Starano się, aby każda kopalnia jak klub sportowy miała swego mistrza. Kto z kibiców nie marzył o tym, by reprezentować znany klub – kopalnię, bić rekordy i jak zawodowy sportowiec mieć tyle szmalu żeby tapetować nim ściany.

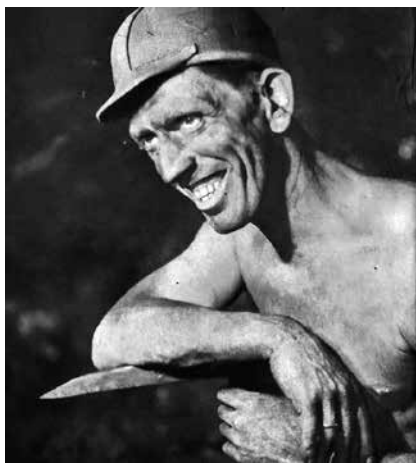
Czesław Zieliński

Czesław Zieliński urodził się w 1917 roku w Westfalii. W wieku 15 lat, pracując jako górnik we Francji, wstępuje do partii komunistycznej. Pracę swoją rozpoczął po wojnie na kopalni „Makoszowy” jako francuski emigrant. Będąc przodującym górnikiem, staje do współzawodnictwa pracy. Konkuruje z Wincentym Pstrowskim, ale i z Wilhelmem Kocotem, rębaczem z tej samej kopalni.

W listopadzie 1948 roku Zieliński wraz z ładowaczem Kwiatkowskim osiąga 721,8% normy. Rekordy Zielińskie go to nie tylko sumienna wyteżona praca, ale i pomysły racjonalizatorskie, które ułatwiają mu uzyskanie rekordów. Te pomysły to sposób ukierunkowania wiercenia otworów ścianowych, zastosowanie na przodku dodatkowej rynny



Czesław Zieliński



Bernard Bugdoł

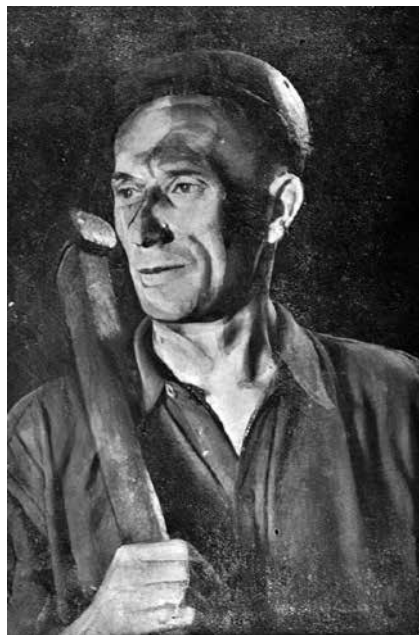
i osłony z desek oraz specjalne narzędzia między innymi siekiera przywieziona przez niego z Francji. Efekty pracy Czesława Zielińskiego zostają zauważone, zostaje mianowany wicedyrektorem kopalni „Wieczorek”.

Franciszek Apryas

24 marca 1949 w Jaworzniczko-Mikołowskim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowym w Mysłowicach zwołano nadzwyczajną naradę. Na tej to naradzie górnik Franciszek Apryas w myśl hasła Krajowej Narady Oszczędnościowej: „produkować więcej, taniej i oszczędniej!” zobowiązał się na cześć święta 1 maja 1949 roku wykonać 300% nowej normy. Apryas oświadczył: *Wzywam do współzawodnictwa! ...i będę niezmiernie zadowolony, jeżeli któryś z moich kolegów ścianowców polskich kopalń uzyska lepsze od moich wyniki.*

Na apel Apryasa odpowiedziały dziesiątki górników, między innymi Gorol z kopalni „Bolesław Śmiały” zobowiązuje się wykonać 340% normy, Markiewka z kopalni „Polska” deklaruje 400% normy. Zgłaszają się górnicy Dominik i Pałka z kopalni „Mysłowice” oraz wielu innych przodowników pracy.

Franciszek Apryas urodził się na Śląsku Cieszyńskim w 1909 roku. W lutym 1928 rozpoczyna pracę na kopalni „Brzeszcze” jako wozak. Bezpośrednio przed wybuchem wojny w 1939 roku zostaje górnikiem przodowym. Po wojnie na apel Pstrowskiego zostaje przodownikiem pracy na swojej kopalni. Za zasługi w przodownictwie wyjeżdża na wczasy do Czechosłowacji. Tam spotyka innych przodowników pracy: Zielińskiego, Kańtocha, Krawczyka, Kapałę... Razem dyskutują i marzą o szybkiej odbudowie Ludowej Polski. Te dyskusje rodzą w nim postanowienie, aby osiągnąć najwyższy wynik pracy w Polsce. W październiku



Franciszek Apryas

1948 roku Apryas osiąga 362% normy, w listopadzie 462%, a w grudniu 644%. Zostaje odznaczony i otrzymuje radioodbiornik. Apryas na ścianie pracuje (z ładowaczem oraz górnikiem strażalnym) jako przodowy. Na jego przodku pracuje wrębiarka łańcuchowa. 1 maja 1949 roku dotrzymuje słowa i przekracza jeszcze zadeklarowany wynik oraz wzywa górników do dalszego współzawodnictwa. W czerwcu tegoż roku wykonuje 365% nowej normy.

W 1949 roku wraz z Wincentym Pstrowskim (pośmiertnie) zostaje odznaczony Orderem Budowniczego Polski Ludowej. W 1952 roku kończy Technikum Górnicze i przechodzi do pracy do kopalni „Wesoła II” jako sztygar oddziałowy. W tymże roku uzyskuje mandat posła na sejm. Po zakończeniu kadencji wraca do pracy na kopalni „Brzeszcze”, a od 1959 do czasu przejścia na emeryturę to jest do 1969 roku pracuje w kopalni „Jastrzębie”.

Wiktor Markiewka

Jednym z pierwszych, który odpowiedział na apel Franciszka Apryasa był górnik Wiktor Markiewka. Postanowił on godnie uczcić dzień 1 Maja i wykonać 400% normy.

Wiktor Markiewka urodził się w roku 1901 w Świętochłowicach. Pracę jako górnik rozpoczął w wieku 15 lat w kopalni „Matylda”. Wkrótce podejmuje pracę w kopalni „Polska” w Świętochłowicach. W 1928 roku zostaje górnikiem przodowym. W roku 1947 w odpowiedzi na list Pstrowskiego przystępuje do współzawodnictwa pracy. W listopadzie 1948 roku osiąga swój szczytowy wynik wydajności pracy 703,7% ówczesnej normy co po roku 1949 wynosi 413,5%. W tym okresie odznaczony zostaje Złotym Krzyżem Zasługi. O swojej pracy mówi: *Zawsze siedzi we mnie trochę sportowca, a moja droga do rekordu w tej dziedzinie sportu jako współzawodnika – górnika – zaczęła się w grudniu 1947 roku.*

W miarę wzrostu przekraczania normy Markiewce (jak i innym przodownikom pracy) wzrasta zarobek. W czerwcu 1947 zarabia 640 zł na dniówkę, a w grudniu 1949 roku 3920 zł, czyli ponad 6 razy więcej. Poza wydajną pracą Markiewka bierze czynny udział w życiu społecznym i politycznym. Można go spotkać codziennie w partyjnej świetlicy czytającego gazety lub na boisku piłki nożnej. W piątą rocznicę Polski Ludowej otrzymuje Sztandar Pracy I klasy z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej. Pod koniec stycznia 1950 górnik Wiktor Markiewka podpisuje zobowiązanie przystąpienia do nowego rodzaju – długofalowego współzawodnictwa pracy. *Dam w ciągu trzech miesięcy tj. w lutym, marcu i kwietniu 220,5 mb. [metrów bieżących] postępu chodnika, zamiast 73,5*

mb. i wydobędę 1620 ton węgla. Na nowy apel odpowiada Józef Słupik, górnik kopalni „Polska”, który deklaruje zamiast przewidywanej normy 84 mb. upędzić 252 mb. chodnika i urąbać 1851,75 ton węgla. Na apel Markiewki odpowiadają inni towarzysze górnicy: z kop. „Wujek” Wilhelm Drzewiecki, z kop. „Miechowice” Alfons Kaczmarczyk, z kop. „Prezydent” Henryk Kopka, z kop. „Katowice” Eryk Gaszka. W ich zobowiązaniach powtarza się jedno zdanie: *Odpowiadając na apel... Przystępujemy do realizacji.*

W 1952 roku Wiktor Markiewka zostaje posłem na sejm Polski Ludowej. Patrząc z perspektywy lat, Markiewka obok Pstrowskiego, Bugdoła, Apryasa i Zielińskiego był sztandarowym przodownikiem pracy tamtego okresu. Przystępując do współzawodnictwa, otrzymywali oni lepsze materiały i narzędzia, a także najlepszych pomocników. Podnoszenie norm wydobywania dla górników w oparciu o wyniki pracy przodowników budziło niezadowolenie robotników, którzy wszelkimi sposobami utrudniali życie stachanowcom. Później okazało się, że większą wydajność pracy uzyskano przede wszystkim poprzez nową organizację pracy. Wprowadzono 3-zmianowy system pracy oraz dodatkowo pracę w niedzielę.

W latach pięćdziesiątych zmieniły się metody urabiania węgla pod ziemią. Coraz więcej górników zamieniało kilof i łopatę na ładowarkę, kaczki dziób, wrębiarkę i kombajn. Praca przy użyciu tych nowoczesnych maszyn stała się lżejsza i wydajniejsza. Mechanizacja pracy w górnictwie przynosi nowe wyzwania, nowe rekordy i nowych przodowników reprezentujących nowe „wartości”.

Zdjęcia skanowane z tomików Biblioteki CRZZ z lat 1949 i 1953.



Wiktor Markiewka

Druki prawdziwie ulotne

JAN MALICKI

Jeśli w bibliotece jest dział, którego pracownicy szczególnie nie lubią i chętnie się z niego przenoszą do innych, to są nim dżs-y; dokumenty życia społecznego. Przypomnijmy: „materiały biblioteczne o charakterze informacyjnym, propagandowym, reklamowym, które są wynikiem działalności społecznej instytucji lub organizacji, posiadają krótkotrwałą wartość użytkową (służą doraźnej potrzebie), odzwierciedlają przejawy współczesnego życia”. Wszystko zatem może być dżs-em. Potop często niepotrzebnej makułatury. Zalew okolicznościowych druków i druczków, ulotek, zaproszeń, plakatów, prospektów, a jeszcze do niedawna książek telefonicznych i adresowych. Łatwo więc zrozumieć czarną rozpacz pań i panów dokonujących najpierw selekcji, potem opracowujących te materiały, przechowujących je, by z czasem przekazać w czytelni pasjonatowi ostatecznie zadowolonemu lub nie. A nie daj Boże tra-

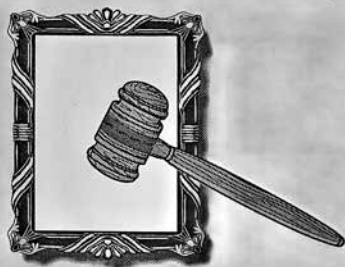
fić jeszcze na dyrektora, którego ulubionym zwrotem jest „do zbiorów”. Horror.

To ledwie początek kłopotów z bogactwem materiałów. Jeśli bowiem biblioteka jest stara; ma te swoje 100 lat, to na przestrzeni wielu dekad istnienia nagromadziła ogromną masę dokumentów, nierzadko opracowywanych z przerwami losowymi, wreszcie o nieogarnionej wielości tematycznej zasobu. A wtedy pracę jeszcze bardziej komplikują zasady doboru i kwalifikacji do zbioru. Czy pierwszeństwo mają te dawniejsze, albo te jedynie współczesne. Wszak immanentną ich cechą jest niezwykle szybka utrata aktualności. Niczym bilbordy przed i po wyborach. Czy raczej nadrzędne jest kryterium estetyczne, odrzucające bezgustowne realizacje (może z marginesem na świadomą estetykę brzydoty) a koncentrując się dokonaniach autorów wybitnych np. zaliczanych do polskiej szkoły plakatu z dominującą funkcją użytko-

wą. Nie ma przecież estetyki uniwersalnej, ponadczasowej, raz na zawsze skodyfikowanej hierarchii piękna i brzydoty. W procesie tym czynnikami modulującymi są czas i zmienność wartości estetycznych. Zbieramy to, co ważne jest teraz, przekazujemy natomiast przyszłości. Dziś jeszcze nierozpoznanej. Zatem antykwaryzm – i ten biblioteczny, instytucjonalny, i ten osobisty, decyduje o losie materiałów. O ostatecznych konsekwencjach wobec nich. Łatwo bowiem ulotkę, zaproszenie, plakat zmiąć, wyrzucić, unicestwić. Pozostaje wówczas tylko oniryczna pamięć zdarzenia zawieszonego w przestrzeni między prawdą, prawdopodobieństwem a fikcją. I w przyszłości mozolna praca rekonstruktora zbliżającego się zaledwie do prawdy o ważnym wydarzeniu sprzed lat.

Dla mnie najważniejszym faktem w dziejach Biblioteki Śląskiej było otwarcie, dokładnie ćwierć wieku temu nowego gma-

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA po raz pierwszy..



Radiowa aukcja na rzecz
budowy gmachu Biblioteki Śląskiej
Radio FLASH – środa, 23 marca



Wspomagając Bibliotekę Śląską możesz wejść w posiadanie bliskich sercu:
– profesora **Jana Malickiego** – „Kroniki Polskiej” Marcina Bielskiego z 1833 roku
– posta **Jerzego Wutke** – historycznego plakatu z marca '68
– **Jerzego Millana** – fajki
– **Wojciecha Kilara** – partytury z dedykacją
– **Barbary Ptak** – projektów kostiumów
– profesora **Ireneusza Opackiego** – numizmatów, odznak i orderów wojny świątowej i XX-lecia międzywojennego
– **Piotra Wierzema** – kosmiki Runda Gullina
– profesora **Zbigniewa Religi** – skalpela i pierwszego wydane w Polsce podręcznika kardiochirurgii z dedykacją
– posta **Ryszarda Zajaca** – kajłanek
– **Janusza Korwin-Milkego** – muzyki

EDYNA W SWOIM RODZAJU RADIOWA AUKCUJA RADIO FLASH 72,2 i 10

nasze telefony 130-25-25, 51-30-30, 38-81-38

TERAZ... KSIĄŻKA!

Biblioteka Śląska – Bank Śląski VII o/Katowice 312608-2727-1

Przedmioty wystawione na aukcję prezentowane są dziś w klubie Międzynarodowej Prasy i Książki – Katowice, Rynek 18, w godz. od 11 do

„Trybuna Śląska” 1994 nr 68 (22 III) s. 5.

B

BIBLIOTEKA
ŚLĄSKA
ZAPRASZA

8. XI.
1998.
godz. 18⁰⁰

*Ancydziela
z biblioteki
muzyki
kameralnej*

W 80. rocznicę odzyskania niepodległości
i narodzin II Rzeczypospolitej

Program koncertu

FRANZ SCHUBERT

Kwintet A-Dur
„Pstrąg”

Wykonawcy:

Maria Sz wajger - Kulakowska - fortepian
Marek Moś - skrzypce, Łukasz Syrnicki - altówka
Piotr Janosik - wiolonczela, Tadeusz Górny - kontrabas

PIOTR CZAJKOWSKI

Sekstet smyczkowy d-moll
„Souvenir de Florence”

Wykonawcy:

KWARTET ŚLĄSKI

Marek Moś - skrzypce, Arkadiusz Kubica - skrzypce
Łukasz Syrnicki - altówka, Piotr Janosik - wiolonczela
oraz Beata Raszewska - altówka
Dominik Połoński - wiolonczela

Inauguracja cyklu ośmiu, comiesięcznych koncertów kameralnych w Bibliotece Śląskiej, Katowice, Plac Rady Europy 1. Informacje: Organizacja Widowni B.Śl. tel. 20-83-719, od poniedziałku do piątku w godz. 9⁰⁰ - 15³⁰ oraz przed koncertem od godz. 16⁰⁰. Ilość miejsc na widowni ograniczona. Cena karty wstępu 20. zł. Ulgowa dla uczniów i studentów szkół muzycznych 10. zł (tylko w razie niewykorzystanych miejsc). Karta na 8 koncertów w cenie 7 koncertów. Informacja dla przyjezdnych: w obrębie i sąsiedztwie Książnicy ok. 300 miejsc parkingowych. Następny koncert 20. 12. br.

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA



Marzenia pokoleń ziszczają się



Katowice, marzec 1998 roku

chu przy pl. Rady Europy. Miało ono miejsce dokładnie 24 października 1998 roku. I stanowiło domknięcie ogromnego wysiłku i niebawem entuzjazmu wszystkich środowisk naszego województwa w ciężkich czasach reformy Balcercowiczowskiej. Wszystkich, bo poczynając od dzieci kwestujących na rzecz budowy gmachu, uczniów szkół plastycznych ozdabiających metalowy płot okalający budowę quasi muralami; poprzez związki zawodowe organizujące majówki i sprzedające na nich rybniczne garnki (sic! Były takie) i przeznaczając zebrane pieniądze na naszą inwestycję. Tu dygresja. Wciąż przed oczami mam scenę znad jeziora przy rybniczej elektrowni i słuchacza mojej gawędy o inkunabułach, trzymającego w jednej ręce kufel piwa, a w drugiej kawał śląskiej kiełbasy. Z uwagą i w skupieniu słuchał. Była też aukcja radia „Flash”, na której licytowano partyturę „Krzeseł” Wojciecha Kilara, lancet prof. Zbigniewa Religi użyty podczas pierwszej operacji na sercu; a ze zbiorów prywatnych kilka zabytkowych książek. To ledwie przebliski pamięci sprzed 25 lat. Pozostały jednak okolicznościowe, choć ulotne, dokumenty. Czasem w jednym, lub w kilku egzemplarzach.

Już w marcu 1998 roku ukazał się pierwszy dokument, który zatytułowaliśmy: „Marzenia pokoleń ziszczają się”. Pisaliśmy w nim nie tylko o przeszłości biblioteki, o Społecznym Komitecie Budowy Biblioteki Śląskiej, o wybranej lokalizacji, o innowacjach technicznych, ale też o tym, co było wielką troską inwestora (BŚ), projektantów (ARAR) i wykonawców: „Obiekt został wtopiony w teren, przy najmniejszej ingerencji w przestrzeń parku, co daje wrażenie zmniejszenia jego skali oraz stwarza konieczną osłonę akustyczną i atmosferę intymnego wyizolowania od gwaru miejskiego. Architektura obiektu jest programowo prosta i skromna. Zrezygnowano z pompacyjnej bryły na

korzyść walorów ekologicznych, z zachowaniem i rozbudową drzewostanu”. Z czasem powstała aleja czarnońskich lip, aleja noblistów, skwer 95 posadzonych przez pracowników krzaków róż na 95-lecie powstania Matki Żywicielki Śląskiej Humanistyki i pole nadziei kwitnących wiosną żółtych żonkili, przypominających o hospicjach. Czy miejsca te jeszcze istnieją?

Najważniejszym wydarzeniem tamtego roku było jednak otwarcie nowej siedziby w dniu 24 października. Uroczystość tę na swój sposób utrwaliło łódzkie wydawnictwo „Literatura” od lat prowadzone przez znakomitą Wiesławę Jędrzejczykową. Wydała ona bowiem bibliofilski tomik zatytułowany „Mądra przypowieść i śląska gadka zamiast laudacji na cześć Biblioteki Śląskiej i jej Dyrektora”. Wydanie pierwsze i ostatnie, w nakładzie 37 numerowanych egzemplarzy”. Na śląski przetłumaczył ją i spisał Kazimierz Szymeczko, autor wielu znakomych książek dla dzieci. Oto fragment o czterech kluczach otwierających nową siedzibę.

„Dyrektor Malicki doł pjrwszy klucz prymjerowi Buzkowi. Tyn idzie ku dźwyrzom, a co stmpnie, to ze dziesiynć cynthów rośnie, a na dwa wodze poł fonta mu mu przibywo. Niż doszoł, to już mjoł ze dwa i poł metra. Stanoł przed dźwyrzami, wraioł klucz do dziurki ruszoł roz, drugi – a tu nic! Ani nny zazgrzypi, a co dopjyro mjałoby sie łotworzyc. Wyciongnoł i poszoł nazod siedziec na zeslu, ale już nny boł taki wielgi, bo czuoł, że wygoroł. Zaro po nim drugi klucz dostoł wiceminister kultury. Idzie, bado, luknął na zomek poklamkotoł i jak nny zakrynci! A tu nic. Dźwyrza jak boły zawarte, tak som. No to wojewoda ruszo ze trzecim kluczym. A kaj tam! Ino siespocioł, a żałowal, że szperhoka nny mo,bo tyż mu dźwyrza za dwoje godały. Wrazić i wyciągnąć to kożdy chop poradzi, ale tak szkyrtnonć, żeby się łotwarło i boło-

by rade poszkyrtac sie jeszcze...na to już trza fachmana. Siedzom, klucze w rynchach trzymajom i czekajom, co dali. Żli, że szlajfki nny ma, znerwowom, bo wygoreli, ale kożdy rod, że nny łon jedyn gańby sie nażar, a klucz mo i nny puści. A tu profesor Malicki bjere szwoty klucz i idzie ku dźwyrzom. Wraioł szkyrtnoł łobrocoł i dźwyrza sie łotwarły. Bo gość, choć tak godajom, że z byzuchem to ino łokuda, ale gospodorz, to gospodorz... Beztoż dyrektorowi Malickiemu sie udao (a mono mo pomogły te gruszki z łogrodu Lompy, co je z krałzy podjodoł?), a ci, co probowali przed nim, dostali po kluczu na pamjontka i tyż byli radzi”.

Potem już tylko zwykła, codzienna praca bibliotekarska i oswajanie czytelników z nowym gmachem. Wszystkim spotkaniom codziennym z naszymi bywałcami zawsze towarzyszyły druki ulotne. W czasach raczkującej komputeryzacji była to konieczność. Z jednej strony rodzaj satysfakcji dla wykonawców, możliwość zdobycia autografu artysty, dla naszych pracowników poszerzenia wiedzy o wielu zjawiskach kulturalnych. Pierwszy koncert – to oczywiście „Śląsk” pod dyrekcją Stanisława Hadyny. Był to ostatni już publiczny koncert przed jego śmiercią. Drugi – Kwartetu Śląskiego i niezapomnianego wiolonczelisty Dominika Połońskiego. Trzeci – to prawykonywanie przez Zabrzeńską Filharmonię „Sonetów Krymskich” Moniuszki – Mickiewicza z recytacjami Andrzeja Lipskiego. Był też i pierwszy Salon Literacki. Powtórzę. Wydarzeniem tym zawsze towarzyszyły druki okolicznościowe oraz obowiązkowy wpis do „Księgi Przyjaciół”. Tak było do roku 2018.



Psalm Zmartwychwstania

ADAM KOŁODZIEJCZYK

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Przedemną solidne, obite skórą drzwi. Gabinet numer czternaście, w środku obietnica naprawienia wszystkich problemów. Wyciągając rękę przed siebie. Na początku nie w kierunku klamki, lecz skórzanego obicia. Powoli gładzę po nieregularnej powierzchni, jakby próbując się nasycić jej namacalnością, jej prawdziwością.

– Wszystko w porządku? – woła ktoś z holu.

Kilka metrów ode mnie stoi młoda kobieta. Sprzątaczką zdaje się. Chyba znowu zgubiłem się w myślach, patrzy na mnie jako podejrzliwie.

– Tak, tak – odpowiadam – oczywiście.

Ponownie wyciągam rękę, tym razem natrafiając na zimną klamkę drzwi. Jeszcze tylko jeden głęboki wdech, może dwa. Za chwilę wszystkie te zmartwienia znikną, rozprysną się niczym przebita igłą mydlana bańka. Czemuż więc się tak boję? Jeden metaliczny dźwięk, kilka skrzyknięć i jestem po drugiej stronie. W środku duchota. Całe pomieszczenie wypełnia jakby mgła. W dodatku ktoś pozasłaniał okna. Jakże mały jest ten pokój. Większość przestrzeni zajmuje jakiś chudy mężczyzna na bujanym fotelu pośrodku pomieszczenia. Przez dym dostrzegam w jego ustach fajkę. Siedzi w białej, eleganckiej koszuli, choć już nieco poszarzałej, z jednym guzikiem rozpiętym przy kołnierzu. Ledwie zidać go zza rozłożonej gazety, którą zdaje się czytać z wielkim zainteresowaniem.

Za chwilę zabraknie tu tlenu. I ten zapach fajki. Ten cholerny zapach.

– Ach, jest pan już – zaczął doktor, nawet na mnie nie spoglądając. – Dobrze, bardzo dobrze. Możemy zaczynać?

Nie czekając na moją odpowiedź, włożył fajkę z powrotem do ust i wskazał mi kiwnięciem głowy ustawioną pod ścianą kanapę.

– Nażywa się pan? – rzucił niedbale przez zęby.

– Wiktor, Wiktor Poks.

To chyba jedyne pytanie z puli doktor, na które mogę znać dokładną odpowiedź, choć prawda jest taka, że zupełnie nie wiem, co właściwie oznacza te kilka złączonych ze sobą liter. Kim jest ten Wiktor? Co to znaczy Poks?

– Doskonale, doskonale... – doktor zaczął zapisywać coś na stronach gazety. – No więc co panu dolega, panie Poks?

Nie wiem, gdzie podziała się ta gazeta, ani jakim cudem doktor mógł ją tak szybko odłożyć, ale zwrócony w moją stronę wpatruje mi się prosto w oczy.

– Ja... – zmieszany próbuję coś odpowiedzieć – nie wiem.

Doktor nabrał powietrza, ale nic nie odpowiedział. Rozglądał się chwilę po pokoju, po czym znowu skierował na mnie swój wzrok. To nie była dobra odpowiedź, ale daje mi drugą szansę. Muszę spróbować raz jeszcze.

– Ja – wyprostowałem się – miewam sny.

Doktor poprawił swą pozycję na fotelu. Czuję, że jeszcze czegoś mu brakuje, ale wydaje się nieco bardziej zadowolony z mojej drugiej odpowiedzi.

– Wiele osób je ma – uśmiechnął się – to jeszcze nie koniec świata, prawda?

To wciąż nie to. Jak się rozmawia z ludźmi? Zadaje mi całym sporem pytań. Może i ja powinienem jakieś zadać?

– A co jest końcem? – odparłem po chwili.

W pokoju zapadła cisza. Doktor w końcu wstał i podszedł do okna. Wygląda na to, że musi się namyślić. Czy to było dobre pytanie? Nie znam na nie odpowiedzi, więc chy-

ba tak. Wreszcie odkleił fajkę od swych ust. Pewnie wie już, co chce powiedzieć.

– Nic – wyrzekł, znowu nie patrząc mi w oczy. – Nie ma końca, koniec nie istnieje.

Nie wiedziałem, jak zareagować na jego słowa. Wbiłem oczy w podłogę i zacząłem myśleć. Co to niby miało oznaczać? Koniec nie istnieje. Zawsze musi być jakiś koniec, prawda?

– Koniec nie istnieje... – powtórzyłem pod nosem, próbując odgadnąć znaczenie tych słów.

Doktor odwrócił się w moją stronę i chyba zamierzał coś dopowiedzieć, ale ostatecznie porzucił ten pomysł. Zamiast tego podszedł z powrotem do biurka i ponownie zasiadł na swoim fotelu.

– No dobrze, panie Poks – doktor splótł palce swych dłoni i oparł na nich brodę. – Niech mi pan wobec tego powie, o czym pan śni?

Wzięłem głęboki wdech. Naprawdę olbrzymi. Trochę jak przy narodzinach. A więc to jest ten moment. Tak wiele razy wyobrażałem sobie tę sytuację. Tak długo się do niej przygotowywałem. A jednak wciąż jestem niepewny odpowiedzi. Tak bardzo niepewny.

– To naprawdę ciężko opisać. To jakby... jakby budowla, czyli kamień, skała, czyli nieżywość, a jednak to żyje. – Doktor spojrzał na mnie podejrzliwie, ale wydawało mi się, iż mimo wszystko pragnie, abym kontynuował. – Z początku nie widziałem dokładnie. Wszędzie dookoła jest ta czarna pustka i trudno dostrzec jakiś zarys, jakiś kontur. Pierwsze co w końcu zobaczyłem to ten poszarpany i nieregularny kształt. Olbrzymi cień tego czegoś. Rósł i rósł, zbliżając się do mnie, aż w końcu stanąłem u progu bram tej konstrukcji masywnej, piekielnej. Spojrzałem w górę. Nade mną pięły się w nieskończoność strzeliste, poskręcane wieże. Nigdy w życiu nie czułem się tak mały, tak nieistotny. W końcu odważyłem się wykonać pierwszy krok w kierunku wejścia. Gdy przechodziłem przez bramę, coś się zmieniło. W środku zobaczyłem rzeczy, których nie da się opisać. Nie chodzi o to, że odebrało mi mowę, to coś zupełnie innego. Czułem się raczej, jakby to język nie miał już znaczenia. Stworzyliśmy to narzędzie i wydaje nam się, że dzięki niemu możemy uchwycić prawdziwość świata, ale to bzdura. Będąc tam w moim śnie zrozumiałem, jak bardzo jesteśmy arogancy w naszych wyobrażeniach. Jak można było w ogóle sądzić, że jesteśmy w stanie opisać świat? Świat można jedynie obserwować, można go doświadczać, ale przenieść do języka? Mógłbym porównać to co zobaczyłem do wnętrza katedry, ale czy oddałoby to monumentalność i majestatyczność tego miejsca? I kiedy tak zastanawiałem się nad tym wszystkim, zupełnie znikąd na budowlę spłynęła oślepiająca światłość. Zimny, niebieskawy blask przeniknął przez szczeliny w konstrukcji i dotknął mojej twarzy. Wtedy... wtedy się obudziłem.

Nie wiem, jak długo tak ciągnąłem, ale gdy skończyłem, doktor stał tuż przede mną i wrzeszczał, wymachując rękami.

– Musi pan natychmiast przestać! – krzyczał, a jego dłonie przelatowały tuż przed moimi oczami. – Słyszysz mnie pan? Proszę to skończyć!

– Już skończyłem – odrzekłem spokojnie. – Opowiedziałem panu mój sen.

– Nie ma pan pojęcia, co pan opowiedział. Będę musiał panu przepisać odpowiednie leki...

Powiedziawszy to, doktor zaczął gorączkowo szukać czegoś w swoim biurku.

– Doktorze, musi mi pan pomóc zrozumieć – zdawał się mnie nie słyszeć. – Co ja zobaczyłem we śnie?

– Zaraz znajdę coś, co panu pomoże – doktor ek zupełnie mnie ignorował. – Mam tutaj leki, które sprawią, że już nigdy nie zobaczy pan tych obrazów.

– Pan nie rozumie. Ja nie potrzebuję leków, ja potrzebuję moich snów!

Rzekłszy to, spostrzegłem, że doktor ek zniknął. Czyżby wyszedł na chwilę, nie ostrzegając mnie? A może siedziałem tu cały czas sam? Czy to możliwe, że wymyśliłem sobie tę rozmowę?

Po chwili orientuję się, że znów stoję przed drzwiami gabinetu. Ale tym razem jest inaczej. Nigdzie nie widzę klamki, a i światło w holu jakby jakieś mroczniejsze. Nagle drzwi zaczynają puchnąć. Skórzane obicie robi się coraz większe i większe, aż w końcu przebija się przez nie ludzka ręka. Zniszczona i pomarszczona o nienaturalnym kolorze wysuwa się z drzwi w moją stronę. Wygląda tak, jakby czekała na mnie. Rozglądam się dookoła, ale w holu nikogo nie ma. Nie zastanawiając się długo, wyciągam dłoń przed siebie. Tajemnicza ręka natychmiast chwyta mnie gdzieś na wysokości ramienia i wciąga przez otwór w drzwiach.

Na początku widziałem przed sobą tylko czern. Później moje oczy przystosowały się do ciemności i zacząłem rozpoznawać znajome mi kształty. Ogromne, w połowie żywe, w połowie martwe kolumny katedry ciągnęły się w dal, niknąc w mroku. Ich niezliczone rzędy tworzyły szeroką aleję, zapraszając potencjalnego pielgrzyma, do podążenia nią. Postanowiłem udać się zatem naprzód, aby dotrzeć na sam koniec katedry. Zawsze musi być jakiś koniec, prawda?

– Nicością byłeś i w nicość powrócisz – zaatakował mnie znieściska czyjś głos.

Obróciłem się w stronę, z której dobiegało wciąż echo wypowiedzianych przed momentem słów, ale dostrzegłem tylko kolejne kolumny.

– Nicością byłeś i w nicość powrócisz – powtórzyła katedra.

Tym razem głos przybył z innego zakątka budowli. Podeszedłem do jednej z kolumn i przyjrzałem się jej nieco bliżej. Konstrukcja przypominała trochę podziurawione i poszarpane mięśnie jakiejś piekielnej istoty. W gąszczu tych dziwacznych połączeń dostrzegłem nagle pewien zarys.

– Nie, to niemożliwe – wyszeptalem, nie wierząc w to, co właśnie widzę.

Nie miałem ze sobą żadnego źródła światła, więc jedyne co mogłem zrobić, aby upewnić się, że nie mam zwiądów, to włożyć rękę do wnętrza kolumny i spróbować wybadać, co tak naprawdę stanowi jej budulec. Delikatnie wodziłem koniuszkiem palców po zimnej, kamiennej powierzchni, aż w końcu dotarło do mnie, że dotykam czyjejś twarzy. Nie miałem zwiądów. W środku tkwił człowiek. Zdawał się być jednością z katedrą. Udało mi się dostrzec, że miał zamknięte oczy i wyglądał na bardzo spokojnego, wręcz odpoczywającego.

– Halo? – zwróciłem się do niego. – Czy... czy może mnie słyszysz? Ja na pewno słyszę ciebie.

Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. Podeszedłem więc do następnej kolumny, a potem kolejnej i kolejnej. W każdej z nich spoczywała ludzka istota uwięziona w płataninie organicznej materii wypełniającej katedrę. Ani jedna nie odpowiedziała na moje wołanie.

Podążałem dalej naprzód, wsłuchując się w chór katedry. Z każdym kolejnym krokiem kolumny przemawiały coraz głósniej – „nicością byłeś i w nicość powrócisz”. Głosy odbijały się od ścian, niosąc się echem po wnętrzu budowli. Z czasem słowa były coraz mniej zrozumiałe i zaczęły łączyć się w jeden ogłuszający dźwięk. W końcu ta kakofonia stała się nie do wytrzymania. Padłem na kolana, zakrywając uszy dłońmi.

– Proszę, już dość – wyszeptalem, nie licząc jednak na to, że katedra mnie wysłucha.

Ale wtem głosy zamilkły. Zupełnie jakby ktoś za pomocą jednego przycisku po prostu wyłączył dźwięk. W jednej chwili nastąpiła tak okropna cisza, że niemal słyszałem ból w mojej głowie. Z początku bałem się podnieść, myśląc że katedra tylko się ze mną bawi i że za moment znów uderzy mnie jej przytłaczający ryk. Nic takiego jednak nie nastąpiło, ostrożnie zacząłem więc wstawać. Zebrałem resztki siły woli, by zmusić swe nogi do posłuszeństwa i kontynuowałem marsz. Czułem, że koniec tej okropnej budowli jest już niedaleko. Bo przecież zawsze musi być jakiś koniec, prawda? A na końcu światło.

Nagle w oddali dostrzegłem zarys kolejnej kolumny katedry. W przeciwieństwie do pozostałych ta stała samotnie, wyrastając z miejsca, w którym zazwyczaj pewnie znajdowałby się ołtarz. Podeszedłem bliżej i po raz kolejny ujrzałem zespolonego z katedrą nieszczęśnika, ale tak jak kolumna, z którą się złączył, różniła się od pozostałych, tak i w nim było coś wyjątkowego. Jego twarz zastąpiła w chwili prawdziwego oświecenia, prawdziwej nirwany. Jakby w tym samym momencie doznał wszystkiego, co można poczuć w ludzkiej formie. Patrzyłem w oblicze tego człowieka i widziałem istotę, która niczego już nie potrzebuje. Nie ma żadnych pragnień, niczego nie odczuwa i w żaden sposób nie cierpi. Nagle zrozumiałem, że pragnę dokładnie tego samego. Delikatnie dotknąłem skamieniałego policzka mężczyzny. Ku mojemu zdumieniu na opuszkach moich palców poczułem całkowite nic. Choć me dłonie zatrzymały się na skórze twarzy uwięzionego człowieka, wysyłały do mnie sygnały, jakby niczego tam nie było. I w tej jednej sekundzie wszystko stało się dla mnie jasne. Stopniowo cała katedra zaczęła się rozpadać. Widziałem, jak w oddali z miejsca, z którego przyszedłem, kolumny rozszczały się na drobne części, a sufit budowli spadał w dół. Nie słyszałem krzyków. Zespoleni z katedrą ludzie nie potrafili już odczuwać cierpienia. Ja jednak mogłem. Nie wiedziałem, czy cały proces zajmie mikrosekundę, czy minutę i czy ból jeszcze mnie dosięgnie. Niewątpliwie jednak czułem strach. Kolumny jedna po drugiej upadały i rozsypywały się, aż w końcu cała katedra przestała istnieć.

Jestem teraz pośród doskonale czarnej pustki. Żadnych kontrastów, żadnych różnic, żadnych punktów odniesienia. Po prostu całkowicie czarna plansza gdziekolwiek nie spojrzeć. Pierwszy raz w życiu widzę więcej, zamykając oczy. A może właśnie o to chodzi? Może owo więcej zawsze było ze mną? Ten niezwykły widok, który ujawnia się jedynie wtedy, gdy zaciskamy powieki. Przez całe swe życie mogłem w każdej chwili zajrzeć w namiastkę tego mrocznego przestworu, który mnie teraz otacza. Nie, otacza to złe słowo. Przyjmuje na swoje łono. Czuję, że wracam do domu.

Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego. Ta czarna otchłań jest tak cudownie majestatyczna i nieskończona. Jestem tak bardzo niegodny złączenia się z nią, tak bardzo niegodny, a przecież to właśnie z niej się wywodzę. Wszyscy się z niej wywodzimy. Jesteśmy cieniami powstałymi z jednej czarnej mgły, jednego dzieła sztuki.

Czas jest tu już niepotrzebny. Nie ma dla czego płynąć. Wszystko dzieje się teraz i nigdy. Wreszcie opuściła mnie ta uciążliwa iluzja, jaka towarzyszyła mi całe życie. W końcu czuję już prawdziwie wolnym.

J, e, s, t, e, m. Litery powoli wymazywane z rzeczywistości. Mój budulec, mój kod staje się jednością z pochłaniającą mnie pustką. Słyszę dźwięk. Narastający pomruk nieskończoności dobiegający prosto z trzewi świata i rozprzestrzeniający się po niewyobrażalnym ogromie kosmosu. Przybył architekt. Największy artysta świata, choć zupełnie niewidoczny dla marnego oka. Dostrzegalne jest jedynie jego dzieło.

Nie potrafię już opisać ani tego, co widzę, ani tego co słyszę, ani tego co czuję. Słowa rozplývają się i przepadają na dobre. Znaki nie chcą tworzyć odpowiedniego kodu. Pozostały mi już tylko trzy najpiękniejsze litery na tym świecie. N, I, C.

Pontyfikalny powrót Przybyszewskiego

Na marginesie literówki „metempsychoza”

JERZY PASZEK

Nie napisałbym tego eseju, gdybym się nie zapoznał z bardzo potężną księgą (s. 656 dużego formatu, a i papier najwyższej klasy), zawierającą pierwszy tom edycji krytycznej „Dzieł Literackich” Stanisława Przybyszewskiego, czyli zapewne pionierski zbiór pięciu rapsodów pod jedną okładką: *Proza poetycka. Pentalogia: „Requiem aeternam”, „Z cyklu Wigilii”, „De profundis”, „Androgyne”, „Nad morzem”* (oprac. Gabriela Matuszek-Stec, Kraków 2022, używam skrótu: PPP). Prof. Zbigniew Goliński, gdy przed 1980 rokiem ustalał program 40 tomów „Pism Zebranych” Stefana Żeromskiego, zdecydował się na początku uzasadnić przed czytelnikami podstawy tak wysokiej oceny dorobku autora *Popiołów*, które mogły być fundamentem całego edytorskiego przedsięwzięcia (zob. *Wstęp do tomu Opowiadań Żeromskiego*, Warszawa 1981, s. 5): 1. dzieła tego powieściopisarza weszły do obowiązkowych lektur szkolnych, 2. twórczość ta była „przedmiotem dyskusji literackich i ogólnospołecznych, polemik, sporów, ostrych krytyk i entuzjastycznych pochwał”.

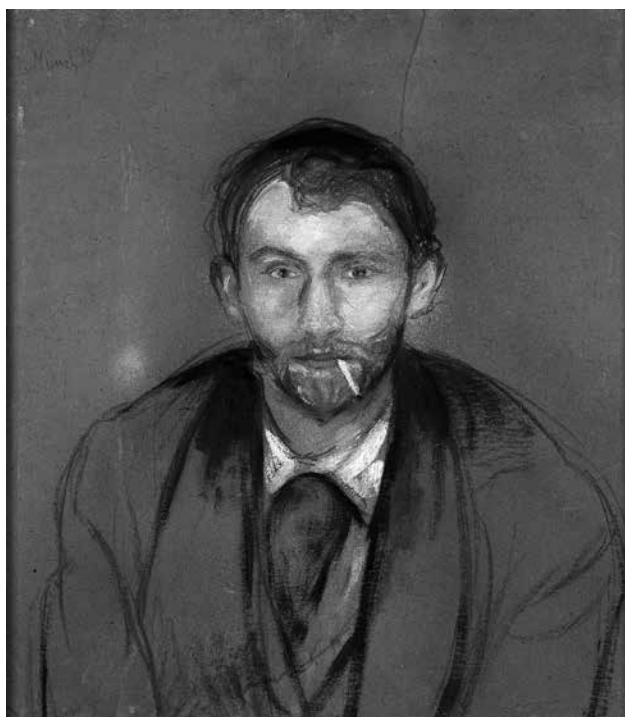
Gabriela Matuszek-Stec, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, także uzasadnia potrzebę wydania 11 tomów meteora Młodej Polski (napis na grobie „króla bohemy”): „Twórczość Przybyszewskiego na przełomie XIX i XX w. spotykała się z entuzjastycznym odbiorem, wywołując wręcz historyczne reakcje. Przez kilka lat dla jednych był bożyszczem, prawdziwą literacką gwiazdą, dla innych – szokującym grafomanem, demoralizatorem i satanistą” (PPP, 11).

Uważam, iż należało ogłosić omawiany tu tom, choćby po to, by dać wreszcie czytelnikowi do ręki wszystkie rapsody z ustalonym i skomentowanym tekstem, skonfrontowane z wcześniej-

szymi wersjami niemieckimi. Teraz łatwiej można będzie oceniać bodaj najważniejsze ogniwo długiego łańcucha powieści i dramatów, stworzonych przez Przybyszewskiego. Czy był on jednak tak samo ważnym pisarzem naszego modernizmu, jak mający zbiorowe edy-

roso, *Krzyk*, a równocześnie dramaty: *Dla szczęścia*, *Złote runo*, *Goście*, *Matka*, *Śnieg*, *Odwieczna baśń*, *Śluby*, *Gody życia*, *Topiel*, *Miasto*, *Mściciel* (zmieszczą się one w tomach 8–10, gdy powieści zajmą tomy 2–7), to jednak dorobek ten nie jest tak wszechstronny i wartościowy, jak twórczość Żeromskiego, uplasowana w planowanych 40 tomach (tu brak jeszcze 5 tomów *Dzienników* i tomu erratowego).

Synteza Hutnikiewicza wyróżnia się swoim językiem. Uważam, iż jest to styl patetyczny i bardzo wysoki, gdyż podłożem opisu dzieł literackich są tutaj długie zdania, pełne enumeracji i synonimów. Oto kilka takich urywków, gdzie składnia się autorowi wymyka z rąk: „Cała dramaturgia Przybyszewskiego [wymieniono 7 tytułów] o tym [o „winowajcach w błędnym kole bez wyjścia”] tylko mówiły” (MP, 207; ma być „mówiła”); „Lutosławski, profesor kilku uniwersytetów, badacz Platona [...], apodyktyczny propagator abstynencji i wstrzemięliwości i Przybyszewski, dla którego świat bez kobiet, cyganerii i narkotycznych oszłościomien byłby nie do zniesienia” (MP, 204–205; przed „i Przybyszewski” przydałaby się pauza, bo zbitka „i wstrzemięliwości i Przybyszewski” jest bardzo niezręczna); Przybyszewski „Łącząc naturalizm z metempsychozą [sic!] osobowość ludzką pojmował jako sumę przemian i przeobrażeń fizjologicznych, dokonujących się na nieskończonej przestrzeni czasu w procesie stale trwającej ewolucji” (MP, 205; literówka podpowiada i pychę, i spychanie; dałbym przed słowem osobowość przecinek); „U podstawy tego procesu zakładał istnienie czynnika jak gdyby syntetyzującego wszystkie owe przemiany, będącego rdzeniem osobowości, zapewniającym jej tożsamość, swoistego



Edward Munch, Stanisław Przybyszewski

Wypiański, Kasprowicz, Leśmian, Miciński, Reymont bądź Żeromski? Oto jest pytanie!

Gdyby wziąć pod uwagę książki prof. Artura Hutnikiewicza (1916–2005), autora wznawianej syntezy pt. *Młoda Polska* (Warszawa 1994, skrót MP) oraz wielokrotnie przedrukowywanej monografii popularnej *Stefan Żeromski* (1960, 1961, 1963, 1964, 1967, 1970, 1973, 1991) i monumentalnego tomu pt. *Żeromski* (1987, 2000, 2003, 2007), to nasuwałby się wniosek, że choć Przybyszewski napisał 3 trylogie powieściowe (*Homo sapiens*, *Synowie ziemi*, *Mocny człowiek*), jedną dylogię (*Dzieci nędzy*) oraz *Dzieci szatana*, *Il regno dolo-*

rodzaju najgłębszą świadomością człowieka” MP, 205; jest to zdanie następujące po cytowanym przeze mnie urywku; trzeba się domyślić, że „czynnik” jest „rdzeniem” oraz także „najgłębszą świadomością człowieka”).

Pisząc tak zawile i nieco niespójnie, Hutnikiewicz nie informuje czytelnika o realnych wpływach Przybyszewskiego na naszą literaturę przełomu wieków. Po tym, jak Miriam był zmuszony przerwać drukowaną w „Chimerze” powieść *Malaria*, tom pierwszy trylogii *Synowie ziemi* (autor miał kłopot z dostarczeniem redakcji czasopisma kolejnych odcinków, a redaktor przeczuwał skandal, jaki wynikł z ujawnienia, iż w utworze znajdują się aluzje do świeżego dramatu w trójkącie Kasprowicz – jego żona – kochanek) Berent został zaproszony przez Przesmyckiego do druku *Próchna* (zmieniona wersja jego dramatu pt. *Marzenia*), gdzie konkuruje z obrazem cyganerii, zaprezentowanym u rywala, czyli w *Malarii*. Jak się okazało, w trzecim tomie, *Zmierzchu*, to Przybyszewski wyzyskuje scenerię i sceny, zaprezentowane w *Próchni*! (zob. mój esej pt. *Bies jada Berenta* w libelli *Muchomorzy i zimowity. Kłacza i złącza powieści XX wieku*, Katowice 2003, s. 109–115).

Autor syntezy modernizmu znał język niemiecki (był więźniem obozów hitlerowskich), więc mógł zauważyć, iż rapsody Przybyszewskiego (*Totenmesse*, *Vigilien*, *De profundis*, *Am Meer*) „to poematy prozą, pisane po niemiecku jakimś dziwnym językiem, którego zastanawiający urok można było tłumaczyć nakładaniem się nań właściwości języka rodzimego, polskiego” (MP, 204; podkreślenia w tekście pochodzą ode mnie, J.P.). Hutnikiewicz zauważa w polszczyźnie autora *Synagogi szatana* liczne niedostatki: „**Język niedbały**, niejednokrotnie wchodzący w kolizję z elementarnymi normami poprawności gramatycznej” (MP, 210). Edytorka „Dzieł Literackich” często uzupełnia tekst Przybyszewskiego koniecznymi dodatkami: gdy autor pisze „złote plenniki” (PPP, 148), to w przypisie informuje, że poprawnie słowo to brzmi „plemniki”; poprawność słowa „spowicie” (PPP, 161) jest poparta cytatem ze *Słownika warszawskiego*, który cytuje właśnie Przybyszewskiego; „śnić o zamarłym przepychu, oprzędłym odwieczną pajęczyną” (PPP, 318; słowo „oprzędły” potraktowane jako błąd przez *Słownik warszawski*, ale dykjonarz ten cytuje znów tekst Przybyszewskiego); „ten pyszny naręcz kwiatów” (PPP, 239; rzeczownik „naręcz” ma albo rodzaj żeński, albo nijaki, ale nie męski, jak tutaj); „upieka południa” (PPP, 240; wyjaśniono, że to neologizm pisarza); „poła pozamieścia” (PPP, 243; edytorka mówi tu o neologizmie autora); „smutna zaduma wieczornych modeł” (PPP, 244; w przypie-



Stanisław i Dagny Przybyszewscy, 1987/1989

sie: ma być „modłów”); „przypieścić” (PPP, 266; nie podano, że to neologizm); „rozhukane tryśce” (PPP, 282; podano, że to neologizm). Najczęściej niepoprawnie używa Przybyszewski słowa „gdyby” zamiast „jak gdyby”: „poprzez ciało puszczała [matka walcząca z dzieckiem] gorące drgania, **gdyby** stado czołgających się żmij” (PPP, 113; nb. fraza „matka z swym dzieckiem” też wymaga korekty: „ze swym”); „padają miliony niewolników **gdyby** snopy zejrzałego żyta” (PPP, 116; podano, że „zejrzały” to neologizm); „kołysz się światło **gdyby** wahająca się, rozwiewna fala” (PPP, 120). Czy w całym tomie *Pentalogii* nie należy dopisywać autorowi „jak” opuszczanego przed „gdyby”?

Hutnikiewicz, charakteryzując bogate życie erotyczne Przybyszewskiego, wspomina o Dagny Juel (daje jej 2 podobizny, MP, 203 i 206) oraz o byłej żonie Kasprowicza (fotografia Jadwigi na s. 209), a zupełnie pomija matkę 3 dzieci pisarza, Martę Foerder, czy Bogumiłę Łukomską. Ta ostatnia przechowała młodzieńczy „dzienniczek” Przybyszewskiego, gdzie pisywał jeszcze bez stylizowanego „nadęcia”, choć manierystycznie: „Zresztą mi wszystko jedno – będę

się kochał bez wzajemności – będę cierpiał – będę tęsknił, jak już dziś tęsknić pocynam, ale wszystko mi jedno, nie będę walczył przeciwko temu uczuciu, po co i na co – jedna nędza mniej lub więcej – to na jedno. Zresztą, co za bażeczny eksperyment – kontrolować grę moich nerwów – być sobie świadomym każdego drgnięcia, które odczuję, każdej rozkoszy, każdego pragnienia – jakie miłość daje. Kocham ją stanowczo!” (zob. Krystyna Kolińska: *Stachu, jego kobiety i jego dzieci*, Kraków 1978, s. 60–61). Patetyczność przyszła później, a teraz zbliżamy się do pontyfikalnego powrotu satanisty. Janusz Sławiński pisze, jak na sesji IBL, poświęconej poezji doby międzywojennej (30 XI 1963), jakiś „szaraczek” zaatakował „pontyfikalnego Jarosława Iwaszkiewicza” („Teksty” 1981, nr 4–5, s. 310: Archiwalia. *Miłosz i Żagary*). Jako szaraczek mam nadzieję, że „pontyfikalny” (pon + ty + fika + lny) nie przesadza z tym fikaniem, a bardziej przynależy uroczystościom odprowadzającym przez biskupa. Bo PPP przypomina bardziej monumentalny, gregoriański mszał niż mój lingwistyczny, aczkolwiek czytany nawet w Chinach, *M-szał słówek!*

Anna Świrszczyńska uznawana była, także w swoich czasach, za autorkę wyjątkową, intrygującą, nieszablonową. Była wszakże twórczynią wszechstronną. Pisywała nie tylko poezję, prozę, dramaty sceniczne, słuchowiska radiowe czy widowiska telewizyjne, ale także utwory dla dzieci. Poruszała odważne tematy, tematyzując sytuację kobiet właściwie na każdym etapie ich życia, zaś jej utwory, stając w obronie słabszych, oddawały głos przede wszystkim tym, które były niezauważane, niedoceniane, wyzyskiwane czy na różne sposoby krzywdzone. Świrszczyńska bowiem – jak sama przyznawała – pisała poezję przede wszystkim po to, by „zmniejszać sumę cierpień na świecie” (*Wieczne zdziwienie [rozmowa z Anną Świrszczyńską]*). W: J. Baran: *Autor! Autor! Rozmowy z ludźmi pióra i palety*. Warszawa 1986, s. 47). Deklaracja ta, jak przekonuje Katarzyna Szopa, „zawiera w sobie całą złożoność poetyckiego programu autorki *Czarnych słów* – jej szczególnej wrażliwości na cierpienie i krzywdy oraz przekonanie o konieczności podjęcia walki o lepszy świat. Tworzeniu poezji towarzyszyć będzie zatem owo poczucie odpowiedzialności i niezgody na przeżywaną rzeczywistość – wiersz ma być wyrazem solidarności z najsłabszymi i najbardziej represjonowanymi grupami społecznymi” (s. 11). I takie w większości są utwory Świrszczyńskiej, które bezlitośnie diagnozując współczesność, opowiadają się po stronie tych, o których świat pamiętać nie chce lub których nie chce brać pod uwagę. Sprzeciwiając się przemocy i wyzyskowi (jakiego od stuleci doświadczają zwłaszcza kobiety), autorka *Cierpienia i radości* próbuje doprecyzować swoją dykcję poetycką, by jeszcze skuteczniej rozmontowywać reguły rządzące patriarchalną rzeczywistością. W tym kontekście jawi się zatem Świrszczyńska jako jedna z najważniejszych poetek współczesności, która pamiętając o przeszłości, nie boi się walczyć o lepsze jutro.

Z powodu wyrazistego tonu liryka Świrszczyńskiej została sproblematyzowana już na rozmaite sposoby. Dość przywołać choćby takie opracowania monograficzne, jak: *Jakiegoż to gościa mieliśmy. O Annie Świrszczyńskiej* (1996) Czesława Miłosza, *Gdzie jestem ja sama. O poezji Anny Świrszczyńskiej* (2004) Renaty Stawowy, *From her point of view: woman's anti-world in the poetry of Anna Świrszczyńska* (2007) Renaty Inbrant czy *Ciało, kobiecość i śmiech w poezji Anny Świrszczyńskiej* (2014) Agnieszki Stapkiewicz. Pojawiło się (także po 1989 roku) wiele szkiców problemowych częściowo ujmujących poruszaną przez tę poetkę pro-

W obronie (s)krzywdzonych

KSIAŻKI

AGNIESZKA NĘCKA-CZAPSKA

blematykę. Nie zmieniło to jednakże faktu, że autorka *Budowałam barykadę* sytuuje się raczej poza głównym nurtem zainteresowań badawczych. Nadal bowiem pozostało wiele aspektów do przeanalizowania i zinterpretowania. Tym bardziej cieszy kolejna, tym razem podjęta przez Katarzynę Szopę, próba zmierzenia się z twórczością Świrszczyńskiej. I to, jak można sądzić choćby po podtytule książki Szopy, próba nowatorska, pokazująca poetkę w nieco odmiennym świetle – reprodukcji życia społecznego. Wszak Świrszczyńska inspiracje czerpała z – mniej lub bardziej – przypadkowych spotkań z ludźmi, ukonkretniając swoją opowieść, dzięki której pragnęła wskazywać na konieczność redefinicji stosunków społecznych. W rezultacie Szopa wiele uwagi – co nie powinno dziwić – poświęca najgłośniejszemu, wydanemu w 1972 roku tomikowi noszącemu znamienity tytuł *Jestem baba*, patrząc przez jego pryzmat na całą twórczość Świrszczyńskiej. Jest to uzasadnione, wszak autorka *Szczęśliwa jak psi ogon* nieustannie powracała do problematyzowania opresyjnej sytuacji kobiet w patriarchalnym świecie. Ostrze krytyki poetka wymierzała przede wszystkim w słuźalczą rolę (doświadczającej zarówno przemocy fizycznej, jak i ekonomicznej) kobiety.

Tym samym zazwyczaj czytano pisarstwo Świrszczyńskiej przez pryzmat teorii feministycznych. Działo się tak za sprawą między innymi tego, że bohaterkami wierszy autorki *Czarnego kwadratu* stawały się zazwyczaj bite i poniżane kobiety z najniższych warstw społecznych, żebraczki, kobiety stare lub szalone, opiekunki chorych, chłopki, robotnice lub afry-



kańskie niewolnice. Jak stwierdziła Katarzyna Szopa, „Nic dziwnego, że to właśnie kwestia społecznej reprodukcji znajduje się niejako w centrum tej twórczości; stanowi ona bowiem newralgiczny obszar patriarchalno-kapitalistycznej akumulacji, a zarazem miejsce największego oporu” (s. 398). I właśnie w kontekście owej społecznej reprodukcji Szopa analizuje poezję Świrszczyńskiej. Badaczka dostrzega bowiem w poetce „kontynuatorkę lewicowych genealogii feministycznych, które domagają się rekonstrukcji i ponownego odkrycia” (s. 25), pokazując, że Świrszczyńska nie ograniczała się jedynie do tematyzowania „kobiecych doświadczeń”, a wykraczała poza schematyczne, tradycyjne obrazy. *Wybuch wyobraźni. Poezja Anny Świrszczyńskiej wobec reprodukcji życia społecznego* – bo taki tytuł nosi omawiana publikacja Szopy – tropi zatem w liryce autorki *Orfeusza* ślady świadomości feministycznej, patrząc jednak na nią nade wszystko przez pryzmat filozofii neomarksistowskiej. Trzeba przyznać, że mamy tu do czynienia z ciekawymi rozmyślaniami, prowadzącymi do intrygujących wniosków.

Wybuch wyobraźni... ma klarowną konstrukcję, dzięki czemu dość łatwo nadążyć za opowieścią Szopy, która swoje rozważania podzieliła na trzy – wzajemnie się uzupełniające – sekwencje: *Genealogie feminizmu*, *Praca reprodukcyjna*, *Praktyki ekstatyczne*, kolejno zajmując się wskazywaniem tradycji, z jakich wyrastała twórczość Świrszczyńskiej, badaniem obecnej w tym piśmarstwie kwestii społecznej reprodukcji oraz omawianiem tych przestrzeni, które można uznać za stawiające opór dewaluacyjnej pracy reprodukcyjnej

(w tym wypadku interesujące okazały się „wątki karnawału, tańca, zabawy, wojennych walk, ale też osobliwy projekt historiozoficzny i wpisana w niego polityka żałoby”; s. 26). Zastanawiając się nad najważniejszymi wyznacznikami poezji Świrszczyńskiej, niejako mimowolnie Szopa wkiła się również w spór o zasadność mówienia/pisania o literaturze kobiecej. Pojawiają się tu zatem dość szczegółowo przypomniane rozpoznania teoretyczek „kobiecego pisania”, ze szczególnym uwzględnieniem „metafory drożdży” Grażyny Borkowskiej, *écriture féminine* Hélène Cixous czy też konstatacji Luce Irigaray i Krystyny Kłosińskiej. Badaczka przybliżyła ponadto podstawowe informacje na temat ruchu Wages for Housework oraz Teorii Społecznej Reprodukcyjnej, patrząc dociekliwie i niechętnie na okres PRL-u, który narzucał na kobiety podwójne obowiązki: zawodowe i domowe, ale który był czasem najintensywniejszego publikowania zbiorów poetyckich Świrszczyńskiej. Czas ten odbił się wyraźnie w wierszach autorki *Czarnych słów*, dzięki czemu – jak słusznie zauważyła Szopa – „W poezji tej bynajmniej nie mamy do czynienia z ahistorycznym ujęciem patriarchy, które opiera się na ideologii wspólnej opresji kobiet. Przeważnie, problemy, z jakimi mierzy się robotnica z bloku wschodniego, nie są tożsame z problemami amerykańskich gospodyń domowych, o których pisała Betty Friedan w *Mistyce kobiecości* (1963)” (s. 31).

W efekcie, momentami w sposób bardzo drastyczny, pokazuje Świrszczyńska funkcjonowanie kobiety w rodzinie i społeczeństwie w realiach PRL-u, wychwytyjąc, poza wspomnianą już pracą reprodukcyjną, dodatkowo dwa tematy: pracę miłości i ekonomie opiekuńcze. Zdaniem Szopy, Świrszczyńska nie ma ambicji uniwersalistycznych, koncentruje się raczej na swoim „tu i teraz” i jednostkowych zdarzeniach. Omawia mechanizmy manipulujące kobietami, którym wmawia się między innymi, że miłość macierzyńska rekompensuje nieodpłatne wykonywanie prac domowych. Ale rodzenie nowego życia bywa też metaforą odradzania własnej tożsamości i budowania świata na nowo. Podobnie jest z ekonomiami opiekuńczymi, czyli: daru, długu, wymiany i poczucia solidarności, które łączy kobietę nie tylko z członkami jej własnej rodziny, ale także z osobami spoza niej, mogąc przerodzić się w pracę opiekuńczą. Jak przekonuje Szopa, ten rodzaj pracy „zyskuje u Świrszczyńskiej miano misji społecznej, której celem jest objęcie troską wszystkich potrzebujących; wyzwalanie mas ludzkich z cierpienia” (s. 194). Liczne przykła-

dy potwierdzające konieczność owej misyjnej solidarności i bezinteresownej pomocy znaleźć można w opisach Powstania Warszawskiego, w którym sama Świrszczyńska wzięła udział jako sanitariuszka. „W warunkach okupacyjnych, kiedy życie obywateli jest najbardziej narażone na wyniszczające skutki wojny, to cywile, a w głównej mierze cywilki przejmują na siebie obowiązki związane ze społeczną reprodukcją. Świrszczyńska w *Budowałam barykadę* ukazuje wszystkie te z pozoru niewidzialne i nieznaczące dla oficjalnej narracji historycznej działania, takie jak edukacja, opieka zdrowotna, budowanie barykad, zdobywanie pożywienia, odgruzowywanie kamienic i zasypanych w piwnicach ludzi, grzebanie zwłok, ratowanie życia czy walkę z okupantem, jako pracę w warunkach kryzysu” (s. 201). Nie ma tu jednak happy endu. Świrszczyńska ostrze krytyki wymierzała przeciwko tym, którzy „wystawili zbiorowość ludzką na wojenną katastrofę” (s. 202). Wylaniający się z wierszy poetki obraz wojny to przede wszystkim obraz niszczenia starych i budowania nowych relacji międzyludzkich. Walka o przetrwanie staje się bowiem w tej sytuacji najważniejsza, wypierając wszelkie inne, pozytywne aspekty społecznej wspólnotowości. Ratunkiem może być matczyzna żałoba, która przenosząc się z przestrzeni prywatnej do publicznej, destabilizuje zastane porządki (także te polityczne), dając szansę narodzić się nowej rzeczywistości. Zwłaszcza w tym kontekście drobne gesty, dotyk, pocałunek będą na wagę złota. Zresztą w przypadku poezji Świrszczyńskiej niebawale istotna okaże się cielesność, która niejednokrotnie powiązana bywa z erotyzmem, a ten z doświadczeniem ekstazy. Jak konstatuje Szopa, „Świrszczyńska celebrowała wizję cielesności wyswobodzonej z wszelkich ograniczeń. Praca reprodukcyjna urasta w jej wierszach do rangi niczym nieograniczonej boskiej siły, która jest w mocy stwarzania świata. Ta projekcja uwolnionej cielesności jest jedną z najbardziej wizjonerskich w polskiej poezji kobiet. Powstaje na przekór tym warunkom materialnym, w jakich funkcjonują baby, chłopki, proletariuszki i żebraczki” (s. 399). To kolejny dowód na to, że Świrszczyńska interesowała konkretne kobiety, mające określone problemy, żyjące w łatwych do doprecyzowania realiach społeczno-polityczno-gospodarczych. Poetka pozwala swoim bohaterkom nie tylko mówić o sobie, ale także mówić sobą. To niebawale ważne również w kontekście pracy twórczej, której nadrzędnym zadaniem ma być pomaganie słabszym i wykluczonym. Wszak zdaniem Świrszczyńskiej, „Wiersz to tunel, któ-

rym człowiek przychodzi do człowieka, klucz, który otwiera tego, co pisze, i tego, kto czyta” („Kultura” 1973, nr 8). Aby to otwarcie miało szansę zaistnieć, konieczne trzeba wypełnić kilka warunków. Owo „zaczarowanie świata”, o którym wspomina Szopa, może być jedynie iluzją. *Wybuch wyobraźni...* pokazuje bowiem obecny w twórczości autorki *Orfeusza* paradoks wiary w możliwość zmiany świata i przekonanie o tym, że klęska jest nieunikniona. Ale Świrszczyńska chce przekraczać narzucone ograniczenia, dlatego siłą napędową jej poezji staje się bunt, który ostatecznie prowadzi donikąd. Liryka wszakże nie dysponuje dostatecznie silnymi mocami kojącymi i mimo wszystko nie zmienia świata na lepsze. Tkwiące jednakże w nas doświadczenia i emocje dopominają się artykulacji, scalając to, co prywatne z tym, co ponadczasowe. Stąd kolejnymi wykorzystanymi przez Szopę kontekstami stały się definiowane za Michałem Löwym surrealizm oraz magia, groteska i karnawał. Istnieją bowiem przestrzenie oporu, które pozwalają na nowo podejmować walkę. To, co jednostkowe, czerpać może siłę z tego, co zbiorowe. Wszak „Ekstatyczne ciało pozostaje jednostkowe, lecz zawsze mieści w sobie niezliczoną ilość innych ciał i cały świat wraz z bogactwem jego ucieleśnień” (s. 102). Z tego też powodu, jak wyjaśnia Szopa, „Tematów przewijających się przez twórczość Świrszczyńskiej, jak: macierzyństwo, cielesność, dom, duchowość, magia, czary nie traktuję w kategoriach ahistorycznych i uniwersalnych doświadczeń kobiecości [...], lecz jako manifestację postulatów, które na przestrzeni dziejów charakteryzowały wszelkie bunty społeczne oraz walki o warunki wytwarzania życia. W moim przekonaniu poetka wskrzesza w swoich projektach nie tyle wizję wyzwolonej przyszłości, ile niespełnione marzenia o egalitarnym świecie, w którym nie byłoby już miejsca na krzywdy kobiet” (s. 253). Postulat równości i partnerstwa jako początek walki w obronie (s)krzywdzonych wydaje się dobrym punktem wyjścia do zmian społecznych. Podobnie, jak podjęta przez Katarzynę Szopę w *Wybuchu wyobraźni...* próba nowego odczytania poezji Anny Świrszczyńskiej, która nie tylko jest przekonująca, ale także zachęca do dalszego przyglądania się tej twórczości. ■

Katarzyna Szopa, *Wybuch wyobraźni. Poezja Anny Świrszczyńskiej wobec reprodukcji życia społecznego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2022, s. 440.

Kolejny tom arcyesejów Jerzego Paszka

KSIĄŻKI

MAREK PIECHOTA

Interesuję się od lat eseistyką Jerzego Paszka, „historyka literatury i edytora” – to formuła z hasła Marii Kotowskiej-Kachel w kompendium *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*. Oprac. zespół pod red. J. Czachowskiej i A. Szałağan. Tom szósty: N–P. Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1999, s. 271–273, i cenę ją tak wysoko, że część swoich zachwyty (ujęcie tego słowa w cudzysłów należyce by je wyróżniało, jednak mogłoby być mylące, gdyż nie mam tu na myśli jakiegokolwiek ironii, a o deszyfracji cudzysłowu jako tzw. „cudzysłowu ironicznego” decyduje wyłącznie kontekst, w którym intencja odgrywa niekiedy pierwsze skrzypce) ogłosiłem w miesięczniku „Słask” w recenzji pierwszego zbioru; zresztą lekturę tego czasopisma rozpoczynam niezmiennie od wstępnego artykułu Redaktora Naczelnego i perełek intelektualnych z cykli tytułowanych zrazu *Blask Arcydzieł*, później *Po-gwarcki Profesora*.

Tę recenzję otwierałem akapitem: „Żyjemy w czasach skłaniających humanistów do ubolewania nad zmniejszaniem rangi arcydzieł wypieranych w ponowoczesnej dyskusji o literaturze przez pospolite i merkantylne bestsellery. To już wystarczający powód do tego, by powitać zgrabnie zredagowany, pięknie i uczenie zestawiony tom Jerzego Paszka o lakonicznym tytule *Blask arcydzieł* (Katowice 2020, s. 230), a gromadzący rozbudowane i nasycone zachwytem nad sztuką w najlepszym wydaniu eseje ogłaszane w „Słasku” w latach 2017–2018. Zgrabność ujęcia przejawia się na wiele sposobów, choć nie wszystkie od razu wpadają w oko, niektóre są pochodną dokładniejszej analizy treści podczas wielce satysfakcjonującej nie tylko literaturoznawców lektury” (M. Piechota: *Arcyeseje o arcydziełach*. „Słask” 2020, nr 11, s. 58).

Ten wstęp mógłby równie dobrze odnosić się do tomu, który właśnie się ukazał: *Blask arcydzieł. Księga wtóra. O lśnieniach i olśnieniach*. Na tom pierwszy złożyło się 21 rozdziałów, zestawionych w trzech częściach po 7, plus dwa aneksy, bibliografia odnosząca się do poszczególnych rozdziałów, bibliografia w wyborze – do całości, *Indeks osobowy* (blisko 600 nazwisk), każdy rozdział uzupełniały i dokumentowały ślady lektury, lokalizujące źródła cytatów przypisy (ok. 225). Tytuł mej recenzji – *Arcyeseje o arcydziełach* – z zamierzoną aliteracją wzmocnioną dwusylabowym paralelizmem dobrze oddaje mój sąd o wartości naukowej i jakości estetycznej tego tomu, którego bohaterami tytułowymi poszczególnych rozdziałów są arcydzieła literatury światowej i polskiej: *Odyseja*, *Eneida*, *Bogurodzica*,

Fraszki, *Sonety*, *Monachomachia*, *Tygrys*, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, *Eugeniusz Oniegin*, *Pan Tadeusz*, *Dożywocie*, *Beniowski*, *Koty*, *Lalka*, *Popioły*, *Żywe kamienie*, *Ulisses*, *Ferdynand*, *Mistrz i Małgorzata*, *Kwiaty polskie*, *Blady płomień*. Mieliliśmy więc autorów literatury tradycyjnie zwanej powszechną: Homera, Wergiliusza, Szekspira (sonety), Jana Potockiego – bo dzieło napisał po francusku i do tej literatury i kultury pełnoprawnie należy, Puszkina, Baudelaire’a, Joyce’a i Nabokova, oraz polskiej: anonimowego autora naszej *Bogurodzicy*, Reja i Kochanowskiego (fraszki), Mickiewicza, Fredry, Słowackiego, Prusa, Żeromskiego, Berenta, Gombrowicza i Tuwima. Autorzy tworzący w języku polskim nieznacznie przeważali liczebnie. Eseje były ułożone w porządku historycznym, zatem Autor objął refleksją trzy tysiące lat dorobku literackiego ludzkości i nie czynił różnicy między literaturą tzw. „obcą” i „rodzimą”, badał arcydzieła poezji i prozy za pomocą tych samych narzędzi analitycznych. Mogę tu być w ocenie nie w pełni obiektywny, gdyż zajmuję w odniesieniu do historii literatury dokładnie takie samo stanowisko badawcze; gdy ogłosiłem tom o nachyleniu wybitnie komparatystycznym (*Niezapomniany czar arcydzieł* (*Anonim*, *Barańczak*, *Camus*...)). Katowice 2019, s. 267, traktowałem na równi dzieła twórców naszych i innojęzycznych, śledziłem z podziwem fluktuacje wątków i tematów krążących pomiędzy tymi – jakże różnorodnymi z punktu widzenia popularności i zasięgu oddziaływania – zespołami dorobku kulturowego naszej cywilizacji.

Bohaterami tomu drugiego są samotne (bez imion) nazwiska twórców literatury światowej i rodzimej, autorów wybitnych, niegdyś uznawanych za geniuszy pióra, a niektórzy z nich dziś są już raczej zaliczani do zapomnianych i pamiętają o nich jedynie profesjonalni znawcy historii literatury; są to: Anonim, Barańczak, Bartnicki, Berent, Bloom, Borges, Borowy, Bralczyk, Byron, Cervantes, Cortazar, Dąbrowska, Eco, Fik, Głowiński, Goliński, Haszek, Herbert, Iwaszkiewicz, Jakóbczyk, Jarczewski, Joyce, Kisiel, Kisielew-

ski, Kwiatkowski, Lubosz, Łobodowski (docieramy zatem do połowy naszego alfabetu). Tym razem twórcy „światowi” są w zdecydowanej mniejszości za ledwie ośmiu wobec aż dziewiętnastu. W gronie twórców rodzimych znalazła się nawet jedna Polka, wśród światowców nie ma kobiet, co pozostawiam tu bez komentarza, uprzedzę tylko, że w trzecim tomie ten niepoprawny politycznie parytet zostanie poprawiony. Czy w ogóle można mówić o parytetach w sferze sztuki? – to zagadnienie na osobny esej.

Porównanie dzieł i dorobku sław światowych i naszych nie musi wypadać niekorzystnie dla twórców krajowych. Paszek potrafi wyeksploatować wyższość – z solidnym filologicznym uzasadnieniem – ujęcia opisu średnio-wiecznej katedry w *Żywych kamieniach* Berenta nad opisem Eco w *Imieniu róży!* Mamy więc 27 rozdziałów (różnej objętości), od litery A do Ł, co sygnalizuje dość wyraźnie, że omawiam tu część *Blasków* wtórą, ale nie ostatnią! Eseista ma prawo wyboru, więcej mu wolno, nie musi stosować się do zakresu czynności intelektualnych autora monografii czy syntezy historyczno-literackiej, monumentalnych tomiszczy o całych prądach, epokach czy okresach w sztuce. Ma dostarczać także przyjemności czytelnikowi, ale i sam ma prawo czerpać radość z lektury – kolejnej lektury przedmiotu interpretacji i lektury własnego tekstu. Ma prawo wyboru, ale też nikt nie zwalnia wykładowcy akademickiego, zwłaszcza z takim dorobkiem, choć już na zasłużonej emeryturze, od obowiązków dydaktycznych i popularyzatorskich. Nie obowiązują go już w tym względzie wytyczne płynące z kolejnych wersji Krajowych Ram Kwalifikacyjnych ani stale aktualizowanych Ustaw o Szkolnictwie Wyższym. Obowiązuje go nadal etos akademicki, uniwersytecki (cokolwiek to jeszcze oznacza). Zatem wolno mu zajmować się dziełami i twórcami interesującymi dziś już tylko odbiorców „niszowych”.

Jak to już wiemy z lektury pierwszego tomu, Paszek – z wytrwałością ogarów, które „poszły w las” – tropi figury stylistyczne (zwane także przez znawców

poetyki i retoryki *nomen omen* tropami, z sądem, że to aspekt myśliwski, nie spotkamy się raczej w podręcznikach retoryki i poetyki), których nie rozpoznałyby większość czytelników, a znaczne ich grono nawet nie wie o ich istnieniu. Niektóre z nich mają nasze odpowiedniki, np. metafora to przenośnia, ale Autor ma wyraźną predylekcję do tych, które raczej wymagają rzutu oka, jeśli nie do dykcjonarzy terminów literackich, poetyki opisowej lub retoryki, to przynajmniej do słownika wyrazów obcych; np. w eseju drugim *Barańczak* Paszek tropi **zeugmy** (proste i złożone) i **syллеpsy**, podaje nawet definicję tej struktury syntaktycznej: „pojawia się wtedy, gdy słowo łączące dwa wyrażenia czy zdania »użyte zostało podstępnie, ponieważ jest właściwie homonimem, kryjącym dwa znaczenia«” – i tu mamy odesłanie do *Retoryki opisowej* Jerzego Ziombka oraz trzy wyjaśniające dalsze zawiłości przykłady. Rzecz zrozumiała, że czytelnik, który musi zajrzeć do słownika, aby zrozumieć, czym jest **homonim**, może się w tym momencie zniechęcić do dalszej lektury.

To nie jest tekst dla wszystkich, to tekst dla ponadprzeciętnie zainteresowanych (a są jeszcze tacy!) zagadnieniami literaturoznawczymi. I jeszcze się Autor dziwi w domknięciu tego eseju z aluzją do mowy Sędziego z *Pana Tadeusza* w ostatniej frazie zdania: „Żyję w czasach, gdy nawet profesorowie polonistyki nie wiedzą, co to jest chiazm! Doświadczyłem tego osobiście po napisaniu referatu, mającego dla wielu zbyt zagmatwany (a ja myślałem, że nagłówek sam się tłumaczy!) tytuł: *Chiazm Żeromskiego: od niepoprzednio popularności do niepoprzednio niepopularności*. Tak więc moje zajmowanie się zeugmą i syllepsą – pisał Paszek – nie jest rzeczą ani zbędną, ani małą!” (s. 25). Może jestem przesadnie uwrażliwiony i zbyt często spostrzegam w najrozmaitszych kontekstach nawiązania do *Pana Tadeusza*, ale pobrzmiewa mi w ostatnim tu przytoczonym zdaniu Paszka fraza w obrębie zapowiedzianej w epeicznym argumencie książki I *Gospodarstwo* „Ważnej Sędziego nauki o grzeczności”: „Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą” (w. 361).

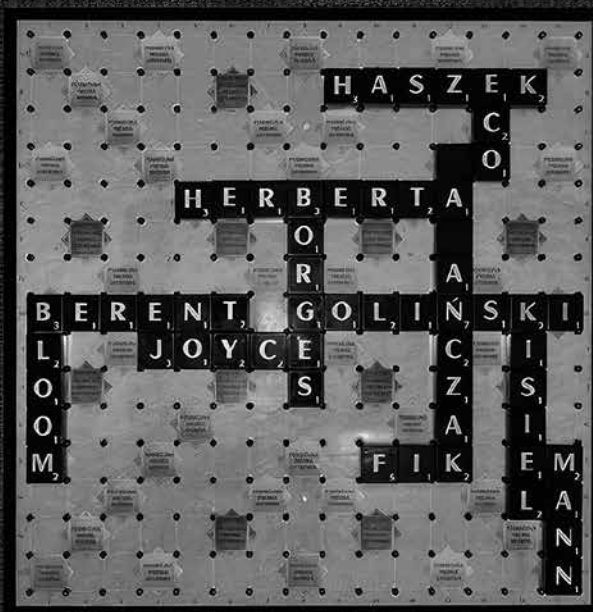
Nota bene 'chiazm' został zdefiniowany nieco później, w eseju o Herbercie na s. 137. Muszę też zachwycić się wyzyskaniem dwuznaczności pogrubionej tam frazy „**Wydaje się**” w anaforycznym domknięciu eseju o Golińskim i nie są to chiazmy ostatnie (por. wyzyskanie przez Eseiście smakowitych chiazmatycznych skwitowań Czechowicza przez Kwiatkowskiego na s. 192). To nie jest lektura dla każdego – powtarzam, ale każdy, wszyscy którzy podejmą trud przesłedzenia za Autorem zawiłych koincydencji tekstowych, fluktuacji

Jerzy Paszek

Blask arcydzieł

Księga wtóra

O lśnieniach i olśnieniach



„Śląsk”

przepliwów mniejszego lub większego zagęszczenia aluzyjności omawianych dzieł, otrzymują gwarancję, że będą usatysfakcjonowani.

Skoro wiem także, że Paszek nadal w zdumiewającym tempie pracuje nad tomem trzecim *Blasku arcydzieł* o podtytuł *Kwintet polskich noblistów* (pojawia się tam m.in. takie nazwiska: Mandelsztam, Th. Mann, Miłosz, Myśliwski, Nabokov, Orzeszkowa, Pilch, Proust, Przybora, Reymont, Sienkiewicz, Słowacki, Szymborska, Świerkocki, Tokarczuk, Urbański, Vincenz, Wyka, Zahorska, Żeromski...), mogę wyprowadzić już dziś wniosek uogólniający: jestem głęboko przekonany o tym, że gdy już ukaże się nowe, uzupełnione wydanie słownika *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*, po nazwisku Paszka będzie musiała pojawić się formuła rozszerzona o jeden waż-

ny element, mianowicie: „historyk literatury, edytor i eseista”. Na potrzeby tej recenzji dodam także, że mogłaby to być fraza nieco bogatsza „wybitny eseista”, ale wiem skądinąd, że redakcje uczonych leksykonów, bez jakichkolwiek kontekstów cenzorskich, z reguły (i dla zasady?), pewnie nawet z niejaką przyjemnością wycinają takie kwantyfikatory oceniające. A szkoda, bo eseje Paszka ukazujące się od lat w miesięczniku „Śląsk” i już cyklicznie w Wydawnictwie Naukowym pod szyldem naszej „małej ojczyzny”, zasługują na uwagę i wartościujące docenienie. ■

Jerzy Paszek: *Blask arcydzieł. Księga wtóra. O lśnieniach i olśnieniach*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” Sp. z o.o. Katowice 2023, s. 223.

Poza realnością

KATARZYNA SUCHARKIEWICZ

Zostaniesz dłużej? Czy raczej wyjdiesz – onieśmielony i niepewny? Zaskoczony obcością miejsca i przestrzeni, dystansem i beznamiętnością otaczającego cię świata? Zagubiony w zrekonstruowanej i zinterpretowanej na nowo rzeczywistości, w nowym układzie struktur architektonicznych, w labiryncie zwielokrotnionych form i kształtów, bliźniaczych detali? Porzucisz obcą ci, przejmującą ciszę, w równym stopniu osobliwie wabiącą, co złowieszczą?

A może to właśnie twój świat? Inny, intrygujący. Zostaniesz, bo urzeka cię ciepła barwa światła i spokój wyciszonych wnętrz, pozbawionych zgiełku nowoczesnych metropolii, rozległych tajemniczych krajobrazów. Uspokojenie odnajdujesz w harmonijnym zestawieniu barw, nieruchomości motywów i ich uporządkowaniu. W samotności, w pustce ulic i pomieszczeń. Tam trwasz poza realnością.

Obrazy Adama Patrzyka zatrzymują, przykuwają uwagę. Powstałe w ostatnim czasie prace to wielkoformatowe płótna z widokami akwenów, motywami miejskich wieżowców, budynków fabrycznych, bibliotek, podmiejskich moteli, sal teatralnych. Krajobrazy wzbogacone partiami zieleni, inspirowane opowieściami biblijnymi (Wieża Babel) i panoramami współczesnych aglomeracji. Doskonale zakomponowane i zrównoważone, charakteryzujące się sekwencyjnością i rytmem. Patrząc na nie, nie mamy wątpliwości, że artysta skrupulatnie realizuje założenia kompozycyjne. Wyobrażenia miejsc przenosi na podobrazie w sposób metodyczny, a wstępnym etapem pracy są precyzyjne wyliczenia i szkice przygotowawcze. Przywiązuje dużą wagę do perspektywy, przekonująco przedstawia relacje przestrzenne, głębię. Linie horyzontu umieszcza niekiedy wysoko, a widoki szeroko kadruje. Miasta podpatruje z różnych punktów i perspektyw. Ujęcia z góry, niektóre bardzo efektowne pozwalają zobaczyć fantazyjne w formie nadbudówki, płyty dachów, wieńczące gzymsy. Gmachy są majestatyczne, malownicze, ale nieprzystępne. Ich mozaikowe elewacje rozbite zostają refleksami światła i głębią faktury.

Nastrojowe nokturny z płonącym wieczornym widnokregiem, spowite stłumionym światłem. Rzeki i morza o wielobarwnych odbłyśkach na tafli

wody i mgłą zawieszoną w powietrzu tuż nad ich powierzchnią. Biblioteka z setkami woluminów wypełniających szczelnie regały, z mistrzowsko oddaną głębią i dynamizującymi, agresywnymi światłocieniowymi smugami na podłodze. Liryczny krajobraz z czerwonym neonem reklamowym wskazującym drogę do motelu – odsuniętego na dalszy plan parterowego budynku o rytmicznej, oświetlonej oranżowym światłem fasadzie. Prace działają na wyobraźnię. Malarz przekształca motywy w znaki i symbole. Za powszednimi scenami krywa się intensywność emocji i bogactwo znaczeń.

Wymieniłam występujące w twórczości Adama Patrzyka motywy, ale chciałabym uniknąć podporządkowania jego prac kryterium tematycznemu. Artysta wydaje się mało interesować fabułą i narracyjnością scen. W swoich oryginalnie skadrowanych obrazach koncentruje się przede wszystkim na świetle, fakturze i właściwościach samej barwy. W ostatnim czasie poszerzył gamę zestawień kolorystycznych. Rozbijając płamę, osiąga nowe, oryginalne efekty, zwiększa jej przestrzenność i głębię. To kolory, czasami umiejętnie skontrastowane, z wyrazistymi tonami niebieskości i zieleni, innym razem zestrojone harmonijnie w ciepłych odcieniach żółci i oranży, budują niepowtarzalny klimat tych przedstawień. Barwa ma swoją przestrzenność. Podobnie jak faktura – w wybranych partiach gładka, a miejscami bardziej wyrazista, impastowa, żłobiona. Ślady pędzla odcisnięte w gęstej, grubo nakładanej farbie stają się ważnym nośnikiem ekspresji. Szorstka powierzchnia załamuje światło, wzmacnia efekt trójwymiarowości. Malarz umiejętnie różnicuje jego natężenie i eksponuje kontrasty światłocieniowe. Nierzadko zestawia ze sobą dwa światła – naturalne (blask ukrytego pod widnokregiem słońca) i sztuczne (rozbłyśki padające z okien mieszkań, poświęty lamp i neonów ulicznych). Światło przekształca i odrealnia barwy oraz zarysy. Określa granice, inscenizuje, wywołuje złudzenie ruchu.

Artysta „gra” kontrastami wpisanymi zarówno w strukturę dzieł, w ich warstwę czysto malarską, jak i w tę znaczeniową. Z wycuciem i w odpowiednich proporcjach zestawia obszary zagęszczone motywami i pustką. Cza-

mi maksymalnie upraszcza strukturę obrazową, innym razem zaskakująco ją komplikuje. Dzięki m.in. kompozycji planów, bliskim kadrom i użyciu wyraźnego światłocienia obrazy nabierają monumentalnego charakteru. Obok płócien opartych na układach dość statycznych, z dominującymi liniami wertykalnymi zarysowanymi przez sylwetki wieżowców czy regały biblioteczne, pojawiają się też prace z wprowadzoną wyraźną asymetrią i kierunkami diagonalnymi. Paradoksalnie, efekt nierealności ulega spotęgowaniu przez zwielokrotnienie realnych elementów, kształtów i brył. To zamknięty autonomiczny świat, daleki od rzeczywistości, oparty na wielowarstwowych sprzecznościach. Owe dysonanse mogą drażnić i niepokoić. Biblioteki przekształcone zostają w misterne kompozycje, doskonałe i usystematyzowane, acz zaskakująco niefunkcjonalne i nieprzydatne dla użytkownika. Zabierając jeden tom z półki, zburzymy wypracowany układ całości. Zastanawia pustka na mostach łączących brzegi rzek, na bulwarach. Porusza widok niezamieszkałego pokoju z odizolowanymi od siebie przedmiotami: piecem kaflowym, różowym fotelem, wieszakiem bez ubrań, prostym łóżkiem. Tętniące życiem, hałaśliwe, męczące, dynamiczne aglomeracje wielkich miast stają się ostoją spokoju, ciszy, harmonii, równowagi. Przestrzenia bez ludzi, miejscem pozbawionym sztafazu, przepelnionym atmosferą wyobcowania. Płótna artysty to epizody osadzone w odrealnionej scenarii. O wyczuwalnym napięciu i dwuznacznej atmosferze. Dla jednych złowrogie, innym przynoszące ukojenie.

Warto podkreślić, że Adam Patrzyk unika oczywistych rozwiązań oraz motywów i ujęć będących nośnikiem jednoznacznie silnych emocji. Raczej je wycisza, niweluje, łagodzi. Jego malarstwo „przenosi nas ze świata ludzkiej aktywności do świata estetycznej przyjemności”, angażuje zmysły i zachęca do nawiązania indywidualnej relacji. Sztuka Adama Patrzyka jest aluzyjna, refleksyjna. Artysta dzieli się z nami mocno zindywidualizowanymi wizjami. Nie odtwarza otaczającej go rzeczywistości, lecz doznanie, jakie rzeczywistość ta u niego wywołuje. Ja w tym świecie, w „świecie pejzaży Patrzyka” czuję się bardzo dobrze. Zostanę na dłużej. ■



Bez tytułu, olej, płótno, 150 x 180 cm, 2001



Bez tytułu, olej, płótno, 120 x 140 cm, 2018







Bez tytułu, olej, płótno, 180 x 130 cm, 2020

Altowiolistka ze snu

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Nie przepadam za muzyką mikrosonorystyczną, która dzisiaj święci tryumfy. Mnóstwo kompozytorek i kompozytorów z poświęceniem godnym lepszej sprawy pisze w pocie czoła kolejne wypracowania na temat tego, co jeszcze można z danego instrumentu wydobyć. Tu stuknięcie, tam puknięcie, tutaj piszczenie, potem skrzypienie. A jeszcze dmuchanie, a jeszcze chuchanie, no i chrząkanie, no i cmokanie. Zrozpaczony instrument boleśnie protestuje, ale dosłownie szans nie ma, by go wysłuchano.

Co to jest mikrosonoryzm, który nazywam też sonoryzmem analitycznym? To muzyka, w której, kolokwialnie mówiąc, kompozytorki i kompozytorzy dzielą włos na czworo. Efekty dźwiękowe znane z dzieł Góreckiego, Pendereckiego, Schaeffera, Serockiego, Szalotka powstałych na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku (i później), poddaje się tu dalszej analizie i sublimacji: już nie wystarczy stuknąć palcem w pudło instrumentu – trzeba jeszcze wiedzieć, gdzie i w jaki sposób, czy paznokciem, czy opuszką palca, a może knykiem, a może uprzednio nałożonym napastrkiem lub gumką? Pomnożenie tych mikroefektów daje twórcom i twórcom dostęp do przewybornie zaopatrzonej spiżarni barw, co samo w sobie jest wspaniałe. Kolejnym dobrodziejstwem jest rozwój techniki gry. Jednak częstokroć dzieje się to kosztem ustępstw. Najłatwiej usłyszeć owe wariacje barwy w niskiej dynamice i wolnych tempach, aby dać słuchaczkom i słuchaczom czas na absorpcję tego, co właśnie brzmi. Narracja staje się fragmentaryczna i anonimowa jak w swego rodzaju muzyce punktualistycznej. Skupienie na ciągłe rozdrabnianie barwie i (niskiej) dynamice prowadzi do szybkiego zmęczenia materiału akustycznego, pozbawionego wyraźnych poziomych układów dźwiękowych (melodii) i pionów harmonicznym oraz sprezyzowanych rytmów, jakże dla muzyki i jej odbioru istotnych – utwory są wręcz nienaturalnie podobne, prezentacja barw w czasie – mimo ich ciągłej zmienności – kończy się znudzeniem. To, co zachwyca w muzyce Helmuta Lachenmanna, ojca tej tendencji, w muzyce jego epigonów staje się statyczną konwencją. Poszedłem na koncert tej muzyki. Wspaniali wykonawcy: flicystka, saksofonistka, wiolonczelistka, pianista i perkusista. Wspaniałe wykonania. Tylko że wszystkie utwory – wszystkie! – zaczęły się bezdźwięcznym dmuchaniem we flet i/lub saksofon. Utwory były (prawie) identyczne jak bliźnięta jednojajowe. Muzyka dla specjalistów w najlepszym i zarazem najgorszym tego zwrotu znaczeniach.

Ada Gentile, Alberto Caprioli, Hans-Joachim Hespos, Vinko Globokar, Helmut Lachenmann, Salvatore Sciarrino, Horacio Vaggione to nazwiska kluczowe w rozwoju nowej estetyki. W ich muzyce wyczuwam podskórną, metafizyczną energię, która wiedzie do epifanii. Takiej energii nie znajduję słuchając muzyki, którą piszą kopiujący ich partytury skrybowie, bo nie są to kompozytorzy z prawdziwego zdarzenia, „gdyż wystarczy im nabyty przed laty ‘sposób na muzykę’”, jak to lapidarnie ujął Bogusław Schaeffer.

Jak każda inna i ta muzyka zawdzięcza swój rozwój i egzystencję wyspecjalizowanym i technicznie fenomenalnym muzykom. To trzeba kochać, żeby to grać.

Kocha i gra tę muzykę artystka rzadko spotykana, z rodzaju tych, o których jako kompozytorzy marzymy, Aleksandra Demowska-Madejska. Urodziła się w Katowicach w rodzinie kresowych wygnańców. Tu też wyrastała, tu wybrała karierę muzyczną sięgając po altówkę, instrument o pięknym, ciepłym brzmieniu. Tak się składa, że altowiolistki i altowiolisci padają ofiarami żarćków (istnieje cała osobna kategoria żarćków „altówkowych”), np. Jaka jest różnica między altówką a trumną? W przypadku trumny zmarły jest wewnątrz.

Zarty na bok. Również w Katowicach Aleksandra uczęszczała do Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Karola Szymanowskiego na Osiedlu Tysiąclecia. Po jej ukończeniu przeniosła się do Warszawy. Tam wstąpiła do Akademii Muzycznej (dzisiaj to Uniwersytet Muzyczny) otrzymując magisterium. Studia uzupełniła w Antwerpii w znanym mi dobrze Królewskim Konserwatorium Flamandzkim, jednej z najlepszych europejskich uczelni muzycznych. Pracę doktorską obroniła w łódzkiej Akademii Muzycznej; tam też obecnie pracuje. Ma spore sukcesy konkursowe, w tym nie byle gdzie, gdyż w Salzburgu na prestiżowym Grand Prix Virtuoso zdobyła I nagrodę. Jako solistka i kameralistka wystąpiła m.in. na „Warszawskiej Jesieni”, „Poznańskiej Wiośnie Muzycznej, wrocławskim festiwalu „Musica Polonica Nova”, tamże na festiwalu „Musica Electronica Nova” oraz koncertach z cyklu „Musica Moderna” w Łodzi, nie mówiąc o koncertach zagranicznych. Pożyteczną inicjatywą Aleksandry jest kanał w portalu YouTube; umieszcza tam filmiki na temat współczesnego wykonawstwa i zaawansowanych technik gry altówkowej – te niedłgie wykłady są i przyjemne, i pożyteczne, sam się dużo nauczyłem oglądając je. A przy tym



to osoba o kolosalnej inteligencji oraz imponującej wiedzy wzbogaconych mądrym poczuciem humoru. Każda rozmowa z nią, nawet krótka wymiana tekstów, uczy mnie czegoś nowego. Jest znawczynią współczesnej literatury, nade wszystko współczesnej literatury japońskiej – ma wiedzę na poziomie akademickim. Zachwyca jej wrażliwość na kolory słów i rytmikę zdań. Gdy skomponowałem dla niej utwór na przestrojoną mikrotonowo altówkę i komputerową ścieżkę dźwiękową chciałem mu nadać tytuł, w którym pojawiłoby się jej imię. Zasugerowała znacznie efektywniejszy, lepiej oddający ducha muzyki: cytat z wiersza Zbigniewa Herberta, który solistka szepcze w ostatnim odcinku utworu. W tym przypadku wykonawczyni okazała się mądrzejsza i wrażliwsza niż sam kompozytor! Muzykę nowosonorystyczną, za którą co chyba jasne nie dam się zabić, gra z fantazją i zegarmistrzowską precyzją: wbrew sobie muszę powiedzieć, iż jej interpretacja – kolejna przydatna lekcja! – udowadniają, że w tym szaleństwie jest metoda. Zamawia utwory u polskich i zagranicznych kompozytorek i kompozytorów uzdolnionych (a nie wpływowych), bez oglądania się na potencjalne korzyści: zaproszenia na festiwale, koncerty, nagrania. Efektem tych zamówień jest np. bardzo dobry, wyrazowo głęboki, utwór krakowianki Katarzyny Taborowskiej *Opiłki na jedwabnej nici* na altówkę amplifikowaną (czyli wzmocnioną jak gitara elektryczna) i elektronikę (2022) oraz *Every Brach of Coral Will Hold Up the Moon* na altówkę amplifikowaną (2022) autorstwa Brytyjki Sarah Westwood, dzieło przepojone wysokiej klasy introwertyczną liryką nowego typu, która, przynajmniej dla mnie, przywołuje średniowieczną muzykę instrumentalną albo burdonową muzykę ludową.

Oto Aleksandra Demowska-Madejska, artystka kompletna, altowiolistka ze snu.

Modernizm zmienia Zawady

JAROSŁAW KAPSA

W Częstochowie nie da się pobrać podróżując tramwajem; to istotna zaleta posiadania tylko jednej linii. Mogłem się bezpiecznie zatopić w zadumie, obserwując wielkie grafitti – portret Sojczyńskiego „Warszycy” – pilnującego granicy między dzielnicą Śródmieście i Tysiąclecie.

Z modami się nie dyskutuje, pamięć o „Warszycy” staram się szanować. Trochę mi tylko żal, że ta dominanta pamięci przesłoniła niebanalną architekturę budynku znanego niegdyś jako „energetyk”.

Siedziba Zakładu Energetycznego powstała w 1965 r., według projektu Jacka Preisa, stając się symbolem nowej, modernistycznej architektury. Budynek odgrodzony od jezdnii dwóch ulic – al. Kościuszki i al. Jana Pawła II (dawnej Lenina) – zaaranżowaną zielenią, przyciągał wzrok przechodniów ceramiczną mozaiką projektu Henryka Kmiecica, obrazem nieregularnie rozrzuconych prostokątów. Ta mozaika przykryta została styropianem, w ramach energooszczędności, a na nowym tynku nakreślono „Warszycę”.

„Energetyk” zamykał Śródmieście, po drugiej stronie al. Lenina, w tym samym 1965 r. roku powstał 12-piętrowy „punktowiec”, najwyższy wówczas budynek w Częstochowie. Otwierał on perspektywę tworzącej się nowej dzielnicy, nazwanej – uchwałą Miejskiej Rady Narodowej z 1960 r. – Tysiącleciem. W 1965 r. „punktowiec” był samotną wyspą. Obok niego na terenie dawnych sadów, zwanych od właściciela „kolwachami”, była pętla tramwajowa. W tworzącym się nowym mieście wiadomym było, gdzie kończy się linia tramwajowa, tam także kończy się cywilizacja.

Przed wojną granicę cywilizacyjną narzuciła natura. Tam gdzie dziś jest ruchliwa droga krajowa, al. Jana Pawła II, płynął przez błotnistą łąkę ciek wodny, odprowadzający ścieki z Jasnej Góry i rynku Wieluńskiego. W latach trzydziestych część tego bagniska przykryto kostką granitową, budując autostradę. Rozważano koncepcję zabudowy, po jej północnej stronie, nowej dzielnicy. Plan ten przejęto w latach 50-tych, rewolucyjna koncepcja Czesława Kotela zmienić miała układ miasta z równoleżnikowego na południkowy. Aleja Najświętszej Maryi Panny traciła funkcję osi rozwojowej, nowa łączyła miała Hutę im. B. Bieruta i związaną z nią dzielnicę Raków (południe), z planowanymi osiedlami mieszkaniowymi na północy. W 1959 r. powstała arteria komunikacyjna wraz z linią tramwajową, od bramy

huty do wspomnianych „kolwachów”. Rok później, zgodnie z uchwałą MRN rozpoczęto projektowanie nowych osiedli. Obszar przyszłej dzielnicy nie był gęsto zabudowany, były tu gospodarstwa ogrodnicze. Najślynniejszy z tutejszych posesjonatów, właściciel szkoły ogrodniczej, pan Karol Zawada, wystawił i wydzierżawił armii rosyjskiej, duży budynek koszarowy. Może dzięki temu przestrzeń uzyskała identyfikację, nazywano ją Zawady. Po wojnie w gmachu dawnych koszar ulokowała się Politechnika. W pobliżu uczelni wybudowano inny duży obiekt publiczny: szpital. Łącznikiem z tymi obiektami była ul. Dąbrowskiego prowadząca od centralnego punktu miasta pl. Biegańskiego. Plan Koteli wyznaczył inną arterię – przedłużenie al. Kościuszki. W trakcie budowy, w 1964 r., zmarł przewodniczący Rady Państwa tow. Aleksander Zawadzki. Jego imię nadano nowej alei, pasowało to mieszkańcom, utwierdzając w ich świadomości nazwę Zawady.

Plan Koteli został Częstochowie narzucony w drodze uchwały prezydium rządu. Po 1956 r. nastąpiła decentralizacja w planowaniu przestrzennym, rolę projektanta naszej przestrzeni przejął katowicki Miastoprojekt z miejscowym oddziałem. Częstochowa była jednym z największych miast województwa katowickiego; inwazja modernizmu, która w stolicy regionu stworzyła Spodek, nowe centrum i osiedle Tysiąclecia, musiała także ujawnić się pod Jasną Górą. O takowym wzorze pisał w „Architekturze” (maj 1968 r) przewodniczący Prezydium MRN (odpowiednik obecnego prezydenta miasta) Tadeusz Kowalski. „Stworzenie ośrodków centralnych w innych miastach, a w szczególności w stolicy naszego województwa – Katowicach, potęguje coraz wyraźniejsze żądania społeczeństwa, aby i w Częstochowie utworzony został ośrodek centralny, który by nie tylko pełnił funkcje usługowe, ale stał się również odzwierciedleniem przemian politycznych, społecznych i ekonomicznych.” Wypowiedź na dotyczyła konkursu organizowanego wspólnie z SARP na „nowe centrum”. Tadeusz Kowalski stracił posadę, bo jego syna zidentyfikowano jako „marcowego chuligana”; przypomina o eksprezydencie rzeźba kobieta przy fontannie, obok urzędu miasta, zwana panią Kowalską. Tworzenie „nowego centrum” pozostało nieurzeczywistnioną mrzonką.

Wbrew naszym antykatowickich obiekcom i kompleksom, projektowane nowej

dzielnicy na Zawadach było wzorcowym przykładem współpracy architektów z obu miast. Projekt pierwszych osiedli mieszkalnych – Tysiąclecie Południe i Tysiąclecie – Północ realizował zespół częstochowski: Czesław Kotela, Maria Markiewicz-Migalska i Jan Buragiewicz, wpływ na jego kształt miał Juliusz Braun, który doprosił do sporządzenia studium nasłonecznienia architekta warszawskiego doc. Mieczysława Twarowskiego. W trakcie prac projektowych Czesław Kotela przeniesiony został do Katowic na stanowisko głównego architekta miasta, a katowicki architekt Wacław Zalewski wzmocnił częstochowską ekipę projektując osiedle Tysiąclecie – Zachód. Jego też projektem, choć przez niektórych przypisywanym Ściegiennemu, była dominanta – cztery wieżowce 11-piętrowe tworzące dominującą fasadę nad główną arterią komunikacyjną. Uzupełnieniem tej dominanty stał się budynek biurowy „Komobex-u”, oraz potężny „mrówkowiec”, oddany w 1971 r., projektowany przez Hannę Lemańską. Wkładem autorskim najślynniejszego architekta częstochowskiego modernizmu, Włodzimierza Ściegiennego, był projekt budynku mieszczącego luksusową restaurację „Adria”.

Plan zagospodarowania wydzielał przestrzeń po zachodniej stronie al. Zawadzkiego, rezerwując miejsce na rozbudowę obiektów częstochowskich uczelni. Katowicki architekt Jerzy Gotfried zaprojektował tu budynek Wydziału Elektrycznego oraz Klub „Politechnik” – centrum kultury studenckiej. Dostosowany do niskiej zabudowy budynków Politechniki był projekt osiedla mieszkaniowego w sąsiedztwie szpitala, sporządzony przez Bogdana Jezierskiego. Jezierski był także projektantem charakterystycznego budynku koktail-baru „Delicje” w narożniku al. Zawadzkiego i al. Lenina. Już po wybudowaniu nowej dzielnicy powierzono Jezierskiemu zaprojektowanie kampusu dla nowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Ambitny projekt zakładał budowę dwóch obiektów dwupiętrowych, nad nimi dominować miał 16-piętrowy gmach główny szkoły. Projekt sporządzony w 1976 r. został zrealizowany częściowo, na szczęście nie powstał uczelniany „drapacz chmur”; dominantą centrum miasta pozostała wieża Jasnej Góry.

Dla współczesnych odbiorców zaskakujący był fakt, że dzielnica, projektowana przez twórcze indywidualności, zachowała spójność urbanistyczną. Cechą

wspólną wszystkich osiedli było zatopienie budynków w zielonym otoczeniu, realizowano tu modernistyczna wizję miasta-ogrodu. Wzbogacono też przestrzeń wprowadzając artystyczne ozdobniki. Ceramiczną mozaikę na gmachu WSP zaprojektował Stanisław Łyszczarz, dziełem Władysława Łydzby były rzeźby plenerowe – „ryby” i „gołębie” – na skwerze w pobliżu ulicy Dekabrystów. „Adria”, której fasadę zdobiła mozaika z tłuczonych talerzy, utrzymywała poziom luksusowej restauracji, wabiąc eleganckimi dancingami. Przy ulicy Dekabrystów otwarto pływalnię letnią, po sąsiedztwie wybudowano w 1984 r. hale sportową „Polonia”, miejsce sukcesów miejscowej drużyny siatkówki.

Uwieńczeniem idei miasta-ogrodu, a jednocześnie północną granicą „Tysiąclecia”, stała się promenada XXX-lecia PRL, szeroki deptak spacerowy, zaprojektowany przez Jana Bajdę. Promenada łączyła nową pętlę tramwajową, linię przedłużoną w 1971 r. od „kolwachów” po kraniec al. Zawadzkiego, z Łaskiem Aniołowskim, dawnym poligonem wojskowym, zmieniającym w park wypoczynkowy. Promenadę realizował Komitet Społeczny kierowany przez dyrektora „Wykrometu” Leszka Tazbira; zgodnie z ówczesnym obyczajem szereg prac realizowano w czynnie społeczny. Promenada, wyposażona w amfiteatr, służyła organizacji różnych imprez zwanych kulturalnymi. Najważniejszymi były organizowane tu obchody święta 22 lipca, w rocznicę powstania „Polski Ludowej”, połączone ze świętem głównego organu prasowego PZPR „Trybuny Ludu”. Podczas dni świątecznych organizowano na Promenadzie kiermasze książkowe oraz sprzedaż poszukiwanych artykułów przemysłowych. Starano się przyciągnąć młodzież koncertami rockowymi. Promenada miała być dumą miasta, w lipcu 1976 r. osobiście wizytował to miejsce Edward Gierek.

Ze „złotą epoką” Gierka kojarzono całą dzielnicę, choć projekty i pierwsze budynki powstały jeszcze w czasach gomułkowskich. Dla mieszkańców do symbolicznym włączeniem Tysiąclecia do miasta stało się przedłużenie linii tramwajowej w 1971 r. Od 1974 r. przeniesiono tu pochody 1 majowe, ustawiając trybunę pod charakterystycznymi wieżowcami.

Stara Częstochowa, symbolizowana Alejami Najświętszej Marii Panny, miała odejść do lamusu; Tysiąclecie aspirowało do roli nowego centrum. Było tu wszystko co potrzebuje nowoczesne miasto: biurowce, żłobek, przedszkola, szkoły, świetlice kulturalne, różnorodne sklepy, hala sportowa, duży dom kultury (Klub Politechnik), kampus uczelniany i pawilon dla rzemieślników. Brakowało kościoła, na jego wzniesienie uzyskano zgodę dopiero w 1978 r., ale tego „nowoczesne” miasto nie potrzebowało.

Skoro było wszystko, a w dodatku umiejętnie wpisane w elegancką przestrzeń,

można zadać pytanie, dlaczego to miejsce nie stało się nowym centrum. Czy tylko przywiązanie mieszkańców do alejowych tradycji o tym zdecydowało? Być może jednak część winy za przyspieszoną degradację dzielnicy ponosi brak wyobraźni projektantów.

Idea miasta-ogrodu, zderzyła się z problemem skomunikowania mieszkańców. Osiedla miały być „sypialnią” dla robotników huty i położonych na południu miasta zakładów włókienniczych. Trzeba było dowozić mieszkańców do miejsc pracy, linia tramwajowa nie była w stanie tego udźwignąć. Ścisk w wagonach sygnalizował rytm pracy: na 6.00 dowożono robotników fizycznych, na 7.00 zakładową biurokrację, na 8.00 młodzież szkolną... Tramwaje toczyły się obwieszone girlandami ludzi. Po reformach Balcerowicza tłok w tramwajach zniknął, pojawiły się zatory na ulicach, skutek indywidualnej motoryzacji. Bloki Tysiąclecia projektowano trzymając się standardów lat 60-tych; na cztery mieszkania przypadało jedno miejsce parkingowe. Dziś minimum to dwa miejsca na mieszkanie. Inwazja samochodów zniszczyła zieleni, w otoczeniu bloków likwidowano trawniki, skwerki, nasadzenia krzewów, by z tej przestrzeni wyrwać kawałek miejsca pod fiata lub volkswagena. Zieleni okazała się bezpieczna, w teorii zajmować się nią powinna spółdzielnia mieszkaniowa, ale ta miała inne priorytety.

Tysiąclecie było księstwem udziałnym Spółdzielni „Nasza praca”. Do spółdzielni należały bloki z mieszkaniami i lokalami użytkowymi, otoczenie bloków, ulice między nimi, skwery i zieleńce, pawilony handlowe i świetlice dla mieszkańców. Nowoczesne społeczeństwo miało się integrować, tworzyć kolektyw; opiekunem ról zakładów pracy i spółdzielni mieszkaniowych miała przyspieszyć integrację. Projektowany mały metraż mieszkań tłumaczono koniecznością szukania oszczędności, by zwiększyć tempo przyrostu nowych mieszkań. Na Tysiącleciu obowiązywały normy: M-1 (pokój z wnęką kuchenną) 20–25 m²; M-2 (pokój z kuchnią) 25–35 m², M-3 (dwa pokoje) 40 m², M-4 (trzy pokoje) do 60 m². Większych mieszkań nie budowano, uznano, że mieszkania powyżej 85 m², nie mogą korzystać z wsparcia publicznego. Najbardziej upowszechniły się mieszkania M-3: jeden pokój duży zwany salonem, mały pokój na dziecko i mała kuchnia. Domniemywać można, że nowoczesna rodzina posiadać powinna tylko jedno dziecko; niestety „tradycjoniści” wychowywali 2 lub 3 dzieci, stąd upowszechnił się pomysł korzystania z łóżek piętrowych. Mała kuchnia też wynikała z przekonania, że nowoczesne społeczeństwo żywić się powinno w zakładowych stołówkach. Salon również nie był potrzebny, mieszkańcy mogli korzystać ze spółdzielczych świetlic, by tam integrować się do woli. Dla takich nowoczesnych rodzin wybudowano „mrowko-

wiec”, zamieszkały przez blisko 1000 osób. Niestety, nawet najnowocześniejsi ludzie nie są mrowkami, niechętnie integrują się w tego typu przymusowej zbiorowości.

Tysiąclecie zasiedlali przesiedleńcy z różnych stron: przybyłszy z podczęstochowskich wsi, młodzi ludzie przenoszący się ze zrujnowanych, starych osad fabrycznych Rakowa lub Ostatniego Grosza, mieszczanie wysiedleni z kamienic przy Alejach. Dla jednych, przyzwyczajonych do wygodek za stodołą, szokiem była winda, piecyk gazowy i toaleta w domu. Innych przygniatała ciasna przestrzeń. Dawne otoczenie było oswojone, znało się sąsiadów; tu trafiało się do mrowiska pełnego nieznanających się ludzi.

Początkowo wydawało się, że M-3, telewizor, meble, mały fiat to szczyt aspiracji nowoczesnego społeczeństwa. Otwarta w Lisowie fabryka domów dostarczała materiał na budowę tych wymarzonych M-3, w technologii wielkiej płyty. Projektanci nie przewidzieli bylejakości wykonania, wynikającej z braku umiejętności robotników, tandetności materiałów i wymuszonego tempa budowy. Do tego dochodziła plaga wynoszenia materiałów z budowy. Nowe mieszkanie wymagało generalnego remontu, zdobyć na to materiał można było z sąsiedniej budowy. „Głód mieszkaniowy”, przy wysokim przyroście demograficznym, był wciąż niezaspokojony, mieszkanie w bloku stanowiło istotną część marzeń o stabilizacji. Ale poprzeczka aspiracji została już podniesiona. Na Tysiącleciu rozpoczęto budowę „szeregowców” przy ul. Kiedrzyńskiej. Potem doszła realizacja przez Społeczny Komitet Budowy Domów Jednorodzinnych osiedla szeregowców i bliźniaków w pobliżu pętli tramwajowej. Ludzie nazwali to osiedle „spałkowem”, od nazwiska I sekretarza KM PZPR Kazimierza Spałka. Urok nowoczesnych blokowisk przestał działać, sny o przyszłości zastąpiły M-3, wizjami własnego domku z ogródkiem. Własny dom chronił prywatność, w blokach skazanym się było na 24-godzinną „kolektywizację”

Tysiąclecie zaczęło się brzydko starzeć. Przybierało ponury wygląd, zwłaszcza na tle nowych dzielnic: Północy i Parkitki. „Punktowce”, „mrowkowiec”, „falowiec”, dzieła architektury modernistycznej, przez zaniedbanie stawały się brudnymi i śmierdzącymi szlumsami.

Osiedle Tysiąclecia w Katowicach przeżyło próbę czasu, częstochowskie Tysiąclecie, niestety, nie... Może mogło być inaczej, gdyby ludzie uwierzyli w wartość tego miejsca, gdyby nie czekali na aktywność spółdzielczej biurokracji, lecz sami podjęli różnorodnie działania na rzecz rewitalizacji dzielnicy... Ale kto to zrobi? Dzielnica zasiedlana była półwieku temu, dziś stała się sypialnią dla emerytów. Młodzież wynosi się do Katowic, albo i jeszcze dalej.

Wokół górniczych konkursów literackich (I)

JACEK OKOŃ

Konkurs należy do dziedziny współzawodnictwa. Ścierają się w rywalizacji talenty, pomysły, realizacje. Nie inaczej w rywalizacji pisarzy i poetów. W efekcie powstają nowe fakty literackie, które ostatecznie liczą się bardziej niż kolejność na podium. Potencjalnym laureatom częściej przyświeca myśl, by dobrze wykorzystać szansę na zaistnienie, na wejście w środowisko, które wcześniej wydawało się szczytem marzeń.

W sferze działalności pozazawodowej robotników dominują konkursy plastyczne dla amatorów, zawody gołębiarskie, festiwale orkiestr, chórów i inne „przeglądy aktywności kulturalnej ludzi pracy”. Konkursów literackich jest nieporównanie mniej. Robotnicy piszący rzadko występowali w prasie jako laureaci. Ta sfera działalności twórczej ukazywała się w gazetach i czasopiśmie jak kometa, przez chwilę, a potem znów lata czekała, aż coś się ruszy, aż ktoś wpadnie na pomysł.

Gdyby zapytać uczestników o sposób, w jaki informacja o konkursie do nich dotarła, pewnie dostrzegliśmy w tym więcej przypadkowości lub opatrności niż efektu rozglądania się po licznych czasopiśmie (a to tam zwykle ukazują się ogłoszenia tego typu). Nawet czytelnicy prasy stricte literackiej mają obecnie tylko jakiś jeden ulubiony tytuł, chyba że akurat istotą ich działalności jest właśnie przegląd prasy. Sprawy konkursów, owszem, są gdzieś monitorowane. Ale rozpiętość tematyczna i niezbieżność z sobą licznych organizatorów nie czynią z konkursów literackich jednej, zintegrowanej dziedziny. Owocną działalność w tym względzie prowadzi Instytut Badań Literackich – Polska Bibliografia Literacka. W zasobach pod hasłem „konkurs” jest już 13.486 zapisów (stan na dzień 11.04.2023), i to w zakresie czasowym ograniczonym datami: 1989–2012. Wielka liczba pod datami wcześniejszymi, np. w ramach projektu „Laboratorium wiedzy o współczesnej kulturze polskiej”. Konkursy dla dzieci i młodzieży, poetyckie na różne tematy, na powieść spółdzielczą, na nową pieśń partyzancką (to ostatnie podaję za Janem Pietrzakiem).

Badając twórczość literacką górników, nie raz odnotowywałem fakt organizowania i rozstrzygnięcia konkursów literackich. W kontekście życia literackiego konkursy wpisywały się w triadę: grupy twórcze i warsztatowe – konkursy – wspomnienia, pamiętniki, powieści. Dlatego w tym tekście te wątki będą się przeplatać. Twórczość amatorska jako reguła, profesjonalizm jako wyjątek. W tle inicjatywnym prawie zawsze kluby robotników piszących, platformy spotkaniowe i warsztatowe, grupy twórcze, mecenat państwowy (ministerialny) i związkowy. Dopiero potem nazwiska, przeważnie na bieżąco mało znane: np. Stanisław Janota, rzadziej dobrze znane, np. Gustaw Morcinek, czy w swoim czasie dopiero wstępujące, np. Leon Wantuła.

Samo zjawisko „pisanie” w środowisku robotniczym wiąże się z zapotrzebowaniem redakcji na informacje z terenu. Posadowione to było w XIX-wiecznym ruchu robotniczym i jego prasie partyjnej. Za pióro sięgnęli liczni nowi korespondenci gazet i gazetek socjalistycznych, wprost do tego zachęceni przez redakcje. Organ PPS-u w zaborze pruskim „Gazeta Robotnicza” cyklicznie zamieszczała inseraty o treści: „Robotnicy! Donoście o wszystkich ważniejszych zajęciach w kopalniach, po fabrykach, hutach i warsztatach do Waszej Gazety”. W zagłębiowskim organie okręgowym PPS „Górnika” stale prowadzona była rubryka „Korespondencje”, w której anonimowi autorzy (lub o sygnaturach zastępczych, np. *Robotnik z kop.* „Kazimierz”) opisywali szczegółowo zajęcia w swych zakładach.

We wspomnieniach redaktora „Górnika”, posługującego się pseudonimem „Marek”, czytamy: „Po pewnym czasie, skąpy z początku poczet korespondentów tak się zwiększył, że napływały foliały całe wiadomości z kopalni i fabryk. Dumny byłem, gdy po długich zabiegach udało mi się zachęcić i robotnice do pisania korespondencji”. Stąd już tylko krok do porównywania talentów, płodności, solidności, wiarygodności – do rywalizacji pomiędzy korespondentami (w przyszłości, czyli naszej współczesności, dalekim echem stanie się idea Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy).

Zapewne z takich źródeł wypłynęła idea konkursów. Oczywiście już od dawna znano pojęcia: *poeta laureatus*, uwieńczenie, wawrzyn na głowie. Uhonorowanie wieńcem laurowym lub bluszczowym nie było jednoznaczne ze zwycięstwem w rywalizacji, raczej czymś w rodzaju dzisiejszej Literackiej Nagrody Nobla, uznaniem mistrzostwa. Do tego starożytnego zwyczaju powrócono w Odrodzeniu, poczynając od Petrarcki. Później uwieńczono także naszych: Dantyszka, Janickiego, Sarbiewskiego. Do dziś trwa także pamięć o pojedynku Mickiewicza i Słowackiego na improwizację. Rywalizacja poetów w znaczeniu sportowym podjęta została w czasach nowożytnych jeszcze przed I wojną światową w ramach odrodzonej idei igrzysk; w dwudziestolecu mieliśmy nawet złotego medalistę olimpijskiego, poetę Kazimierza Wierzyńskiego; także prozaika Jana Parandowskiego.

Współczesny kształt rywalizacji literackiej zaistniał już na pewno przed II wojną. Wtedy też pojawia się związek (trwały) z górnictwem. Przypomnijmy, że przedwojenną wielką sławę Gustawa Morcinka ugruntowała zwłaszcza dwutomowa powieść *Wyrobany chodnik*, która w 1931 roku w Śląskim Konkursie Literackim przyniosła mu pierwszą nagrodę w wysokości 12.500 złotych (przedwojennych) i kolejną nagrodę w niemal równoległym konkursie „Żołnierza Polskiego”.

Okres powojenny nadał zjawisku znamię ideowe, czy raczej ideologiczne, propagandowe. Tematem była praca, zwłaszcza praca robotnicza. Konkursy na Śląsku wpisały się głównie w taki kontekst historyczno-środowiskowy. Pokłosie kilku z nich trafiło do Muzeum Górnictwa Węglowego.

Zaraz po wojnie

Wśród nowych form działalności kulturalnej szczególne miejsce zajęły tzw. Domy Kultury (analogiczne formy przedwojenne, funkcjonujące pod innymi nazwami, stały się tematem tabu). Tu, pod okiem wykształconych instruktorów, miały znajdować ujście pozytywne energie dzieci robotników, tu miały ujawniać się talenty i tu można było pokazać się publiczności. Funkcję tę domy kultury spełniały w różnym stopniu, trudno nawet dziś negować sens ich ówczesnego istnienia czy dobrą wolę instruktorów. Wśród oferowanych „kółek zainteresowań” było też miejsce dla ewentualnych robotników piszących, gdyby chcieli się z sobą spotykać, wymieniać myśli i doskonalić warsztat. Że w tym kierunku pójść inicjatywy literatury robotniczej, można było domyślić się z analogicznych inicjatyw lokalnych, dziś powiedzielibyśmy „poziomych”, jako że usytuowanych poza strukturami formalnymi Związku Literatów Polskich, który pozostał związkiem elitarnym i hermetycznym. Lokalne inicjatywy literackie realizowano wtedy jednak pod auspicjami ZLP.

Przykładem takich oddolnych inicjatyw mogą być kluby literackie, powstające już od 1945 roku w Katowicach, Sosnow-

cu, Zabrze, Bytomiu, Porębie koło Zawiercia, Będzinie i innych dużych miastach Śląska i Zagłębia. Zebrania o charakterze otwartym i masowym miały formę spotkań z „ciekawymi ludźmi”, przyciągały liczną publiczność. Klub Literacki w Zabrzu powstał w 1947 roku. Zrzeszał on kilka miejscowych osób (urzędnicy, nauczyciele, inteligencja techniczna, jedna redaktorka czasopisma), aspirujących do miana pisarzy. Działał pod patronatem i dzięki subwencji oddziału katowickiego ZLP. Spotykano się m.in. w Domu Górnika (tak zwano zabrzańską siedzibę ZZG). Na prośbę organizacji zakładowych organizowano też spotkania na terenie miejscowych zakładów, także w kopalni „Zabrze”. Działalność trwała 4 lata, do roku 1951, kiedy to subwencję cofnięto, co stanowiło oficjalną przyczynę zakończenia działalności. Formuła tych spotkań miała charakter uniwersalny, przetrwała okres stalinowski i okazała się użyteczna w podejmowaniu większości późniejszych podobnych inicjatyw. Zbliżoną formułę miał potem np. Klub Literacki „Kontakt” w Rybniku.

Ważną rolę w piśmiennictwie górników odgrywa literatura pamiętnikarska i wspomnieniowa, do dziś stanowiąca materiał źródłowy dla badań naukowych. Do powstania większości tego typu opowieści walnie przyczyniły się właśnie konkursy literackie „na pamiętniki górników”, organizowane konsekwentnie przez Związek Zawodowy Górników, później przy wsparciu lokalnych periodyków lub wydawnictw.

Pierwszy konkurs ogłoszono w roku 1947. Ramy konkursu, dość wąskie (uczestnik musiał mieć przepracowane 25 lat w kopalni, być pracownikiem fizycznym, czyli zasadniczo starym górnikiem), zamknęły praktycznie możliwość udziału młodszym oraz pracownikom biurowym. Nadesłano 115 życiorysów. Część zebranego plonu została wydana dwa lata później w publikacji *Życiorysy górników* w opracowaniu Marii Żywirskiej (1904–1980) i ze wstępem Gustawa Morcinka. Na konkurs katowickiej rozgłośni radiowej w 1954 roku wpłynęło 200 opowieści górniczych. Późniejsze konkursy nie miały tak rygorystycznych ram, choć oczywiście, skierowane wprost do górników, gwarantowały, że autorami będą górnicy.

W 1954 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” wydała tom opowiadań górniczych Józefa Janika (1933-?) *Sprawa honoru*. Autor, będąc jeszcze uczniem Technikum Górniczego w Chorzowie-Batorym, został wyróżniony w konkursie w roku 1949. Miał wówczas 16 lat. Pierwszym opiekunem jego talentu był Jan Brzoza. Młody autor zapisał się do Koła Młodych przy oddziale ZLP w Katowicach, tworzył dalej. *Sprawa honoru* to zbiór sześciu opowiadań „o życiu górników, o sprawach produkcji, o kłopotach środowiska ZMP-owskiego, zwalczającego pijaństwo, bumelanctwo wśród młodzieży kopalnianej”. Wbrew pozorom, mimo zgodności „ogólnej wymowy” z zasadami socrealizmu, książka nie została oceniona pozytywnie. Recenzentka, Maria Klimas-Błahutowa, zacytowała (w kwartalniku „Śląsk Literacki”) fragment jednego z opowiadań, by zawyrokujeć, że „sytuacja jest mało prawdopodobna, robota literacka bardzo prymitywna. Resztę opowiadań (...) cechuje ta sama nieporadność narracji, to samo ubóstwo środków artystycznych”. W konkluzji recenzji napisała: „Sądzę, że środowisku, któremu Janik powinien być najbliższy, trudno będzie udźwignąć ciężar lektury utworów tak niedojrzałych. Jeszcze trudniej, mimo całego rabatu, tak chętnie udzielanego młodzieży, podejmującej twardy trud pisarski, usprawiedliwić publikację opowiadań, które wyszły spod tak niesprawnego pióra”.

Jako ciekawostkę dodam, że w tamtym czasie podobnej do powyższej bezkompromisowości można było oczekiwać m.in. od Zdzisława Hierowskiego. Dla tego surowego krytyka nie miało znaczenia, że ktoś jest górnikiem, synem górnika, ekspluatuje temat górniczy. Już przed wojną, oceniając opisy zawarte w powieści Adolfa Fierli, któremu do dziś towarzyszy etykieta „syn górnika z Zagłębia Karwińskiego”, Hierowski stwierdził, że są „pisane po prostu na ślepo według wzorów literatury odpustowej”, natomiast o wierszach poety wyraził się, że to istny „zalew łatwizny i niewyszukanego grafomaństwa”.

Nawet o bardzo ciekawych wierszach górniczych Włodzimierza Żelechowskiego wyraził się wtedy, że o ile nie wyrażają emocji czy refleksji, to „są suche, blade, ubogie w słownictwie i stylu...”.

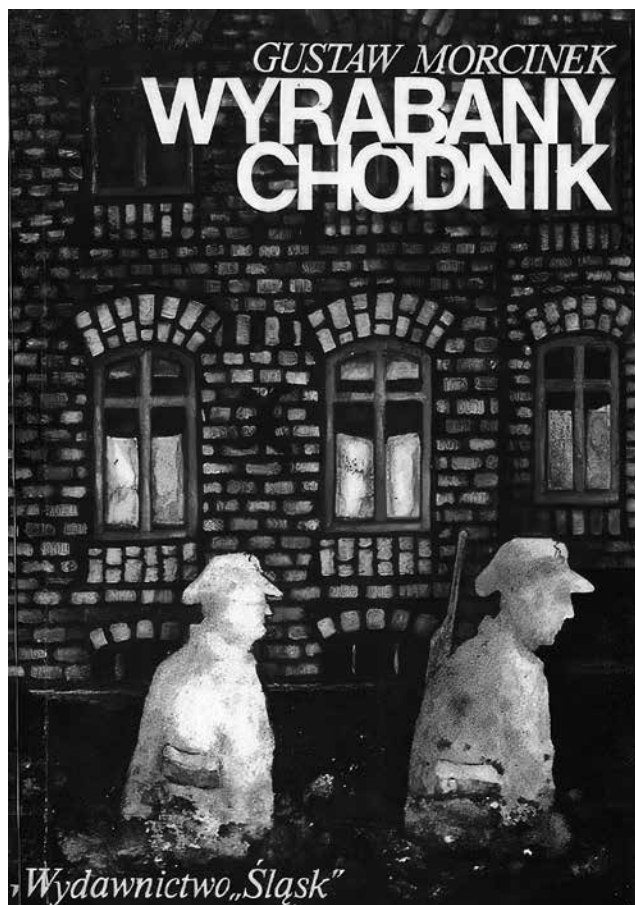
Lata sześćdziesiąte XX w.

Powstanie w roku 1962 w Katowicach dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Poglądy” (pod redakcją Wilhelma Szewczyka) pozwoliło na ożywienie środowisk twórców robotniczych. W 1965 roku przy redakcji tego pisma powstał pierwszy Klub Robotników Piszących. Kolejne pojawiły się dopiero w połowie lat siedemdziesiątych (1974 w Warszawie i 1978 w Zabrzu).

Katowicki Klub z przyczyn oczywistych jako jedyny miał wśród swych członków także górników, a tematy górnicze tutaj właśnie, na Górnym Śląsku, pojawiały się stale. Ogłaszano w tym czasie kolejne konkursy literackie na pamiętniki górników. Dzięki zliberalizowaniu warunków uczestnictwa poszerzyła się niepomniernie baza kadrowa tego środowiska i napłynął obfity materiał źródłowy. Tak było z konkursami z roku 1961, kiedy to uczestnicy powinni byli mieć przepracowane co najmniej dwa lata, czy z roku 1967, kiedy to rygory były jeszcze mniejsze, aż po konkurs na „Pamiętniki górników” z roku 1973.

W roku 1962 rozpisano konkurs na wspomnienia górników kopalni Zagłębia Dąbrowskiego. Przyczyna ogłoszenia konkursu: V Kongres Związków Zawodowych, a organizatorami Związek Zawodowy Górników i Dyrekcja Dąbrowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Sosnowcu. Uczestnikom, którzy przepracowali co najmniej dwa lata w jednej z tamtejszych kopalni, dano na napisanie i przesłanie pracy nieco ponad trzy miesiące. W warunkach konkursu podano, co przytaczam tu jako ciekawostkę: „Wspomnienia górnicze winny być autentyczne, zgodne z prawdą. Najlepiej, by pisał je sam górnik, własnymi słowami”.

Z pisma do organizatorów uczestnika tamtego konkursu, Konstantego Jaworskiego, autora pracy *Widziałem śmierć!*, wynotowuję słowa o motywacji do uczestnictwa: „Miałem zamiar napisać obszerne opowiadanie o swojej pracy w kopalni węgla, dawn. »Hr. Renard«, a obecnie »Sosnowiec«, od 1937



do 1945 r. Jednakże z powodu słabego zdrowia i pracy zawodowej, ciągle odkładałem to na później. Przypadek zdarzył, że w początkach sierpnia br. [tj. 1961] dostał mi się do rąk kawałek gazety z ogłoszeniem konkursu na opowiadanie górnicze i to mnie poderwało do opisania jednego istotnego wydarzenia, którego byłem naocznym świadkiem”. Wydaje się, że jest w tym coś z reguły.

W tym samym okresie rozpisano konkurs „Życie górników w anegdocie, piosence, klechdzie i obyczajach”. Propozycję skierowano do uczniów szkół górniczych. Zamiast tytułów prac często powtarzał się nagłówek „Wypracowanie konkursowe”. Uczniowie ZSG przy kop. „Kleofas” powtarzali w tytule rękopisu frazę „Według opowiadania naszego profesora ob. inż. R. Niebroja”.

Na początku lat sześćdziesiątych XX w. powstał w Rybniku Klub Literacki „Kontakty”, którego działalność zaowocowała imprezą masową w postaci Rybnickich Dni Literatury, kiedy to do Rybnika zjeżdżali jednocześnie tacy pisarze jak Wisława Szymborska, Jan Dobraczyński, Julian Przyboś, Stefan Wiechecki, Kornelia Dobkiewiczowa, Wilhelm Szewczyk, Stanisław Ryszard Dobrowolski. Jednym z organizatorów tej imprezy był miejscowy górnik-pisarz, Leon Wantuła (1928–2005), członek ZLP. W trakcie Dni odbywały się konkursy literackie na wiersz, opowiadanie i reportaż. Wśród laureatów byli m.in. Teresa Ferenc, Tadeusz Kijonka, Andrzej K. Waśkiewicz. Najwyższą nagrodą była Złota Lampka Górnicza. Zarówno Klub „Kontakty” jak i Rybnickie Dni Literatury korzystały z mecenatu Związku Zawodowego Górników.

W roku 1966 ukazała się publikacja pokonkursowa pt. „Pamiętniki inżynierów”, a w niej m.in. wyróżniony pamiętnik dra inż. Witolda Zyka z okresu budowy kopalni „Nowy Wirek”, zasztyfowanej w pamiętniku pod nazwą „Nowa Głęboka”. W nowych czasach (2015) autor wyjaśnił w „Górniku Polskim” przyczynę tamtego kamuflażu: „Mój pamiętnik został wyróżniony i skierowany do druku w pokonkursowej publikacji. Okazało się przy tej okazji, że kopalnia »Nowy Wirek« nie może się tak nazywać w druku, bo to nowa kopalnia, chluba narodowa, a ja opisałem tam różne trudności, więc to nie powinno przedostać się do niepowołanych rąk. Wydaje mi się, że kopalnię tę potraktowano w tym przypadku jako coś ściśle tajnego. Redaktorzy publikacji polecili mi zakamuflować kopalnię pod inną nazwą. W moim pamiętniku nosi więc ona nazwę »Nowa Głęboka«. Takie to były czasy”.

W tym miejscu odnotujemy jeszcze działalność ministra Jana Mitręgi jako państwowego mecenasa kultury. Popierał on działalność kopalnianych domów kultury, patronując imprezom i twórczości nieprofesjonalnej, zwłaszcza muzycznej i plastycznej. Wydaje się, że podobne zaangażowanie w sprawy twórczości literackiej spowodowane było osobistą przyjaźnią z Wilhelmem Szewczykiem, a także znajomością z Gustawem Morcinkiem, „piewca górniczego trudu”. W tej dziedzinie Jan Mitręga zasłużył się jako organizator instytucjonalny (MGiE) licznych konkursów literackich, w tym dwóch o randze ogólnokrajowej na powieść o tematyce górniczej.

Morcinek i Wantuła – konkursowi rywale

Na początkowy, jeszcze pełen nadziei okres odwilży gomułkowskiej przypadają ostatnie lata życia i twórczości Gustawa Morcinka. Spośród wszystkich odnotowanych tu „górników-pisarzy” on właśnie osiągnął sukces niekwestionowany. Upadek stalinizmu nie zaszkodził mu jako pisarzowi „nurtu pracy”, a nieudane próby socrealistyczne posłużyły jako ogniwa uczenia się na własnych błędach. Zostało mu też wtedy na krótko zapomniane, że po śmierci Stalina wytypowano go do odczytania uchwały zmieniającej nazwę Katowice na Stalinogród.

Ostatnie cztery lata życia Gustawa Morcinka, gdy był już poważnie chory na białaczkę limfatyczną, to nadal okres intensywnego nabywania doświadczeń życiowych. Jest to czas wyjazdów turystycznych, rekonwalescencyjnych i roboczych – Węgry (Budapeszt), ZSRR (Odessa, Suchumi, Soczi), NRD

(Berlin, Budziszyn, Weimar, Lipsk, Drezno), Rumunia (Bukareszt, Jassy), Egipt, Grecja, rejs m/s „Batorym” po Atlantyku (Malaga, Tanger, Casablanka, Wyspy Kanaryjskie). Na 70-lecie jego urodzin wydano księgę jubileuszową, a w niej teksty wybitnych pisarzy; sam jubileusz był nie mniej uroczysty. Ukazały się nowe powieści: *Czarna Julka*, *Victoria* (uznawana za ostatni podryg socrealizmu w jego twórczości), *Siedem zegarków kopidoła Joachima Rybki*, *Opowieść o ludziach z pociągu*. Ukończył – przed samą śmiercią – *Górnicy zakon*. Pisząc tę ostatnią książkę, odbył wiele rozmów, odwiedził też Centralną Stację Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, poznając realia potrzebne do wiarygodnego opisanie. Zdążył dowiedzieć się, że w konkursie literackim na powieść współczesną o tematyce górniczej *Górnicy zakon* zajął dopiero trzecie miejsce, a i to *ex aequo*.

Konkurs ogłoszono w roku 1961, a jego rozstrzygnięcie nastąpiło w grudniu 1963 roku. Patronami konkursu byli: Ministerstwo Górnictwa i Energetyki, Związek Zawodowy Górników, Wydawnictwo „Śląsk” i katowicki oddział Związku Literatów Polskich. Jury składało się z pisarzy i krytyków, z których zdaniem liczone się wówczas bezwzględnie. Wyniki konkursu podano do wiadomości publicznej 18 grudnia 1963. Następnego dnia pisarz zmarł.

Jednym z organizatorów Rybnickich Dni Literatury był miejscowy górnik-pisarz, Leon Wantuła (1928–2005), członek ZLP. Wśród powieści Wantuły szczególne miejsce zajmuje pozycja *Urodzeni w dymach*. Książka powstała z przeznaczeniem na wspomniany wyżej konkurs literacki na powieść o tematyce górniczej. Pierwszej nagrody wtedy nie przyznano, ale powieść Wantuły zajęła *ex aequo* drugie miejsce, dzieląc je z powieściami Jana Pierzchały i Albina Siekierskiego. Gustaw Morcinek, który nadesłał na konkurs swój znakomity/niezły *Górnicy zakon*, zajął, jak wspomniano wyżej, *ex aequo* trzecie miejsce, Monice Warneńskiej przypadło w udziale wyróżnienie. W tym znamienitym, jak na ów czas, gronie Wantuła był jedynym praktykującym pracownikiem górnictwa. Dla historii literatury na Śląsku istotne jest poza tym, że taka decyzja sądu konkursowego stanowiła przełamanie dominacji, jeśli nie monopolu Gustawa Morcinka w tematyce górniczej.

Tą trzecią z kolei w swoim dorobku książką (chodzi o *Urodzeni w dymach*) Wantuła potwierdził ponadprzeciętny talent. W życiorysie pisarza ważnym punktem jest fakt jego przynależności partyjnej. Pozostając pracownikiem powierzchniowym kopalni Chwałowice, był jednocześnie członkiem Komitetu Centralnego PZPR, delegatem na Zjazd Partii. W tym charakterze utrwaliła go na taśmie (dziś w internecie w serwisie Radia Wolności) audycja Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, czyniąc dostępnym jego zjazdowe przemówienie.

Czy powieść *Urodzeni w dymach* zasługiwała na nagrodę? Czy była lepsza (o jeden szczebel) niż *Górnicy zakon* Morcinka? W ocenie literatury dużo jest względności, gustów, znajomości, upodobań, wiele może moda literacka, poprawność polityczna itp. Wydaje się, że Morcinek powtarzał już wtedy swą manierę, swoje widzenie świata, sposób pisania, można rzec, że swą doskonałość pisarską. Już nie poszukiwał, nie udoskonalał. Wantuła dopiero wstępował. A wstępując, sięgnął po temat „delikatny”: śląskie remanenty i resentymenty, widząc to po swojemu, po śląsku, czasem ryzykownie (*Trzecia grupa* [volkslisty], *Hitlerjugend*, przymusowe wcielanie [do Wehrmachtu], śpiew „Wir werden weiter marschieren, bis alles in Scherben fällt...”).

Talent Wantuły został potwierdzony także w kolejnym konkursie zamkniętym na powieść o tematyce górniczej, zorganizowanym pod podobnie wysokim patronatem Ministerstwa i ZLP w roku 1978. Autor otrzymał tam nagrodę i wyróżnienie. Jego losy po 1989 roku nie są już tak owocne. Nie próbował wpisać się w nowe realia życia. We wrześniu 1989 roku wsiadł w autokar i wyjechał do Niemiec Zachodnich, gdzie mieszkała część rodziny. Nie wydał już ani jednej książki. ■

Jaka była, jaka jest, i jaka...?

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Ten dzień, tak ważny w polskiej kulturze i tradycji, to klasyczne przedświęcie. Ale o istocie Wigilii zazwyczaj zapominamy, a to przecież koniec Adwentu. W religijnym rozumieniu to czas czuwania (od łac. *vigilare*). Czas czuwania i dodatkowo – co zawsze głosiła myśl ludowa – czas oczekiwania na narodzenie Dzieciątka Jezus. Na obszarze ziem Polski Wigilia pojawiła się w XVIII wieku, ale już w następnym nabrała cech niezwykłych. Urzekająca i wręcz upajająca swoim urokiem, tajemniczością, niepowtarzalną atmosferą, ale też podniosłym religijnym przeżyciem, niezwykłym trwaniem obrzędowości, obyczajowości, folkloru i magii. Już znakomity Zygmunt Gloger pisał w 1900 roku, że jest to dzień, który cechuje rodzinna, domowa i serdeczna atmosfera. Czas pojednania, rozmyślań i refleksji. W kategoriach antropologicznych trzeba kategorycznie stwierdzić, że ów dzień miał też kategorycznie „graniczne położenie”. Dlaczego? Bo przynależał do Adwentu, ale zarazem już swoiście zapowiadał Boże Narodzenie. W konsekwencji Wigilia to tradycja, w której poprzez konkretne zachowania znormalizowane kulturowo odzwierciedlały się konkretne akty dramatu wigilijnego. To wynikało właśnie z jego położenia.

Był to dzień nasycony tradycją religijną i ludową, wiejską, a w naszych realiach górnośląskich – także robotniczą. Już sam początek Wigilii nawiązywał do odległej przeszłości, ale i do Kosmosu. To przecież gwiazda na niebie rozpoczynała wędrówkę Trzech Króli do Betlejem, a dla Polaków była znakiem rozpoczynającym Wigilię. I trzeba się tu zgodzić z Michailem Bachtinem, rosyjskim badaczem, który w odniesieniu do Słowiańszczyzny pisał, że w Wigilię i święta cyklu bożonarodze-

niowego „rolę wiodącą pełniły zawsze momenty śmierci i odrodzenia, zmiany i odnowienia”. Dlatego na Górnym Śląsku jeszcze w latach międzywojnia najstarszy z domowników wychodził przed dom i zapraszał na wieczerzę wszystkich zmarłych członków rodziny. Bo przecież Wigilia to także swoiste go rodzaju uczta zmarłych i żyjących.

Rodziło się nawiązanie do Ostatniej Wieczerzy. Na stole podawano z reguły dwanaście potraw. To na pamiątkę dwunastu apostołów, którzy siedzieli przy wspomnianej uczcie. A poza tym tradycja chrześcijańska odwołuje się do Pisma Świętego, czyli do dwunastu synów Jakuba, dwunastu plemion żydowskich, dwunastu bram Jeruzalem. A w samej Apokalipsie ta liczba pojawia się – jak podają skrzętni rachmistrze – aż 22 razy. Nadto obowiązywały wyłącznie potrawy postne. To miało upodabniać biesiadników przybyłym z „tamtego świata”. Miało ich zbierać z nimi.

Cały zestaw dań wigilijnych miał też swoje znaczenie symboliczne. A więc dla przykładu śląska „konopiotka”, kasha jaglana, zwykle ziemniaki, krupy pogańskie, kapusta, ale i „moczka”, czy „makówki”. Serwowany chleb nawiązywał do boskiego daru, do słów zanotowanych przez św. Mateusza, kiedy Jezus podaje „Bierście i jedzcie, to jest ciało moje”.

Ryby nawiązywały do rybackich praktyk apostołów – i symbolicznie – do tego, że Jezus łowił ludzi do kościelnej wspólnoty wiernych.

W efekcie tradycyjna Wigilia oczywiście miała nastrój nabożny, pełen poszanowania dla Dzieciątka Jezus, na którego narodzenie oczekiwano.

Jego przyście na świat w odległym Betlejem przeżywało każdego roku. Nieomal realnie. Była też apoteoza

„rodziny świętej” i wzorem dla każdej rodziny. W efekcie zachowanie wszystkich uczestników Wigilii, było podporządkowane rygorom *sacrum*. Każde inne zachowanie było efektem obecności Zła, działaniem potomków „judaszowego plemienia”. Zatem obmowa, zły stosunek do innych, odchodzenie od stołu było obciążone karą. Jaką? Grzechem śmiertelnym lub wieloletnim panowaniem w rodzinie niezgody. Wszak w ten dzień oczekiwano na narodziny Dzieciątka. Oczekiwano na komunię, a Wigilia już była swoistym czasem pojednania, początkiem Komunii. A nawet w „internetowej biblii”, doby nowoczesnej, która nas często otumania, czytamy, iż komunია „wyraża ono coś więcej niż tylko „spożywanie Ciała Pańskiego”.

Łacińskie *communio* da się przetłumaczyć jako: „zjednoczenie”, „wspólnota”. Ta dawna Wigilia to była prawdziwa wspólnota. Dziś ta tradycyjna Wigilia odchodzi w zapomnienie. A może raczej jest odrzucana, staje się tradycją bez treści, bez wartości, bez religijnego przeżycia, bez nakazanego szacunku dla pozostałych uczestników wieczerzy. Znaczenie ma tylko kulturowa otoczka Wigilii, piękny wystrój stołu, choinka, potrawy wigilijne, owa magiczna muzyka, czyli dawne kolędy. Ale to wszystko tylko dziwna „wydmuszka”. No bo przecież jak w tradycyjnych wielkonočných jankach cudnie malowanych ważny jest zewnętrzny malunek, barwa. Ale to wydmuszka, bo z jajka wydmuchano wnętrze.

To było naturalne. We współczesnej Wigilii wyrzuciliśmy jej istotę. Pozostała choinka, udekorowany strój, piękne dary. Ale gdzie prawda religijna, duchowa, gdzie przeżycia? No i to najważniejsze – szacunek dla Drugiego. Rodzi się powoli zwycięstwo Judasza. Pojawia się zakłamanie, obmowa, kłamstwo. A jak będzie w czasie zbliżającej się Wigilii? Czy to będzie tradycyjny czas wspólnoty? Czy nad nami będzie się tylko unosił czas ostatnich wyborów? Ludzi z Kaczorlandu i Tuskolandu? A co będzie dalej? Uparte trwanie przy własnym Ja?

Antropolog „sucho” odpowie, że pojawia się zjawisko zaniku, oraz „ciągłości i zmiany kulturowej”.



Marco Polo i trzej królowie

JANUSZ PLEWNIAK

Babilon to miasto, które zostało założone w czasach starożytnych ponad 4000 lat temu. Leży w regionie między dwiema rzekami, Eufratem i Tygrysem. Kraj ten znany jest również jako Mezopotamia. To teren dzisiejszego Iraku.

Stamtąd przybyli mędrcy z darami dla nowo narodzonego Jezusa. Owi uczeni, astrologi nazywani często w tradycji Trzema Królami, w literaturze biblijnej przybywają ze Wschodu, by nie musieć w świętym piśmie użyć nazwy Babilon, wówczas miasta nowoczesnego, ale według Żydów sprostytuowanego, moralnie zepsutego.

Należałoby jednak uściślić, iż starożytny Babilon jedynie przez część swojej długiej i bogatej historii był częścią Persji, a obecnie leży na terytorium Iraku. Jednak to Iran był wówczas ojczyzną czcicieli ognia i wyznawców Zaratustry, czyli opisywaną dalej Persją!

W XIII wieku wenecki kupiec i podróżnik Marco Polo, motywowany raportami ojca i wuja, którzy przedtem podróżowali do Chin, odbył także długą eskapadę tamże. Po powrocie zasłynął z raportów o swojej podróży. W drodze był także w Persji (dziś Iranem zwanej).

Natknąłem się w krośnieńskim antykwariacie na notatki tego wielkiego podróżnika; tłumaczenie i opracowanie wydane przez PIW w 1954 roku po polsku. To gruba, licząca 806 stron księga. Marco Polo opisuje krainy, wierzenia, ludzi, ale także zwyczaje i legendy. Jedną jego opowiastkę z pobytu w Persji przytoczę dosłownie.

* * *

„Persja jest bardzo wielką prowincją, która w starożytności była bardzo sławna i potężna, ale obecnie Tatarzy ją spustoszyli i zniszczyli. W Persji leży miasto Sawa, skąd wyruszyli trzej Magowie, udając się w drogę, aby Jezusowi Chrystusowi, gdy urodził się w Betlejemie, hołd złożyć. W tym mieście pogrzebani są trzej Magowie w trzech wielkich i pięknych bardzo grobowcach. Nad każdym grobem znajduje się czworoboczny budynek z okrągłą nadbudówką, nader pięknie ozdobiony. Tak jedno piętro stoi na drugim. Ciała są jeszcze zachowane w całości i mają brody i wąsy. (...)

Pytywałem wielu mieszkańców miasta o tych trzech Magów, ale nie było nikogo, kto by umiał coś rzec, poza tym, że byli to trzej królowie, którzy tu w odległych czasach zostali pogrzebani. (...)

O trzy dni drogi, idąc przed siebie, znajduje się zamek zwany Kala Atape-

ristan. To znaczy po francusku *château des adoreteurs du feu*, zamek czcicieli ognia. Nazwę tę nosi słusznie, gdyż mieszkańcy tego zamku oddają cześć ogniewi. I powiem wam, dlaczego czczą ogień. Mieszkańcy tego zamku twierdzą, że ongiś przed wiekami trzej królowie tych ziem wyruszyli w drogę, by hołd złożyć prorokowi, który w onczas się narodził, i zanieśli mu trojaki dary: złoto, kadzidło i mirrę, aby się przekonać, zali narodzony prorok był Bogiem czyli też ziemskim królem, czy mędrce. Gdy mówili: „Jeśli weźmie złoto, zaiste królem ziemskim jest, jeśli kadzidło – Bogiem jest, jeśli weźmie mirrę – mędrce jest”. I gdy przybyli na miejsce, gdzie narodziło się dziecko, najmłodszy z tych trzech królów poszedł sam, aby oglądał dziecko, i gdy wszedł, znalazł je podobny sobie, gdyż zdawało się być jego wieku i postaci. Wyszedł więc wielce zdumiony. Następnie poszedł król wieku średniego i zdało mi się tak jak poprzedniemu: dziecko było jego wieku i postaci. I wyszedł głęboko wstrząśnięty. Potem poszedł trzeci, najstarszy wiekiem, i przydarzyło mu się jak tamtym dwóm. I również wyszedł bardzo zamyślony. I gdy trzej królowie zebrali się wszyscy razem, opowiedział jeden i drugi, co widzieli, i bardzo się dziwowali, i mówili, że pójda wszyscy trzej razem. Poszli więc wszyscy trzej razem przed dziecko: i znaleźli je z wyglądu i z wieku, jakim było. Gdyż nie miało więcej nad dni trzynastcie. Więc pokłon mu oddali i złożyli dary: złoto, kadzidło i mirrę. A dziecko przyjęło wszystkie trzy dary. A potem dziecko dało im zamkniętą puszkę. Trzej królowie odjechali, aby powrócić do swego kraju.

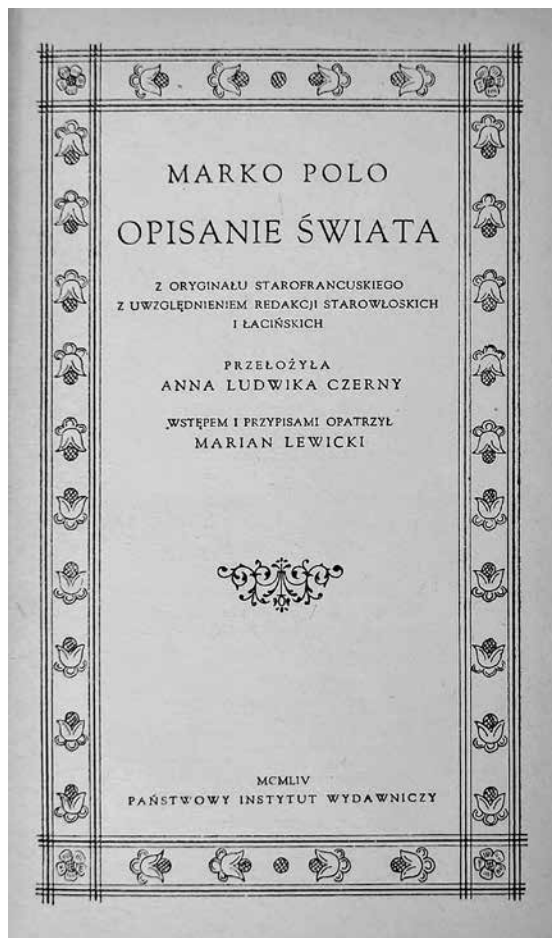
Co zdarzyło się trzem królom, którzy złożyli hołd Bogu?

Gdy tak kilka dni drogi ujechali, powiedzieli sobie, że radzi by ujrzeć, co im dziecko dało. Więc otworzyli puszkę i znaleźli w niej kamyk. I zdumieni się bardzo, co by to mogło znaczyć. Dziecko dało im to na wyobrażenie, że mają stać twardo jak kamień w wierze, która się w nich zrodziła. Ponieważ kiedy trzej

królowie ujrzeć, że dziecko przyjęło wszystkie trzy dary, rzekli sobie, że było ono Bogiem i królem ziemskim, i mędrce. A dziecko wiedząc, że tak wszyscy trzej uwierzyli, dało im ów kamień na znak, aby w tej wierze byli silni i wytrwali. Trzej królowie nie zdając sobie sprawy, dlaczego ów kamień został im dany, wrzucili go do studni; zaledwie to uczynili, spadł natychmiast z nieba ogień palący wprost do tej studni, do której kamień wrzucono, i nagle przez cud boski z otworu studni zaczął buchać płomień. Gdy trzej królowie ujrzeć ten wielki cud, przerazili się bardzo i żalowali, że rzucili kamień, poznali bowiem wtedy, że miał on wielkie i święte znaczenie. Wzięli zaraz trochę tego ognia i zanieśli do kraju swego. Złożyli go w kościele bardzo pięknym i bogatym. Tam utrzymują go stale... (...) a ogień ten nigdy nie gaśnie.

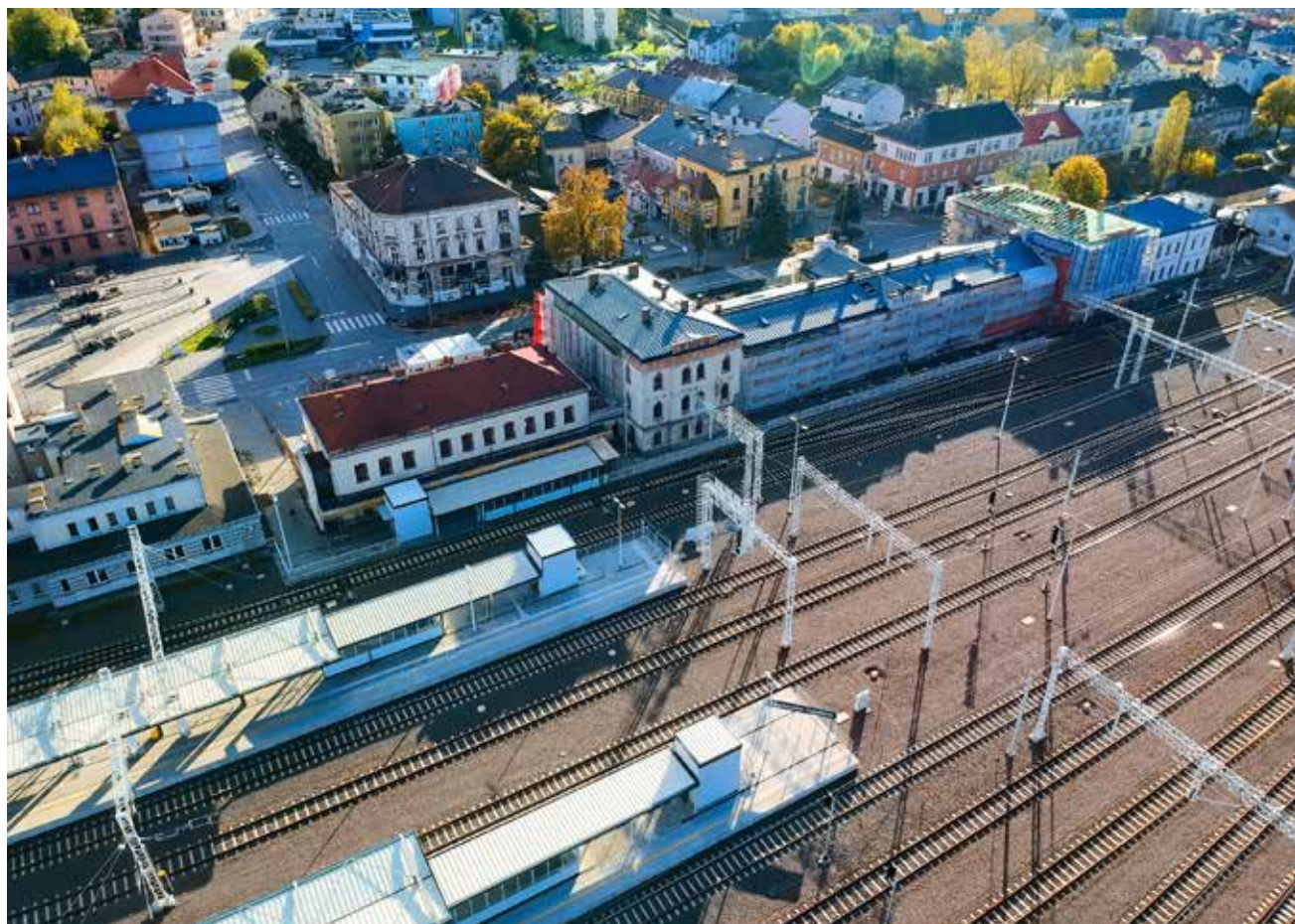
Całą tę historię opowiedzieli mieszkańcy zamku, zapewniając, że to wszystko jest prawdą.

Tyleż fragmentu opisanego legendy z leciwej księgi. Zagłądacie czasami do antykwariatów? ■





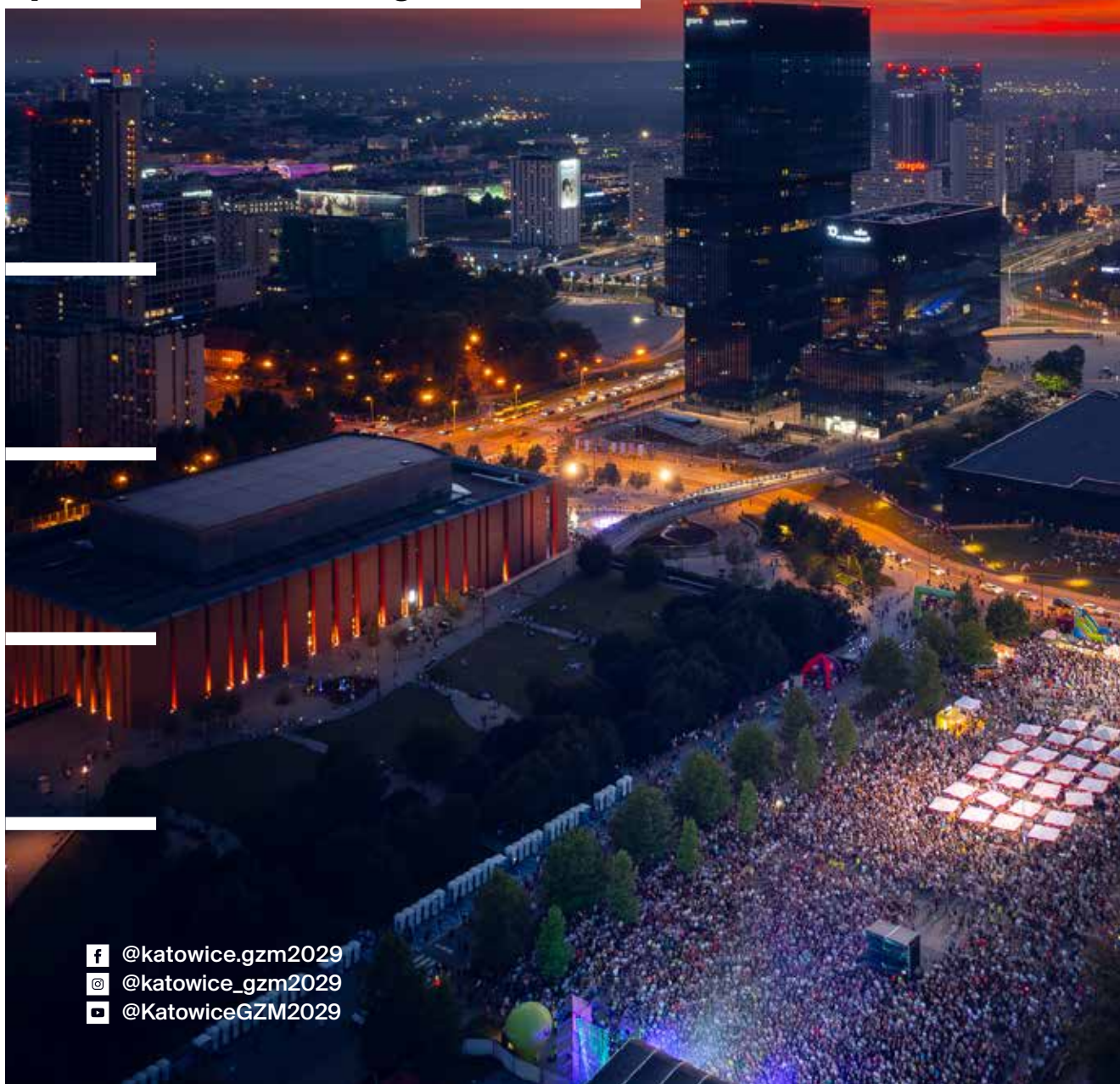
Nowy most kolejowy nad Wisłą – ważny obiekt komunikacyjny na uczęszczanej trasie kolejowej z Górnego Śląska w Beskidy






Stacja kolejowa w Czechowicach-Dziedzicach zyskała w ostatnich latach nowe oblicze (czytaj: str. 32)

↘ Katowice i GZM bliżej tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2029!

Sprawdź na katowicegzm2029.eu



Fot. Radek Kazimierz

 @katowice.gzm2029
 @katowice_gzm2029
 @KatowiceGZM2029

KTW_
GZM_
2029 Kandydat
na Europejską
Stolicę Kultury
2029

Odwiedź nas:
Katowice GZM 2029 – Biuro ESK
Plac Sejmu Śląskiego 2
40-032 Katowice